

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 16 (1464) ROK XXIX

19 KWIETNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

- Czarna dziura w życiorysie Kurta Waldheima
- Azbest w mieście
- Jankiel Adler — wielki przypomniany
- Miedź, cielęcina i koniak

Zły duch dyrektora W.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Zza bramy wszystko wygląda normalnie: ludzie spieszą do pracy, dudnią maszyny, dym unosi się z komina, portier sprawdza przepustki. Jest jak dawniej. Ale w środku inna niż kiedyś panuje atmosfera. Wyczuwa się w niej niezadowolone, zniechęcenie, zdenerwowanie, niepokój. I trudno się temu dziwić, mówią ludzie, bo to już nie ten, co przedtem „Boruta”. Dawniej każdy mógł czuć się dumny, że tu pracuje i cały Zgierz szanował „Boruciaków”. Dziś nie ma się już czym chwalić.

„BORUTA” LEŻY NA OBU ŁOPATKACH

— słyszy się w mieście. Tak źle jak ostatnio, to jeszcze nie było.

W Komitecie Zakładowym PZPR nie ma wątpliwości, że w zakładzie zaczęło się źle dziać od chwili objęcia stanowiska naczelnego dyrektora przez inżyniera Zbigniewa W. Stało się to 1 marca 1982 roku czyli w stanie wojennym, gdy w fabryce był jeszcze komisarz wojskowy, dyrektor sam decydował i odpowiadał za wszystko, a każde niewykonanie tego polecenia traktowane było z całą surowością.

Oczywiście na początku nie podejrzewano, że ta nominacja przyniesie może z czasem przedsiębiorstwu więcej szkód niż korzyści, a jeśli nawet niektórzy tak myśleli, ich zdanie nie miało wtedy praktycznie żadnego znaczenia. Zbigniew W. pracował w „Borucie” od po-

nad dwudziestu lat, znał doskonale sytuację i problemy zakładu, znał ludzi, jego wiedza mogła budzić szczerą szacunek. Wkrótce jednak okazało się, iż dobry fachowiec wcale nie musi być dobrym dyrektorem, że produkcja, to jeszcze nie wszystko, że są także ludzie, z którymi należy się liczyć. A z ludźmi — podkreślają w Komitecie Zakładowym PZPR — dyrektor W. zupełnie się nie liczył, traktował ich jak przedmioty, które można dowolnie przestawiać, czy nawet wyrzucić. Choć skończył się stan wojenny, powstały nowe związki zawodowe, rada pracownicza, PRON, w dalszym ciągu o wszystkim chciał decydować sam. Prowadził własną politykę — może i dobrze ocenianą w ministerstwie, ale na pewno — nie przez załogę.

Pierwszy raz Komitet Zakładowy partii zwrócił dyrektorowi uwagę, iż niewłaściwie postępuje już w trzy miesiące po objęciu przez niego stanowiska. Ale Zbigniew W. bagatelizował ten fakt. Następne rozmowy ostrzegawcze (a było ich w sumie sporo) również nie przynosiły żadnego efektu. Pewny siebie dyrektor nie sobie z nich nie robił. Krytykę tej czy innej jego decyzji nazywał krytykanctwem, w dyskusjach tendencyjnie dobierał i interpretował fakty, a z tymi, którzy śmiali mieć inne zdanie od niego i jeszcze na dodatek głośno je wypowiadać, rozprawał się prędzej czy później, co na ogół zawsze kończyło się podobnie — zwolnieniem z pracy. Jedni dostawali wymówienie na przykład na skutek likwidacji etatu lub stanowiska. Inni odchodzili na własną prośbę, czując, że ich dni w „Borucie” są policzone. Wiedzieli dobrze, że o „przebaczeniu grzechów” nie może być nawet mowy, gdyż dyrektor ma wspaniałą pa-

3

Różne skutki awarii w TV 6

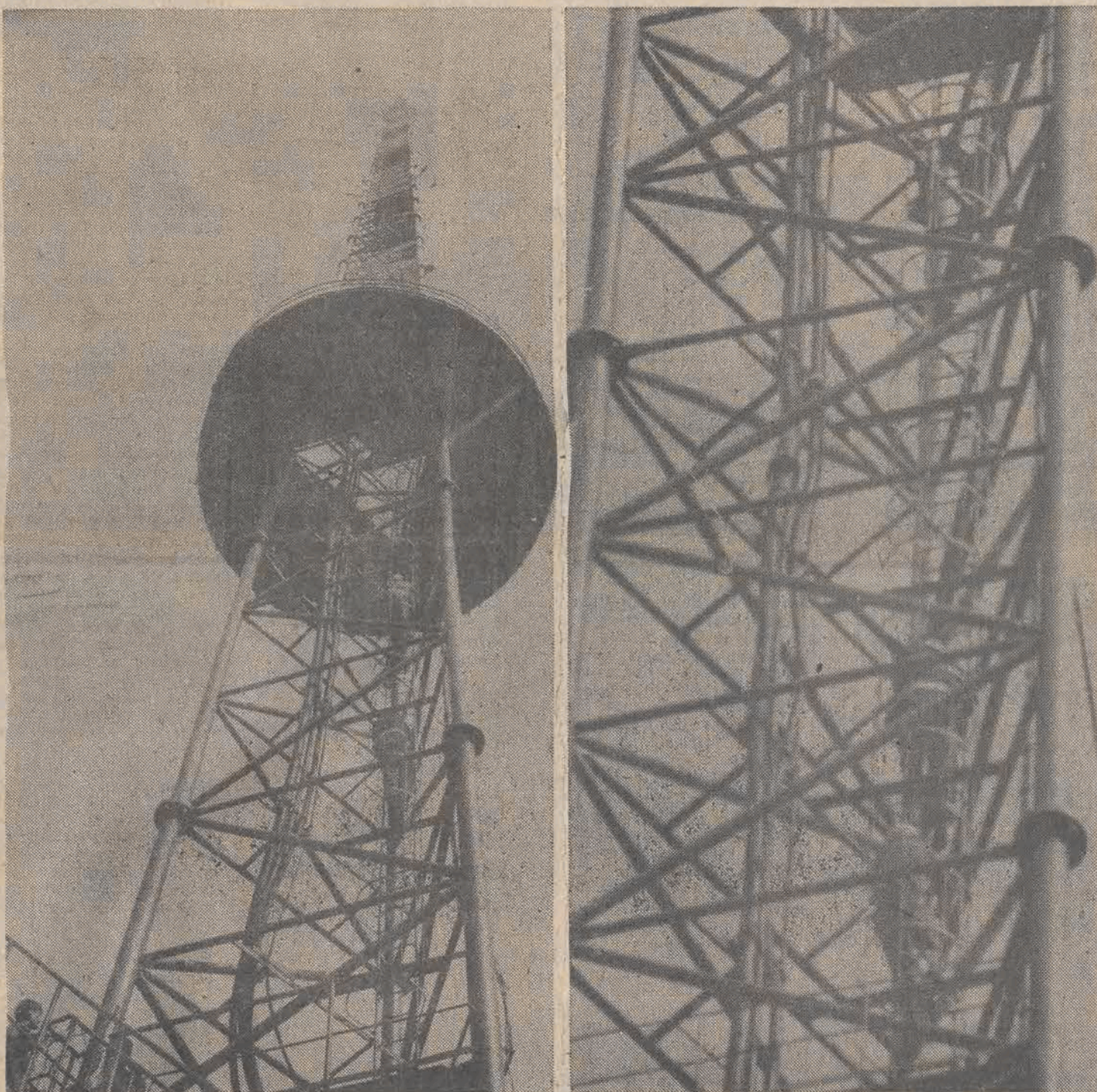


Foto: Wiesław Machefko

„Wszystko co mnie określa, albo mnie przypomina spoczywa w tobie, miasto...”
Octavio Paz „Crepusculos de la ciudad”

Na ulicy Londres, w Zona Rosa, chłopiec gra na harmonijce ustnej i wypycha swoją, może czteroletnią, uzbrojoną w bębnek i kapelusz, siostrzyczkę, aby zbierała datki wśród przechodniów. Popołudniowy tłum mija jednak dziewczynkę obojętnie; zbyt delikatnie nadstawia kapelusz, zbyt szybko go opuszcza. Brat, niezadowolony z takiego obrotu sprawy, wszelkimi sposobami zachęca siostrę do bardziej efektywnego udziału w pracy przedsiębiorstwa. Nie pomagają jednak ani tłumaczenia, ani kuksańce; minie zapewne dobrych kilka tygodni, zanim dziewczynka zacznie skutecznie konkurować z setkami swoich koleżanek — póki co dochody firmy nie będą specjalnie imponujące.

Podchodzę bliżej i próbuję się dowiedzieć ile pieniędzy musi dziś wpłynąć do kasy, żeby ogłoszono fajerant. Dziewczynka biegnie do brata, który taksuje mnie szybko na 500 pesos. Zgodnie z tutejszym zwyczajem targuję się trochę, głównie po to, aby nie wyjść na godnego pogardy naiwniaka... W końcu staje na 300 pesos.

Chłopak bierze monety z ponurą miną; nie xarobione ani nie ukradzione nie są pewnie

RYSZARD NAKONIECZNY

Żaby, ślimaki i mrówki

(Korespondencja z Meksyku)

dla niego wiele warte. Dziewczynka też nie robi wrażenia specjalnie uszczęśliwionej. W ogóle wygląda na to, że najbardziej zadowolony z całej historii jestem ja.

Języki rozwiązują się dopiero przy najbliższej budce, gdzie już zgodnie zjadamy tacos. Kiedy na pytanie, skąd jestem?, odpowiadam, że z Polski, dwie twarze zwracają się ku mnie z prawdziwym zainteresowaniem. Tym razem oględziny trwają dobrą minutę.

— Po raz pierwszy w życiu widzę kogoś z Polski na żywo — oświadcza wreszcie chłopiec i czuje jak rosną mu rogi, albo przynajmniej podwójne uszy. Próbując to jakoś powstrzymać

szybko wyrażam swoje wątpliwości co do perspektyw tego akurat sposobu zarabiania na życie.

— O, młody człowieku — odpowiada tym razem bez zastanowienia dziewczynka — tu jest mnóstwo ludzi, to jest

NAJWIĘKSZE MIASTO ŚWIATA

I rzeczywiście: tak wynika ze statystyk (zresztą niedokładnych i chronicznie opóźnionych) i ze spojrzenia na Meksyk ze szczytu okalają-

cych Dolinę wzgórz — w nocy, kiedy światłom udaje się przebić przez chmurę smogu. Ale codzienne życie bezlitośnie sprowadza wielkość do normalnych wymiarów: mieszkania w konkretnej dzielnicy, zakupy w najbliższych sklepach, praca też możliwie blisko domu. „Swoje” kino i kawiarnia, niedzielne wycieczki na Desierto de los Leones, do lasku Chapultepec... A między tym wszystkim samochód, metro albo autobus, w których jest czas na myślenie wyłącznie o domu, zakupach, pracy, ewentualnie kinie, kawiarni czy niedzielnej wycieczce.

Koło życia wiruje powoli, ale nieodparcie i tylko niewielu może się z tych regularnych obrotów wyzwoić, jest to między innymi także gorzkim przywilejem turysty. Sama stolica tworzy zresztą jeden z mechanizmów wprawiających koło w ruch. Miasto jest tak wielkie, że — paradoksalnie, ale nieuchronnie — dla każdego swojego mieszkańca zawęży się do kilku ulic i kilkudziesięciu budynków, wybranych linii metra i numerów autobusów. To właśnie staje się dla niego Meksykiem; największe miasto świata zamienia się w miasteczko utopione w bezmiarze innych miasteczek, o których wie się tylko mgliście, że istnieją.

13

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Majewski, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz
Szumański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęziński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panasewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa” —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy: —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę w
urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 2. dla indywidualnych
prenumeratorów: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscow-
ościach, gdzie nie ma odd-
ziałów RSW „Prasa — Książka
— Ruch” opłacają prenume-
ratę w urzędach pocztowych i
u doręczyteli: osoby fizyczne
zamieszkałe w miastach — sie-
dzibach Oddziałów RSW „Prasa
— Książka — Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzęd-
ach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
„blankietu wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego
Oddziału RSW „Prasa — Książka
— Ruch” 3. Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw
ul. Towarowa 28 00-958 War-
szawa konto NBP XV Oddział
w Warszawie nr 1153-201045-
-139-11 Prenumerata ze zlece-
niem wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenume-
raty krajowej o 50 proc. dla
zleceńodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zleceńodawców
instytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumera-
ty na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — popre-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 1092. B-2.

Przegląd prasy

W kioskach RUCH barwnie i
różnorodnie, czytelnik ma mo-
żliwość wyboru. W tej sytuacji
wejście na rynek czytelnicy z
nowym tytułem prasowym wy-
maga dużej odwagi. Rosnące
koszty utrzymania powodują,
że czytelnik nie kupuje już
„wszystkiego jak leci”, tak to
niegdyś bywało, ale zastanawia
się, gdzie i na jak długo ulo-
kować swoje pieniądze. Jakże
pismo zapewni mu to, czego
szuka i czego oczekuje? Ro-
śnie więc konkurencja i zespo-
ły redakcyjne stają przed ko-
niecznością coraz większego
wysiłku, aby sprostać oczekiwa-
niom swych czytelników. Wy-
chodzący z Katowicach tygo-
dnik „Tak i Nie” trwale usa-
dowił się na rynku czyteln-
czym, przede wszystkim na
Śląsku, w Zagłębiu Dąbrow-
skim i w Cieszyńskim, ale też i
w innych częściach Polski jest
do nabycia i ma swoich czy-
telników. Nakład pisma prze-
kroczył już dawno 100 tysięcy
egzemplarzy, co oznacza, że pi-
smo trafiło w czytelnice ocze-
kiwania. I oto właśnie teraz
redakcja tygodnika zaferowała
czytelnikom kwartalnik spo-
leczno-artystyczny.

„TAK I NIE — ŚLĄSK”

Kazimierz Zarzycki — redak-
tor naczelny „Tak i Nie” oraz
„Tak i Nie — Śląsk” — tak
pisze we wstępnym artykule i
numeru kwartalnego wydania
„Tak i Nie — Śląsk”:

„Śląsk, jego współczesność i
całkiem niedawna przeszłość —
oto splot problemów, którymi
chcemy się zająć przede wszy-
stkim w kwartalniku, a właściwie
w wydaniu kwartalnym
„Tak i Nie — Śląsk”. Tematy-
ka ta okazała się niezwykle
ważna, czego potwierdzeniem
jest blisko 3-letnie doświadcze-
nie tygodnika „Tak i Nie”. Na-
dal będziemy pisać o Śląsku, je-
go problemach, dziejach i wy-
stąpieniu i fermentach w wy-
miarze nie tylko czysto history-
cznym. Teraz już to obydwa e-
dytycje „Tak i Nie”. Także
kultura, życie społeczne, ekolo-
gia, a nawet (od czasu do czasu)
gospodarka będą miały
prawo obywatelstwa. W ka-
żdym razie to wszystko, co za-
sługiwać będzie na potraktowa-
nie publicystyczne.

Bez niedomówień, przemil-
czeń, bez półprawd klekoczących
na doraźny użytek, z wolą wy-
jaśnienia rzeczy trudnych i za-
peewienia pełnego uczestnic-
twa w dialogu na temat dnia
dzisiejszego i przyszłości Pol-
ski oraz roli Śląska...”

Kto będzie realizował ten
ambitny program?
„Tak i Nie — Śląsk” — píše
dalej Kazimierz Zarzycki —
jest dziełem zbiorowym: ze-
spółu redakcyjnego, współpracow-
ników i przedstawicieli ślą-
skich środowisk twórczych. Pi-
smo powstało z sojuszu ludzi
dobrej woli oraz dzięki popar-
ciu mecenasów i organizatorów
polskiej prasy, a także osobis-
tości politycznych...”

Pismo podzielone jest na 6
działów: Fakty, Literatura,
Krytyka, Felietony, Recenzje i
Kronika. Pierwszy numer przy-
nosi opowiadanie Jana Pier-
chały „Śmierć starej wariatki”
i sztukę w 2 aktach Feliksa
Netza „Gloria”, jak też wiersze
Anity Machnik-Skwyra, Piotra
Jędrasza, Marka Swidra, Ma-
gorzaty Smudy, Lesława Nawar-
y, Andrzeja J. Kasprzaka i
Mariusza Klimontowicza. W
dziale Krytyka J. Marek Hal-
tof pisze o twórczości filmowej
Kazimierza Kutza a artykuł o-
zdabia zdjęcie Jerzego Mirskie-
go z podpisem: „Katowice, sty-
czeń 1986, Kazimierz Kutz wy-
prowadza się do Warszawy...”
Zdjęcie przedstawia Kazimierza
Kutza jadącego na samochód
niewielką półkę. Wystarczy za
cały komentarz. Andrzej Ma-
tynia pisze natomiast o malar-
stwie Jerzego Dudy-Gracza w
artykule pt. „Droga z „Krzyżem
polskim”.

Pierwszy numer „Tak i Nie
— Śląsk” liczy 96 stron forma-
tu A-4, kosztuje 150 złotych
oraz zawiera wkładkę z ok-
ładką kolorową pocztówkę,
która, potwierdzoną przez
kioski Ruchu, czytelnik wysyła

do redakcji i bierze udział w
losowaniu „50 000 zł z przeznac-
zeniem na zakup dzieła sztuki
współczesnej”. Przy okazji po-
cztówka zawiera kilka pytań,
które pozwolą redakcji w zo-
rientowaniu się, kto zaintereso-
wał się ich propozycją.

Mnie przede wszystkim za-
interesował dział Fakty, jako
podstawowy i najobficiej re-
prezentowany. Są tu wspomnie-
nia gen. Romana Paszkowskie-
go — wojewody katowickiego
z trudnych dni grudnia 1981 i
stycznia 1982, jest „Skandal
post mortem” Leszka Micha-
lskiego o spuściznie Gustawa
Morcinka i jest bardzo intere-
sujący artykuł

MICHAŁA SMOLARZA „INDIANERY”

Nosi ten artykuł podtytuł
„dyskusyjny”, ale jest raczej
„zastanawiający”, jako że zmu-
sza do zastanowienia się nad
naszym rozumieniem Śląska.
Na to pytanie większość ludzi
odpowiedziałaby zapewne:
„przemysłowe centrum Polski”
rozumiejąc pod tym pojęciem
Górnosląski Okręg Przemysłowy.
A reszta?

„Komuż w ogóle przyszłoby
do głowy wskazać Wrocław i
dołnosląskie piastowskie grody
jako historyczne centrum Polski,
którym, który dziś bywa kojar-
zony wyłącznie z GUP, a więc
z faktycznym peryferium?”

Smutne to, ale prawdziwe.
Wszyscy na ogół słyszymy i
czytamy o biskupstwie w Gnie-
źnie, w Krakowie, a przecież
biskupstwo we Wrocławiu li-
czy już sobie prawie tysiąc lat,
jako że założone zostało w 1000
roku.

Michał Smolarz zastanawia
się nad stosunkiem współ-
czesnych do Śląska i dochodzi
do wniosku, że „Śląskiem być
nie warto”. Dlaczego? Ano dla-
tego, że „Dolny Śląsk dawno
przestał istnieć jako region
kulturowy”, a młode pokolenie
coraz częściej zatracza swoją
kulturową, regionalną odręb-
ność, żeby nie powiedzieć —
wstydzi się być Śląkiem. Ta-
ki stan rzeczy powstał na sku-
tek długotrwałej polityki wy-
narradawiania Ślązaków w prze-
szłości, a także na skutek na-
szego błędnego zważania re-
gionalizmu, jako czegoś gorsze-
go, wstydliwego. Na Dolny
Śląsk przyjeżdżali repatrianci z
różnych stron przedwojennej
Polski oraz zza granicy, a oni
przecież nie w śląskiej tradycji
rosli i wychowywali się. Dla
nich jest to coś obcego, mar-
twego. Dla nich Ślący to
„Indianery” — po naszymu
Indianie, „a w przenośni wszy-
scy egotycyśmi odmienny, nie
mieszający się w ogólnie przy-
jętych kryteriach”.

Zatem

CZY DLA ŚLĄSKA ISTNIEJE PRZYSZŁOŚĆ?

Nie ta gospodarcza, ale kultu-
rowa, regionalna, przyszłość
wyrastająca z przeszłości, zwa-
żana z tradycją, śląska przy-
szłość.

„Odpowiadam od razu — pi-
sze Michał Smolarz — jutro
dla śląskości nie istnieje, tak
jak nie istnieje Śląsk w do-
tychczasowym pojęciu. Także
i ten, w obecnych granicach
pojmowany region staje się
nieubłagane tylko kolejnym
miejscem na mapie, które poza
tym nie oznacza. Pozosta-
ło kilka relikwii dobrej prze-
szłości — jednym z nich jest
bezsprzecznie Kościół. Ciągłe
jeszcze jest to Kościół żywy, jak
nigdzie i w dodatku Kościół
prawdziwie śląski”.

Ale pojęcie Kościoła na Śla-
sku niekoniecznie musi ozna-
czać tylko i wyłącznie Kościół
rzymskokatolicki. Przykładem
różnorodności wyznaniowej mo-
że być Wisła. Prawa miejskie
otrzymała w 1962 roku. Składa
się nadal z licznych osad i
przysiółków: Wisła Małinka,
Wisła Czarne, Wisła Jawornik,
Wisła Gościów, Wisła Głębie,
Wisła Łabajów, Wisła Dziech-
cinka, Wisła Centrum. Ludzie
się często dziwią — ludzie
przejeżdżni oczywiście — cze-
mu to w środku Wisły stoi
„kościół niemiecki”. A jest to
kościół ewangelicko-augsburski.
Dla mieszkańców innych dzie-
lin Polski ewangelik obowią-
kowo musi kojarzyć się z
Niemcem. Na Śląsku było i jest
inaczej. Ale o tym w szkole
nie uczyli i tradycja tego nie
przekazuje.

Wacław Horoszkiewicz poje-
chał do Wisły, aby zbadać tam-
tejszy

FENOMEN WYZNANIOWY

który następnie opisał w repo-
rtażu pt. „Ośiem wieków nieo-
właśnie w Wiśle „działa, a mo-
że trzeba by powiedzieć — gło-
si chwałę Bożą — ośiem ko-
ściółów i wyznań, traktowanych
z równym — jak na laickie,
socjalistyczne państwo przy-
stano — poważaniem”. Są to,
szeregując je w zależności od
liczby wyznawców: Kościół
Ewangelicko-Augsburski, Ko-
ściół Rzymskokatolicki, Zje-
dnoczony Kościół Ewangeliczny,
Kościół Adwentystów Dnia
Siódmego, Polski Kościół Chre-
ścijański, Kościół Me-
todystyczny, Kościół Wolnych
Chrześcijańców oraz jeszcze
nie zarejestrowani, ale swobodnie
działający Świadkowie Jehowy.

Wacław Horoszkiewicz dłu-
go wędrował po ulicach, ścież-
kach i drożkach Wisły, odwie-
dził przedstawicieli wszystkich
8 wyznań, ale zaprezentowanie
ich wyznania wiary w krótkim
omówieniu jest wręcz niemo-
żliwe. Zatrzymam się może na
tych mniej znanych, często
mylnie ocenianych. Wacław Ho-
roszkiewicz poszukiwał „gło-
wego pastora Świadków Je-
howy”, ale go nie znalazł, po-
nieważ „nikt nie uchylał się od
rozmowy, ale nie ujawniano
struktur”. U małżenstwa He-
lony i Pawła Czyżów zapoznał
się z księżką pt. „Świadko-
wie Jehowy w XX wieku”, z
której zacytował w co wierzą
wyznawcy tej wiary:

„W Boga Wszemogącego,
którego imię Jahwe, a Chrystus
jest synem Boga i Jemu podę-
ga. Biblia jest słowem Bożym
i jest bardziej wiarygodna niż
tradycja. Do nieba podjęte tyl-
ko mała trzódka 144 tysięcy
aby panować z Chrystusem, ale
ludzie podobający się Bogu bę-
dą na ziemi żyć wiecznie w i-
dealnych warunkach, a umarli
mają nadzieję zmartwychwsta-
nia”. Natomiast „żli zostaną
straceni”.

Pastor Polskiego Kościoła
Chrześcijańskiego — Stanisław
Malina, absolwent Chre-
ścijańskiej Akademii Teologicz-
nej wyjaśnia zasady wiary:

(...) Wierzymy po prostu
w Boga. Jesteśmy chrześcijanami,
więc również w jego syna
Jezusa Chrystusa, a wywodni-
my się z Kościoła anglikańskiego.
Nasz Kościół jest prosty,
bez przepychu i ceremoniaru,
bez zewnętrznej dekoracji, mo-
dlimy się także duchem i ży-
ciem. Jesteśmy tolerancyjni, u-
ważamy, że członkowie wielu
wielu, ale przecież nie wszy-
stkich jest użyteczne, więc re-
zygnujemy z wszelkich uży-
wek, nie pijemy alkoholu, nie
palimy papierosów, nie czyni-
my złego drugiemu człowieko-
wi, bo tak nas uczy Pismo
Święte”.

Reporter cytuje też słowa
księdza Karola Samca z Ko-
ścioła Ewangelicko-Augsbur-
skiego:

— „Dumni jesteśmy z tego,
że właśnie tutaj od dawnych
czasów ewangelik znaczący
Polak, że Kościół ten był za-
wsze narodowy i nabożeństwa
odbywały się w języku pol-
skim. (...) Jeszcze przez parę
miesięcy okupacji nabożeństwa
odbywały się po polsku”.

To ważne stwierdzenia, gdyż
wielu ludzi nie chce jakos u-
znać, że Polak niekoniecznie
musi znaczyć katolik. Warto
o tym pamiętać wybierając się
na wakacje do Wisły czy do
innych miejscowości szeroko
rozumianego Śląska.

KATOWICKIEMU KWARTALNIKOWI

życie dużo pomyślności i sprze-
dania całego nakładu. Będę
sledził losy tego pisma i in-
formował o tym naszych Czy-
telników. Przy okazji zastana-
wiam się, czy w Łodzi nie u-
dałoby się stworzyć czegoś ta-
kiego. Mamy przecież martwą
„Osnowę”. Nie trzeba więc za-
cynać od zera, tylko poszukać
sposobu na ożywienie tego pi-
sma. Sądzę, że sposób taki nie-
wątpliwie znalazłby się.

Przy okazji informuję, że
„SZTANDAR MŁODYCH” nr
71 z 11-13 kwietnia 1986 ro-
ku przynosi ciekawą relację
ze spotkania zespołu wrocław-
skiego tygodnika społeczno-po-
litycznego „Sprawy i Ludzie”
ze studentami. Może przy innej
okazji uda mi się napisać kil-
ka słów o tym spotkaniu.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Rzecz o rzeczniku

Rzecznik rządu, którego wyżej cenię za przytomność umysłu
niż jako stylisę, bardziej za sposób reagowania, odbiegający
od dyplomatycznego konwensu niż za stosunek do sztuk
pięknych, dostarcza co jakiś czas tematu krajowi i między-
narodowej opinii. Jedni się oburzają, inni zachwycają, co sta-
nowi wymowny dowód na to, że nie jest on osobnikiem bez-
barwnym, lecz wyrazistą osobowością.

Co znamienne, niektórzy z moich znajomych, którzy pomstu-
ją na zalew naszego życia codziennego przez osobników rze-
komo nielubiących i opowiadają się za indywidualnościami bujny-
mi oraz gębami niewyparzonymi wycofują się natychmiast z
tych swoich upodobań, ilekroć padnie nazwisko Jerzego Urban-
na. Z ich niezborych wypowiedzi można jedynie wynioskowa-
wać, że owszem jego osoba dalaby się może zaakceptować,
gdyby skierował on ostrze swoich zjadliwości w zupełnie prze-
ciwnym niż obecnie kierunku.

Otóż takie postawy ludzkie od dawna nie są dla mnie no-
winą. Pamiętam, z jakim oburzeniem przyjmowało wielu tzw.
liberalnych inteligentów satyryczną twórczość Konstantego
Ildefonsa Gałczyńskiego. Czy to utwory z cyklu „Zielonej gęsi”,
czy „Podróż Chryzostoma Bulwicia do Ciemnogrodu”, czy też
teksty kabaretowe, które nie tylko wyszydzały postawy tzw.
reakcyjne, ale wytykały również naiwność i krótkowzroczność
polityczną złudzeń liberalnych przysparzały pocie dość licz-
nych wrogów.

Dzisiaj jakby się nieraz zapomina o takiej właśnie wymowie
znaczeń części twórczości Gałczyńskiego i jakby mimochodem
zrykają mu się etykiety liberala, choćnie był nim w swoich
publikacjach ani po wojnie, ani tym bardziej (co jest rzeczą
znana) w latach przedwojennych. Myślę, że minie jeszcze tro-
chę czasu zanim Jerzy Urban nie zażęknę do łatwiejszego ży-
cia i nie wycofa się ze swojej uciążliwej funkcji, a wtedy, we
wspomnieniach ludzi, jego wystąpienia i publikacje zasnuje
mgielka sentymentu, jaki powleka zazwyczaj sprawy minio-
ne...

Dlaczego dziś akurat tyle o naszym rzeczniku? Ponieważ
znów naraził się ciężko pewnym ośmianom polskiej i zagranic-
nej opinii przez zamieszczenie w „Polityce” za jego zgodą (czy
nawet zachętą) fragmenty paszkwilanckiej książki, wydanej w
„podziemi” odnoszące się w znacznej mierze do jego osoby i
przez udowodnienie na konferencji prasowej spowiednikowi
Lecha Wałęsy tchórzliwego kłamstwa, polegającego na wypar-
ciu się przez księdza wywiadu, udzielonego faktycznie zagra-
nicznemu dziennikarzowi.

Nie chcę wypowiadać swojej oceny poziomu moralnego i in-
telektualnego podziemnej publikacji (reprezentującej swoiście
rozumiane zadania „kultury narodowej” w nielegalnym obiegu),
nie sprawia mi również zadowolenia zajmowanie się osobą ka-
plana dającego niepiękny przykład wiernym (on sam zapracowuje
sobie od dawna i konsekwentnie na swoją reputację).

Otóż te dwa wydarzenia, związane z rzecznikiem rządu (i nie
tylko te) powinny, moim zdaniem, uprzytomnić każdemu nie-
uprzedzonemu obserwatorowi życia politycznego w Polsce sprawy
następujące: jak szeroki jest zakres swobodnej i rzeczowej
informacji o tym, co się dzieje w kraju; jak bardzo zmniejsza
się stale dystans pomiędzy społeczeństwem a oficjalnymi oso-
bistościami życia publicznego, o których działaniach publikuje
się nieraz krytyczne uwagi, a przytacza nieraz nawet obra-
żające opinie. Jak duży jest stopień bezkarności wielu osób,
zwłaszcza duchownych katolickich, w szeregach nieprawdzi-
wych, często świadomie oszczerczych informacji o przedsta-
wicieli władzy i o działaniach władz. W wielu krajach, uwa-
żanych przez naszych opozycjonistów za „prawdzą demokrację”
taka bezkarność byłaby nie do pomyślenia.

Można by jeszcze zapytać, komu w tym kraju, jakim siłom
politycznym zależy naprawdę na rugowaniu zła i na uzdrawia-
niu moralnym społeczeństwa? A kto tylko na niedomaganach
naszego życia propagandowo żeruje na zasadzie „Schadenfreu-
de”. Wystarczą pytania retoryczne, wcale nie trzeba stawiać
„kropek nad i”...

A to co się nieraz dzieje wokół osoby i funkcji rzecznika
rządu jest w najwyższym stopniu symptomatyczne dla prze-
biegu ścierania się odmiennych postaw i dążeń.

JERZY KWIECIŃSKI

Po zjeździe łódzkiego TKKS

Pod hasłami humanizmu i tolerancji toczyły się obrady V
łódzkiego zjazdu Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, z
udziałem przeszło dwustu delegatów, reprezentujących blisko 12-
tysięczne szeregi członków TKKS w województwie łódzkim.

Od ub. roku datuje się niezwykle dynamiczny wzrost szeregów
Towarzystwa na naszym terenie, w tym zwłaszcza młodzieży, co
wiąże się ze znacznym ostatnio ożywieniem i wzbogaceniem form
życia organizacyjnego. Wśród osiągnięć Towarzystwa wymienić
należy m.in. utworzenie studium religioznawczego dla nauczycieli,
założenie łódzkiego ośrodka kultury świeckiej (jedyny tego rodza-
ju w Polsce) i klubu młodzieżowego, dalszy rozwój Międzywoje-
wódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadr Laickich; ogólnie biorąc
— nastąpiła przewaga działań konstruktywnych, polegających na
tworzeniu programu pozytywnego nad działalnością krytyczno-po-
lemiczną w stosunku do światopoglądu fideistycznego, podejmowa-
niana zresztą głównie w sytuacji naruszania zasad tolerancji i in-
nych form współżycia społecznego przez środowiska niechętnie
ruchowi laickiemu i konstytucyjnej zasadzie świeckości życia pu-
blicznego w PRL.

Po rzeczowej dyskusji, dotyczącej najistotniejszych proble-
mów merytorycznych i organizacyjnych, wysuwającej wiele po-
stulatów co do dalszych kierunków działania, m.in. przeniesienia
punktu ciężkości działań na okrzepie już koła TKKS jako pod-
stawowe ogniwa Towarzystwa oraz zdyktowania rozwoju
działalności wydawniczej, wybrano 60-osobowy zarząd wojewódz-
ki, którego przewodniczącym został ponownie dr Władysław Leś-
ny, ustalono także skład imienny 42-osobowej delegacji na nad-
chodzący ogólnopolski zjazd TKKS.

mieć nie spoczną, póki nie znajdzie pretekstu do pozbycia się z zakładu niewygodnych pracowników. To była reguła.

Różnice zdań między dyrektorem a jego podwładnymi dotyczyły rozmaitych spraw. Raz chodziło o warunki pracy na którymś z wydziałów, kiedy indziej o zarobki. Zamierzenia produkcyjne czy współpracę z kimś w wybranej dziedzinie. Mniejsza zresztą o to. W każdym przypadku ostatnie zdanie i tak musiało należeć do dyrektora. I w końcu nie było nawet dyskusji, bo kto się odezwał, ryzykował karierą, posadą. Samodzielne myślenie nie było mile widziane. W fabryce szerzyła się atmosfera zastraszenia, bierności, oczekiwań na lepsze czasy.

Ale nie wszyscy chcieli przecież czekać. Ludzka cierpliwość ma jednak swoje granice. Coraz więcej pracowników zaczęło szukać zajęcia w innych przedsiębiorstwach Zgierza, czy pobliskiej Łodzi, gdzie mogły znaleźć nie tylko spokój, ale i wyższe zarobki. Część szukała szczęścia w prywatnej inicjatywie.

ZALOGA „BORUTY” TOPNIAŁA

z roku na rok. W 1980 roku liczyła ponad cztery i pół tysiąca osób, w 1983 — 3324, a obecnie — już tylko około dwóch i pół tysiąca. Niepokojące zmniejsza się struktura zatrudnienia, co doprowadziło w końcu do tego, że na owe dwa i pół tysiąca przypada zaledwie pięćdziesiąt pracowników bezpośredniego produkcyjnego. Trzeba było zamknąć niektóre wydziały. Słowem kryzys przedsiębiorstwa stał się coraz bardziej widoczny. Jednak dyrektor W. nie potrafił lub nie chciał go dostrzec. Otaczał się przytaczającymi i pochlebiami i ani mu było w głowie zmieniać styl kierowania zakładem.

Co gorsza, zmieniła się także i ekonomiczna sytuacja „Boruty”. O ile bowiem do 1984 roku, mimo spadku zatrudnienia, produkcja liczona w tonach i złotychkach, rosła, to już w 1985 roku nastąpiło jej załamanie, trwające, a nawet pogłębiające się dalej aż do obecnej chwili. Dyrektorowi odołał więc wreszcie jego koronny argument, jakim bronił swej polityki na własnym podwórku i przed władzami zwierzchnimi. W tej sytuacji niezadowolone z niego wzrastało jeszcze bardziej. Pracownicy coraz mniej pewni byli swego jutra. Z każdym dniem czara gorczyczy bliżej była przelania aż pod koniec 1985 roku stało się to, co stać się kiedyś musiało. Egzekutywa KZ PZPR postanowiła cofnąć Zbigniewowi W. partyjną rekomendację na stanowisko naczelnego dyrektora ZPB „Boruta”.

Sygnali o tym, co dzieje się w „Borucie”, docierały do władz zwierzchnich — partyjnych i administracyjnych — już od bardzo dawna. W Ministerstwie Przemysłu Chemicznego i Lekkiego puszczano je mimo uszu, gdyż dyrektor W. miał tam dobrą opinię, uchodził za rzutkiego i energicznego, a poza tym — twierdził sekretarz KZ PZPR, Ireneusz B. — potrafił przedstawiać siebie w jak najlepszym świetle. Komitet Łódzki PZPR traktował je może trochę bardziej serio, kiedy jednak do „Boruty” przyjeżdżała działająca partyjni z Łodzi, aby na miejscu przekonać się, co wprawdzie piszczy, ludzie, z którymi rozmawiali, niewiele na ogół mieli do powiedzenia. Woleli udawać, że o niczym nie wiedzą, niczego nie widzą — w obawie, że dyrektor może się na nich odegrać. Tak więc przez długi czas — słysząc — niewiele można było zrobić w kierunku poprawienia sytuacji.

Nawet opinia z maja 1985 roku, jaką dyrektorowi W. wystawił Komitet Zakładowy PZPR, w której wyraźnie stwierdzano, że cechuje go „wysoka sprawność organizatorska i kierownicza, ale nie jest ona osiągnięta metodami akceptowanymi przez znaczącą część załogi...” nie na wiele się zdała i przeszła właściwie bez echa. Dopiero gdy 26 listopada

1985 roku po kontroli przeprowadzonej przez Wojewódzką Komisję Kontroli Partyjnej, zebrała się egzekutywa Komitetu Zakładowego, sprawę dyrektora W. postawiono wreszcie jednoznacznie i pryncypialnie:

PARTIA NIE MOŻE DŁUŻEJ TOLEROWAĆ

jego poczynania sprzecznych tak z interesami załogi i przedsiębiorstwa, jak i z wymaganiami stawianymi przed każdym członkiem partii.

„Ludzie mówią, że partia jest niepotrzebna w zakładzie, śmieją się z nas, mówią, że i tak wszystkim rządzi dyrektor, a my udajemy, że mamy coś do gadania...”, — osoba dyrek-

tor. Podobne obawy wyrażała również Rada Zakładowa PRON, twierdząc wręcz, że wniosek Komitetu Zakładowego partii o cofnięciu rekomendacji nie wyjdzie przedsiębiorstwu na dobre oraz że „nie został skonsultowany z Radą Zakładową Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, organizacją współodpowiedzialną za sytuację polityczno-gospodarczą przedsiębiorstwa i nie posiada naszego poparcia”. Uzasadniając swoje stanowisko RZ PRON argumentowała między innymi tym, że pogorszenie wyników

produkcyjnych „Boruty” w 1985 roku spowodowane zostało nie tyle przez błędne decyzje dyrektora W., co przez czynniki zewnętrzne jak na przykład awaria oddziału fabryki w Sarzynie, co pozbawiło „Borutę” podstawowego surowca do produkcji barwników siarkowych, czyli niedobory kwasu siarkowego i tugu sodowego, dostawy węgla o niższej kaloryczności itp.

Jak zatem widać, nie tylko w ministerstwie, ale nawet w samych ZPB „Boruta” nie wszyscy podzielali zdanie organizacji partyjnej. Również zarząd Związku Zawodowego Pracowników „Boruty” wyrażał daleko idące wątpliwości, czy zmiana na stanowisku naczelnego dyrektora okaże się najlepszym sposobem wyjścia z kryzysu. W liście do ministra z 7 stycznia 1986 r. reprezentacja ponad 600-osobowej rzeszy związkowców sugerowała w pierwszej kolejności przeprowadzenie w przedsiębiorstwie kompleksowej kontroli, a dopiero w jej wyniku — podjęcie ewentualnych decyzji kadrowych.

Sugestia teoretycznie była nawet słuszna, że jednak w grę wchodziły emocje i konieczność jak najszybszego podjęcia ostatecznej decyzji, stanowisko związku przyjęło na ogół za typowy unik, co o tyle jeszcze było uzasadnione, iż związek już wcześniej stosował taką właśnie taktikę. Przyznał to zresztą otwarcie jego przewodniczący, Zygmunt G., mówiąc, że związek na swoim koncie i sukcesy i niepowodzenia, między innymi dlatego, iż „stosuje się taką taktikę, na jaką pozwalają warunki”. Oczywiście dyrektor W. starał się, aby warunki te dla związku były jak najtrudniejsze. Czy jednak może być to wystarczającym usprawiedliwieniem? — pytała ludźle w „Borucie”, którzy do 13 grudnia 1981 roku w przeważającej większości należeli do „Solidarności”, a powstanie nowych związków zawodowych przyjęli na ogół z wielką rezerwą. Czy związek mimo wszystko nie powinien bardziej zdecydowanie bronić interesów załogi? — zapomniał „Sprawy Chemicznych”, omawiając sytuację w kilku zakładach pracy, w tym również w „Borucie”.

II sekretarz KZ PZPR, Karol Z., także przyznaje, iż NSZZ Pracowników ZPB „Boruta” wykazywał dotychczas zbyt małą bojowość i nie zdecydowanie w działaniu. Nie przysporzyło mu to, rzecz jasna, zwolenników. Dodaje jednak, że za daleko idącą krytyką związków z pewnością nie przyczyni się do konsolidacji załogi. Ocena powinna być więc bardzo, ale to bardzo wy-

ważona, uwzględniająca przede wszystkim interes przedsiębiorstwa jako całości.

26 MARCA W ZPB „BORUTA”

w Zgierzu obradowała przedzjazdowa konferencja Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Uczestniczyło w niej 73 delegatów wybranych przez oddziały organizacje partyjne, a reprezentujących ponad 300-osobową grupę członków PZPR. W dyskusji na tej konferencji centralną postacią był, jak należało się spodziewać, były dyrektor naczelny, Zbigniew W. — oczywiście na obradach nieobecny, ale o którym mówili niemal wszyscy dyskutanci. I trudno chyba się temu dziwić — przez te parę lat nabrał się przeciętnej niechęci do niego i pretensji pod jego adresem. Jeszcze do niedawna nie można było wyrażać publicznie. Tym silniej wypłynęły teraz, gdy Zbigniew W. nie jest już dyrektorem.

Wtykano mu autokrytyzm i niewłaściwe podejście do ludzi, obarczano winą za niskie zarobki, złą atmosferę w zakładzie, drastyczny spadek zatrudnienia, doprowadzenie do stanu, gdy połowa potencjału produkcyjnego stoi nie wykorzystana, za utratę prestiżu i dobrego imienia „Boruty”.

Należało już wcześniej cofnąć mu rekomendację — grzmiał jeden z dyskutantów — ale partyjne instancje nadrzędne nie reagowały na nasze sygnały.

Dlaczego minister odwołał dyrektora na jego własną prośbę, a nie wyrażnie na skutek interwencji partii? — pytała inna dyskutantka. — To przecież próba jego wybielenia — dowodziła — a jednocześnie pomniejszenia roli Komitetu Zakładowego. Mam o to pretensję do ministra.

Zaproszony w charakterze gościa I sekretarz KZ PZPR w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Barwników, Jerzy J. przypomniał, że dyrektor W. zerwał wszelkie kontakty między „Borutą” a ośrodkiem, który mieści się — o ironio! — na terenie „Boruty”. — No i ta plotka, że Zbigniew W. ma zostać przedstawicielem Polski w „Interchimie” w NRDI. Jeżeli okaże się to prawdą — mówił — kto uwierzy, że jest u nas jeszcze sprawiedliwość?!

Ale nie brakowało też i konstruktywnych propozycji, co można i należy zrobić, aby wyjść wreszcie z impasu. Najważniejsze teraz — wskazywano — to utrzymać kadre i stan zatrudnienia, dążyć do zmiany jego struktury, podnieść płace robotnikom, poprawić organizację i dyscyplinę pracy, zwiększyć wydajność, dostosować produkcję do aktualnych możliwości zakupu surowców i zbytu wyrobów gotowych w kraju i za granicą. Krótko mówiąc, chociaż jest źle, nie musi wcale być jeszcze gorzej. Straty są do odrobienia. Trzeba tylko... No i trzeba znaleźć nowego dyrektora! Ogłoszono już konkurs.

BARDZO CHCIAŁEM POZNAC

osobiście Zbigniewa W., byłego już dyrektora naczelnego ZPB „Boruta” w Zgierzu, członka PZPR. Chciałem zadać mu kilka pytań, dowiedzieć się, co ma na swoją obronę. Zadzwońmy do niego do domu, prosząc o spotkanie. Odmówił. Jest chory i lekarz ostrzegł go, by się nie denerwował. Może więc przy innej okazji.

Odkładając słuchawkę, zdałem sobie nagle sprawę, że ja przecież skądś już to wszystko znam, ten przebieg wydarzeń — arogancja władzy, kryzys ekonomiczny, ucieczka ludzi w poszukiwaniu lepszego bytu, tłumienie wszelkiej krytyki, potem wybuch emocji, zmiany personalne, deklaracje, że teraz będzie już lepiej... No, może nie wszystko zawsze wygląda dokładnie tak samo, ale to się zdarza wtedy, gdy ludzie kierujący innymi odwracają się od reszty i stawiają się ponad nią.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Czy krytyka już się przeżyła?

Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że jeśli chcemy przezwyciężyć kryzys i jego długotrwałe skutki, jeśli chcemy spłacić nasze zadłużenie, a jednocześnie spowodować niezbędne przyspieszenie w naszym rozwoju społeczno-gospodarczym, to musimy przezwyciężyć wszystko to, co stanowi hamulce, bariery i przeszkody. Zmienić trzeba sposób myślenia, stan świadomości społecznej, system zarządzania, organizację pracy. Przezwyciężenie tego wszystkiego, co przeszkadza i będzie przeszkadzało wymaga poddania wszelkich barier i przeszkód krytycznej analizie, ujawnienie ich, nazwanie po imieniu i wskazanie sposobów przezwyciężenia. Innej drogi nie ma.

Niezbędne jest zatem rozwijanie krytyki — jej wszystkich form — oraz samokrytyki. Artur Bodnar pisząc w „Życiu Warszawy” o XXVII Zjeździe KPZR w artykule pt. „Nowe w KPZR” stwierdził między innymi:

„Przywraca się należne znaczenie krytyce społecznej w pierwszym rzędzie — we wnętrzu partyjnej. Tak krytyczność zjazdu partii, a jednocześnie zorientowanego konstruktynie, nie pamiętali bodaj najstarsi delegaci. Było to zaledwie echo tego, co działo się — często z inspiracji władz centralnych — na obwodowych i republikańskich partyjnych konferencjach sprawozdawczo-wyborczych”.

Radziecy komunisti wyciągnęli z tego właściwe wnioski, bądź je wyciągają. Pierwszy sekretarz Rejonowego Komitetu KPZR w Melkiesie w Obwodzie Ułjanowskim — W. Grudzew, delegat na XXVII Zjazd KPZR napisał w „Sowieckiej Rossji”:

„Nie uda nam się zrobić nawet jednego kroku w przód, jeśli utracimy odwagę trzeźwej oceny sytuacji widzenia jej w rzeczywistych kształtach. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu, mówić o wszystkim bez ogródek, skończyć z niepotrzebną delikatnością”.

Sądzę, że słowa te powinniśmy sobie szczególnie wziąć pod uwagę!

W Uchwale IX Zjazdu PZPR do krytyki przywiązano szczególną rolę i nadano jej wysoką rangę:

„Aby umożliwić rzetelne informowanie opinii publicznej — stwierdza Uchwała — należy zapewnić dziennikarzom prawnie zagwarantowany dostęp do niezbędnych im informacji, a także pełnię praw i warunki do prezentowania materiałów krytycznych i polemicznych — bez względu na stanowiska osób, które są obiektem krytyki lub starcia poglądów. Wiąże się to ze wzrostem odpowiedzialności dziennikarzy i redakcji za słowa”.

Taka jest teoria. Jak wygląda ona w praktyce? Różnie z tym bywa. Nikt nie kocha krytyki, a już szczególnie nie lubi być krytykowanym. Opublikowany niedawno w „Trybunie Ludu” krytyczny artykuł pod tytułem: „Prawo jest jedno — w Belchatowie też” pokazuje jak trudno było reporterowi partyjnej gazety dojść sedna w jednej tylko sprawie — wadliwej gospodarki odzieżowej ocieplania naturalnym futrem, co naraziło Kombinat Budowy Elektroprzemysłu w Belchatowie na stratę 13 732 tysięcy złotych. Reporter „TL” natrafił przy okazji na inne przykłady marnotrawstwa, niegospodarności i braku odpowiedzialności.

Idąc śladem tego artykułu dwaj inni reporterzy „TL” usłyszeli w Belchatowie: — „Zdziwiło mnie nawet, że zrobiła to „Trybuna Ludu”. Takie sprawy do tej pory nie były ujawniane”. Komitet Wojewódzki PZPR w Piotrkowie Trybunalskim powołał specjalny zespół do zbadania opisanej sprawy oraz postanowiono, że po zakończeniu pracy tego zespołu, jak i Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej „w zależności od ich wyników odpowiednio wnioski zostaną skierowane do właściwych organów celem wyciągnięcia konsekwencji służbowych i prawnych”. Poinformowana będzie też o tym opinia publiczna. Nie jest to jedyna sprawa. Już kilka razy „Trybuna Ludu” podejmowała na swoich łamach krytykę różnych ujemnych zjawisk w naszym życiu społecznym i gospodarczym. Jeden z takich artykułów dotyczył postawy i działalności dyrektora ZPB „Boruta” w Zgierzu. Jak z tego widać krytyka jest potrzebna i spełnia ważną rolę w naszym życiu.

Jeśli jednak pod tym kątem patrzy się na projekt „Programu PZPR”, to można odnieść takie wrażenie, że w miarę rozwoju społecznego, krytyka będzie zanikała, że już nawet w niedalekiej przyszłości stanie się zbędną, że już się przeżyła. Wprawdzie w różnych miejscach pada to słowo, ale odnosi się ono w ogóle do życia społecznego. W rozdziale I „Umacnianie socjalizmu trwałymi kierunkami rozwoju Polski” znajdują się następujące stwierdzenia:

„Zdolność do rozpoznawania sprzeczności oraz dostrzegania w porę nowych problemów i zadań, konsekwentne kierowanie się w ich rozwiązywaniu interesami klasy robotniczej, ludzi pracy, codzienna żywa więź ze społeczeństwem, krytycyzm i samokrytycyzm, gotowość usuwania błędów i zmiany przeszarżałych form działalności, to niezbędne przesłanki osiągnięcia programowych celów partii”.

W rozdziale V „Rozwój socjalistycznego systemu politycznego” można znaleźć inne stwierdzenie:

„Rozwój socjalistycznej kultury politycznej wymaga umacniania w praktyce zasad wybieralności, kolegialności i jawności, krytyki i samokrytyki”. Natomiast w rozdziale VI „Kształtowanie socjalistycznych postaw i świadomości społecznej, rozwój oświaty, nauki i kultury”, tam, gdzie mówi się o „zadaniach środków masowego przekazu” ani razu nie pada słowo krytyka. Można się jedynie domyślać, że stwierdzenie: Partia opowiada się za swobodą wypowiedzi poglądów i opinii, które nie są sprzeczne z podstawowymi interesami narodu i socjalistycznego państwa, za otwartym charakterem działalności dziennikarskiej, dotyczy też krytyki prasowej, w radiu i telewizji. Ale też można się tego nie domyślać i uznać, że im bardziej będzie się rozwijało nasze społeczeństwo w kierunku socjalizmu, tym szybciej i trwalej będzie zanikała z naszego życia społecznego krytyka. Takie domniemanie jest ze wszech miar fałszywe.

Jestem głęboko przekonany, że postępowanie w budownictwie socjalistycznym nie może i nie powinien pomniejszać roli krytyki i samokrytyki. Przy czym przez samokrytykę rozumiem nie formalne przyznawanie się do zarzucanych błędów, ale jasne wyłożenie zmieniających się poglądów w wyniku przeprowadzonej krytyki lub zmiany sytuacji i warunków działalności każdego z nas. Nowe zadania zmuszają do krytycznej oceny dotychczasowego postępowania. Jest to proces naturalny, ale może być też przez okoliczności wymuszany. Tak więc w miarę postępu w budownictwie socjalizmu rola krytyki będzie rosła. Postęp ten będzie się powiódł w wyniku przezwyciężania sprzeczności nie-antagonistycznych — dotyczy to również i antagonistycznych — a będących choćby wynikiem przemian w bazie materialno-technicznej i w stanie organizacji oraz metodach zarządzania.

Tak więc proponuję, aby do podrozdziału mówiącego o zadaniach prasy, radia i telewizji wprowadzić kilka zdań, które określałyby rolę i znaczenie krytyki w oparciu o sformułowania zawarte w Uchwale IX Zjazdu PZPR.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W wielu opracowaniach, zarówno naukowych jak i publicystycznych, wymienia się najczęściej postawy i zachowania pracowników, związane z pełnioną rolą zawodową a podważając wartość pracy jak: lekceważenie obowiązków, lenistwo, cwaniactwo, marnotrawstwo, brak perspektywicznego myślenia, omijanie prac trudnych i odpowiedzialnych, pozorowanie pracy, niechęć do awansu zawodowego, obniżenie wydajności i jakości pracy, nietrzeźwość w pracy, niski stopień efektywności wykorzystania czasu pracy zespołowej.

Ten ostatni wskaźnik jest o tyle interesujący, iż dotyczy szczególnie ostatnich lat; odnosi się do sytuacji, w której kierownictwo zakładów, mimo mniejszej produkcji dąży do odtworzenia wielkości zatrudnienia z lat poprzedzających kryzys ekonomiczny, utrzymywania rezerw kadrowych na rzecz przyszłego wzrostu produkcji, zamykania zapotrzebowania na robotników. W związku z tym mówi się nie tylko o tym, iż płaca ale i zatrudnienie ma w Polsce charakter socjalny.

Ogólna charakterystyka stanu polskiej gospodarki według podstawowych, globalnych wskaźników pozwala stwierdzić, iż w zasadzie od 1975 r. spadło tempo wzrostu dochodu narodowego, spadła (i tak już niska) efektywność gospodarowania, szybsze było tempo wzrostu technicznego uzbrojenia pracy niż wydajności, wysoka śmia (i jest nadal) w porównaniu z innymi

nych, ale są normami uzasadnionymi płacowo. Ponadto nie wszystkie prace są znormowane. Średnia za rok 1984 wynosiła 47 proc., choć w odniesieniu do poszczególnych dziedzin wytwórczości wskaźnik ten osiągał różne wartości. Np. w przemyśle odzieżowym — 76,6 proc. Tak różny stopień znormowania prac przy jego wyraźnym znaczeniu dla oceny efektywności produkcji, nie pozwala na prowadzenie racjonalnej polityki zatrudnienia, optymalizacji czasu pracy, a mówiąc ogólnie racjonalnej organizacji pracy. Warto wspomnieć, iż w innych krajach, zarówno socjalistycznych, jak i kapitalistycznych, stopień znormowania prac waha się w granicach 70—80 proc. Nie oznacza to, iż nie podejmuje się aktualizacji norm pracy. Jest to jednak proces zbyt słabo zaawansowany. Tam gdzie prace nad uaktualnieniem norm zostały zakończone, średnie ich wykonanie wynosi około 114,4 proc., co wcale nie musi oznaczać spadku płac, ale lepsze wykorzystanie czasu pracy.

SKĄD BIERZE SIĘ NISKA JAKOŚĆ?

Spadkowi społecznej wydajności towarzyszy nie tylko proces przekraczania norm pracy, ale również niska jakość produkcji. Pamiętajmy przy tym, iż normy jakości dla poszczególnych wyrobów nieraz w tej samej branży są

pracy jako na proces bardzo złożony. Niemniej wydaje się, iż to nie historia, ale realne warunki istniejące w sferze pracy, oparte na racjonalnych zasadach organizacyjnych, na zasadzie ekwiwalentności za pracę, winny być przedmiotem szczególnych i pogłębianych analiz. Wnioski zaś z tych analiz winny służyć do takiego organizowania życia społecznego w procesie, aby nie można było powiedzieć, iż prawdziwe życie Polaków realizuje się poza pracą.

DLACZEGO KRYZYS PRACY?

Usytuowanie zakładu pracy w określonej strukturze ekonomicznej, konkretny przebieg procesu pracy, prowadzona polityka zatrudnienia, układ stosunków między przełożonymi a podwładnymi, organizacja pracy itd. jeżeli są niewłaściwe, stanowią zasadniczą grupę przyczyn, składających się na kryzys pracy.

Druga grupa przyczyn wiąże się ze zmianami, jakie zaszły w procesie przewartościowania pracy. Jest ona coraz częściej oceniana nie tylko ze względu na jej znaczenie dla wyższych bądź szerszych zbiorowości. Wartość pracy określana jest coraz częściej z punktu widzenia tego, co daje ona jednostce ją wykonującej, jaka jest relacja wykonywanej pracy do możliwości rozwoju osobowości, twórczych postaw. Rodzi to cały szereg problemów, choćby z tego względu, iż prac które spełniałyby warunki samorealizacji dla jednostki nadal nie ma zbyt wiele. Szczegółowe analizy, w tym również socjologiczne pokazują, iż występuje nie tylko wiele jeszcze pracy źle zorganizowanej, ale również ciężkiej, brudnej, niebezpiecznej bądź nudnej, nieciekawej, monotonnej, mało twórczej, o niskim stopniu samodzielności, inicjatywy. Należałoby zatem zastanowić się, czy taka sytuacja nie powoduje określonych napięć psychicznych, stanów frustracyjnych, które mogą się przejawiać bardzo różnie przejawiać, m.in. w sferze wartościowania pracy. Niezadowolone pracowników z wykonywanej pracy może przybierać bardzo wiele różnorodnych form.

Zarówno pierwsza grupa przyczyn kryzysu pracy jak i druga mająca raczej wymiar psychologiczny wiążą się zarówno z częstym przepaszczaniem efektów pracy pracowników, jak i z wykształcaniem się poczucia bezsensu własnej pracy, by nie wspomnieć już o tym, że wiele czynników przyczynia się do tego, iż wśród pracowników wytwarza się przekonanie, iż do ich głównych obowiązków należy przede wszystkim obecność w miejscu pracy a nie sama praca.

Wprowadzenie reformy gospodarczej ma m.in. na celu ograniczenie bądź eliminowanie tych czynników, które do tej pory powodowały wiele zjawisk i procesów składających się na kryzys pracy. Obserwowane w ostatnim okresie tendencje do tworzenia struktur ponadzakładowych (gwarectw, dymarectw, wspólnot czy międzyresortowych zrzeszeń obligatoryjnych), zdają się jednak świadczyć o tym, iż nie do końca i nie przez wszystkich założenia reformy są właściwie odczytywane, jak i w różnym stopniu akceptowane.

CO ZROBIĆ, ŻEBY PRACA BYŁA SZANOWANA?

Reforma gospodarcza w Polsce rozumiana jako wynik skłócenia planu i rynku, przymusu administracyjnego (plan) i przymusu rynkowego (rynek) nie przez wszystkich odczytywana jest w sposób właściwy. Idzie bowiem o to, aby przymus administracyjny nie zaczął być traktowany jako alternatywa mechanizmów rynkowych, które również w czystej, klasycznej postaci „wolnej gry sił” w systemie gospodarki socjalistycznej nie mogą być realizowane.

A. Siciński przedstawiając w 1981 r. trzy wersje odbudowywania etosu pracy w Polsce prawdopodobnie nie przypuszczał, iż tak szybko zostaną zweryfikowane. Pierwszy z nich zakładał wzajemne blokowanie się podstawowych sił społecznych w efekcie czego nie będą podjęte żadne skuteczne działania organizacyjne bądź eliminujące czynniki mające negatywny wpływ na etykę pracy. Drugi zakładał dość szybkie a zarazem przejściowe i nielotne pozytywne zmiany, które miały być efektem rządów „silnej ręki”. Uboższymi jak gdyby produktem tego procesu miało być bezrobocie. Należy pamiętać, iż wizja bezrobocia, która tutaj funkcjonuje jedynie w płaszczyźnie określonej alternatywy traktowana była w określonych rozwiązaniach całkiem realnie. Stąd wcześniejsze emerytury, FFAZ — podstawowe źródło finansowania bezrobotnych, opłacania działalności odnoszące się do masowego przekwalifikowania pracowników itd.

Trzeci wariant określany był przez A. Sicińskiego jako najbardziej korzystny, ale i zarazem najmniej prawdopodobny. Zakładał wprowadzenie zasadniczych zmian w życiu społecznym (głównie większą samorządność), zmian odnoszących się do zasad zarządzania i kierowania gospodarką, opartych na logice rynku (np. konkurencyjności). Należy zatem mieć nadzieję, iż obserwowane niektóre procesy związane z realizacją reformy gospodarczej, niepokojące ekonomistów nie uczynią najbardziej prawdopodobnym rozwiązaniem pierwszego.

Niska społeczna wydajność pracy a jednocześnie dość powszechne przepracowanie, zmęczenie pracą, a wyraża praca „na luzie” drugich, wydają się być specyficzną a zarazem typową cechą odnoszącą się do społeczeństwa polskiego. Rozwiązania tego paradoksu są znane i powszechnie akceptowane. Okazuje się jednak, iż przejście od powszechnej zgody do konkretnych działań, przynajmniej w naszych warunkach jest dość skomplikowane. Trzeba zatem ciągle pamiętać iż „socjalizm zbiorowej pracy efektywnej musi jednak w pierwszym zrywku w głowach możliwie wielu ludzi, zanim zdoła przeniknąć całą rzeczywistość” — jak utrzymuje Józef Lipiec.

Czarna dziura

WITOLD BOROWY

W 1982 roku Kurt Waldheim zszedł z międzynarodowej areny politycznej. Kandydował wprawdzie po raz trzeci na stanowisko sekretarza generalnego ONZ i byłby może został wybrany, gdyby nie veto Chin. Urodził się w 1918 roku. Jest Austriakiem. Był studentem Akademii Konsularnej. Po wojnie pracował w dyplomacji. Najpierw był prywatnym sekretarzem austriackiego ministra spraw zagranicznych Karla Grubera, później urzędnikiem MSZ Austrii. W 1964 roku został stałym przedstawicielem Austrii w ONZ. W latach 1968—1970 był ministrem spraw zagranicznych, a w latach 1972—1982 sekretarzem generalnym ONZ. Obecnie kandyduje do stanowiska prezydenta Austrii. Kontrkandydatami są Kurt Steyer i Otto Scharnitz.

Gdy Kurt Waldheim kandydował na stanowisko sekretarza generalnego ONZ powszechnie interesowano się jego przeszłością. Był przecież Austriakiem i w latach wojny 1939—1945 nie przebywał na emigracji. Co więc robił?

W 1939 roku, dokładnie 15 sierpnia, został powołany do służby wojskowej w Wehrmachcie. W grudniu 1941 roku został ranny pod Orlem na froncie wschodnim. W pamiętnikach, jakie opublikował, a które noszą tytuł: „W oku cyklonu” napisał, że po leczeniu rany w szpitalu, w 1942 roku zakończyła się dla niego służba wojskowa i powrócił do Wiednia, aby studiować prawo. Przez wiele lat — a także w czasie, gdy był sekretarzem generalnym ONZ — nikt tego nie kwestionował. I oto nagle, gdy wystąpił jako kandydat do fotela prezydenckiego Austrii, wybuchła bomba. Zaczął amerykański dziennik „The New York Times” i wiedeński magazyn „Profil”. Napisało o tym,

CO KURT WALDHEIM PRZEMILCZAŁ?

A przemilczał, że w kwietniu 1938 roku wstąpił do hitlerowskiego związku studentów, a 18 listopada 1938 roku został członkiem konnego oddziału SA i był nim do momentu rozpoczęcia służby wojskowej. Miał 20 lat, gdy wstąpił do tych organizacji. W wojskowej karcie ewidencyjnej, którą „The New York Times” opublikował jest to wyraźnie napisane.

Na tej podstawie Światowy Kongres Żydów oskarżył Kurta Waldheima o to, że był nazistą. A studenci żydowscy 1 kwietnia 1986 roku urządzili nawet demonstrację pod siedzibą ONZ w Nowym Jorku wnosząc okrzyki: „Naziści precz z ONZ”, choć Kurt Waldheim już od 4 lat nie jest sekretarzem generalnym ONZ.

Profesor Robert E. Herzstein z uniwersytetu Południowej Karoliny poszukiwał w amerykańskich archiwach na polecenie Światowego Kongresu Żydów różnych dokumentów odnoszących się do czasów drugiej wojny światowej. I właśnie w trakcie tych poszukiwań natrafił na dokumenty, według których Kurt Waldheim nie mógł studiować prawa w Wiedniu od 1942 roku i wcale w tym roku nie zakończyła się jego służba wojskowa w Wehrmachcie. Przeciwnie, jako porucznik Wehrmachtu pracował w sztabie generała Aleksandra Lohra, który to sztab stacjonował w Salonikach. General Aleksander Lohr dowodził „gru-

Polacy i Żydzi

Większość z przeszło sześciu milionów ofiar hitlerowskiego terroru w Polsce w latach drugiej wojny światowej, wyniszczona została w komorach gazowych obozów koncentracyjnych, pod „ścianami śmierci”, od kul plutonów egzekucyjnych, na szubienicach, czy pod razami pałek strażników i dozorców obozowych. Nie tylko wskazać w obozach i gestapowskich więzieniach ginęli Polacy. Niektórzy byli osądzeni i skazani w toku postępowania przed „sądami specjalnymi” (Sondergerichte). Według „prawa” stworzonego specjalnie dla Polaków, które z reguły przewidywało tylko jedną karę — śmierć, a pozwalało wymierzyć karę śmierci także wówczas, gdy naruszony (rzeczywiście, czy rzekomo) przez Polaka przepis karty takiej nie przewidywał.

W czasie wojny 26 sierpnia 1939 r. ogłoszony został dekret Adolfa Hitlera o specjalnym wojennym prawie karnym oraz o sądach wojennych, w oparciu o który zostały wprowadzone na okupowanych terenach Polski sądy specjalne oraz policyjne sądy doraźne, które karały śmiercią za „zamachy” na niemiecki Wehrmacht i za posiadanie broni. Okupant stosował okrutne represje wobec polskiej ludności za rzekome przesładowanie mniejszości niemieckiej przed wojną i w pierwszych jej dniach. Wehrmacht, Gestapo, SS i Selbstschutz dokonywały krwawych egzekucji na podstawie orzeczeń wydawanych doraźnie bez jakichkolwiek sądów i wyroków formalnych. Działalność ta została później zalegalizowana. 4.X.1939 r. Adolf Hitler wydał tajny dekret, którym udzielił amnestii za zbrodnie popełnione we wrześniu 1939 na ludności polskiej.

Dekretem z 8.X.1939 r. wprowadzonym w życie z dniem 26.X.1939 r. „o ucieleniu i administracji terenów wschodnich”, zostały włączone w skład Rzeszy Niemieckiej województwa: śląskie, poznańskie, pomorskie oraz częściowo warszawskie, łódzkie, kieleckie i biłostockie. Tym samym, na terenach tych zaczęło obowiązywać prawo karne Rzeszy. Jednakże zadaniem przywódców hitlerowskich prawo to dla Polaków było zbyt łagodne, a przestrzega-

DANUTA DURAJ

Jak Polak pracuje?

mi krajami energochłonność i materiałochłonność produkcji, a także spadło tempo społecznej wydajności pracy w 1975 r. o 7,5 proc., w 1978 r. o 2,0 proc.

CZY JEST MAŁO LUDZI DO PRACY?

Pozorny brak rąk do pracy, jaki wystąpił w ostatnich latach ma różnorodne przyczyny: jedną z nich jest nadal — mimo zahamowania jej spadku w 1982 r. — niska wydajność pracy. Poziom wydajności pracy w całym przemyśle jest niższa niż osiągnięty w roku 1978 i 1980, a w niektórych przemysłach, np. spożywczym stanowił w 1983 r. 57 proc. poziomu wydajności z 1978 r. Mimo podejmowanych wysiłków w przedsiębiorstwach obserwuje się nadal niezadowalające tempo wzrostu produkcji, co z kolei wpływa na pogorszenie się wykorzystania czasu przeznaczanego na pracę.

W miesiącach styczni — maj 1985 roku liczba godzin nie przepracowanych, przypadających na jednego robotnika w przemyśle kluczowym wyniosła 94,6 godz., to jest więcej niż w analogicznym okresie roku poprzedniego. Niekorzystne są również tendencje w strukturze czasu nie przepracowanego. Najbardziej wzrosły płatne przestoje — o 22,5 proc.; zwiększeniu uległ także czas nie przepracowany — nieusprawiedliwiony — o 11 proc. Oczywiście wartości te są różne dla różnych gałęzi przemysłu. Najwyższy poziom strat czasu pracy z powodu godzin nie przepracowanych występował w przemyśle odzieżowym i włókienniczym (po 106,3 godz. na jednego robotnika), skórzany (102 godz.) i środków transportu (101,5 godz.). Przy uwzględnieniu tylko I kwartału 1985 roku okazało się, iż największe straty z tytułu czasu nie przepracowanego wśród województw centralnych wystąpiły w województwie łódzkim.

Jednocześnie nastąpił wzrost godzin nadliczbowych, do których zaliczamy także pracę w wolne soboty. W ciągu pięciu miesięcy 1985 r. na jednego robotnika grupy przemysłowej przypadło 59 godzin nadliczbowych, to jest o ponad 13 proc. więcej niż w analogicznym okresie roku poprzedniego. Tak jak w przypadku czasu nie przepracowanego, tak i tutaj występują różnice między poszczególnymi przedsiębiorstwami a nawet poszczególnymi pracownikami.

Jak wynika z analiz Państwowej Inspekcji Pracy przeprowadzonych w odniesieniu do Huty im. Włodzimierza Lenina niektórzy pracownicy podejmują pracę w godzinach nadliczbowych przekraczających kilkakrotnie dopuszczalne normy, np. 1000 godzin rocznie.

DLACZEGO MOŻNA WYSOKO PRZEKROCZYĆ NORMĘ?

Koniecznym dopełnieniem tych analiz wydają się tutaj stwierdzenia odnoszące się do wykonania norm pracy w polskim przemyśle. Dość powszechnie stosowano w czterdziestolecie zasadę przekraczania ogólnych założeń planu, wykonywania ich przed terminem, co budziło różne zastrzeżenia. Poza tym w systemie normowania pracy w Polsce można się doszukiwać przyczyn wzrostu płac wtedy, gdy wydajność wcale nie rośnie. Analiza wykonana w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych dowiodła, iż średnie wykonanie norm pracy w przemyśle, w ciągu jednego miesiąca (maj 1984 r.) wyniosło 153,2 proc., choć przy właściwym ich skonstruowaniu wykonanie możliwe jest w granicach 100—120 proc. Najwyższą średnią wykonania norm miała miejsce w przemyśle ceramiki szlachetnej (204,1 proc.), gdzie płace są stosunkowo niskie, najniższe zaś w przemyśle poligraficznym (126 proc.), elektrotechnicznym i elektrycznym (129,5 proc.).

Znaczący problem twierdzą, iż normy ustalone w polskim przemyśle nadal najczęściej nie mają charakteru norm technicznie uzasadnio-

tak różne, iż niekiedy nie można, w oparciu o dane statystyczne ocenić poziomu jakości pracy. Wiele szkody wyrządził fakt, że od lat służby kontroli jakości w przemyśle podlegały kierownictwu zakładów, które przecież były zainteresowane tym, by normy jakości, skrupulatności w ich stosowaniu, były jak najbardziej liberalne. Niska jakość produkcji, mimo istnienia, chyba jedynej w świecie i mającej być w niedługim czasie zniesionej ustawy o jakości ciągle się pogarsza. Straty spowodowane produkcją wadliwych wyrobów stanowiły w 1985 r. jedną czwartą wartości dochodu narodowego — około 900 mld zł. Trudno zatem dziwić się niektórym badaniom socjologicznym, z których wynika, iż robotnicy niezbyt pozytywnie wypowiadają się na temat polskiej gospodarki. Zresztą i sama kadra kierownicza wypowiadając się na temat zamierzeń rozwojowych przedsiębiorstw — oszczędność i efektywność lokuje na jednym z ostatnich miejsc w hierarchii celów; na pierwszym zaś miejscu wzrost produkcji, uzależnionej jednak od zwiększenia dostaw surowców, materiałów i energii.

W procesie motywowania pracowników do lepszej pracy występowały i występują nadal sprzeczności wynikające ze stosowanej w zasadzie od lat pięćdziesiątych zasady, że im więcej płaci się pracownikowi, tym jego wydajność będzie większa. Szczególnie ostro proces ten zaznaczył się w latach siedemdziesiątych, co w sposób fatalny odbiło się na stanie funkcjonowania przedsiębiorstw. W sytuacji, gdy płaca zaczyna pełnić inne funkcje i przestaje być ekwiwalentem za wykonaną pracę, czy też nabiera cech płacy socjalnej, poszukiwanie innych motywacji wzrostu wydajności pracy staje się zagadnieniem dość skomplikowanym. Wydajna praca nie jest powszechnie traktowana jako sposób na uzyskanie wyższych zarobków.

W badaniach socjologicznych z 1985 r. związek między zwiększaniem wydajności a wyższą płacą dostrzegali tylko co trzeci pracownik. Był to najczęściej pracownik z wykształceniem średnim i zawodowym.

SKĄD BIERZE SIĘ MARNOTRAWSTWO?

Niekorzystne tendencje występujące w polskim systemie pracy krytykowane są od wielu lat. Prowadzą do pogłębiania się kryzysu pracy. Zresztą niekiedy trudno orzec, jakie zjawiska i procesy są przyczyną a jakie skutkiem owego kryzysu. Bardzo dokładna analiza funkcjonowania systemu pracy w Polsce, dokonywana zresztą przez przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych, wskazuje zarazem na rozległość jak i natężenie tych niekorzystnych tendencji. Jednym z wymiarów niesprawności polskiego systemu pracy jest ogromne marnotrawstwo, zarówno czasu pracownika i jego zdolności do pracy, jak i surowców czy materiałów.

Stopień marnotrawstwa rzeczowych i ludzkich czynników w Polsce w 1976 r. był prawie taki sam jak w USA w 1921 r. i w Polsce w 1926 r. Co ciekawsze, zbliżne też były ustalenia dotyczące przyczyn owego marnotrawstwa. We wszystkich trzech okresach odpowiedzialnością za marnotrawstwo w przemyśle obarczył można: w 10 proc. robotników, w 45 proc. dozor w przedsiębiorstwie — od mistrza do dyrektora, a pozostałych 45 proc. są to czynniki niezależne od kierownictwa przedsiębiorstwa. Te ostatnie w ustroju kapitalistycznym związane są z mechanizmem rynkowym, zaś socjalistycznym — z funkcjonowaniem gospodarki planowej.

Mówiąc o przyczynach kryzysu pracy wskazujemy się także na wagę tradycji historycznych narodu, rozumiane jako warunki rozwoju pracy od feudalizmu do socjalizmu. Warunki historyczne, które czasem sprowadzane są do charakteru narodowego, wpływu religii katolickiej itd. nie powinny być w tych analizach pomijane. Choćby z tego względu, iż pozwalają nam spojrzeć na proces wykształcania się podstaw wobec

w zyciorysie Kurta Waldheima

pą wojsk E" i zajmował się między innymi zwalczaniem partyzantów greckich, a przede wszystkim jugosłowiańskich oraz deportacją Żydów z Grecji. W 1947 roku generał Aleksander Lohr został skazany przez jugosłowiański sąd za zbrodnie popełnione na ludności Jugosławii i rozstrzelany w Belgradzie.

Na podstawie znalezionych dokumentów „The New York Times” i Światowy Kongres Żydów utrzymują, że Kurt Waldheim w latach 1942–1944 przebywał w Jugosławii i Albanii, gdzie pełnił obowiązki oficera wywiadu i na raportach donoszących o walkach z jugosłowiańskimi partyzantami, a także na tajnych raportach o greckich partyzantach George Papandreu — ojciec obecnego premiera Grecji Andreas Papandreu — widnieją podpisy Kurta Waldheima. Sekretarz Światowego Kongresu Żydów, Israel Singer, komentując znalezione dokumenty oświadczył, iż „jest to czubek góry lodowej i pierwszy rozdział analizy przeprowadzonej w ciągu niespełna sześciu tygodni” zapowiadając tym samym kolejne rewelacje i dając do zrozumienia, że Światowy Kongres Żydów posiada dalsze dokumenty.

DO TEJ DZIWNEJ GRY

włączyła się prasa jugosłowiańska. Belgradzkie „Večernje Novosti” przypominały dokument z 1947 roku, który wśród poszukiwanych zbrodniarzy wojennych wymienia też nazwisko Kurta Waldheima. Przypomniano też znaną złożoną wówczas przez Johanna Maiera, który oskarżył Kurta Waldheima o przygotowywanie propozycji, według których miało traktować jeńców wojennych oraz osoby cywilne. Przypomniano zeznanie Ekberta Hilke-
ra, który oskarżył Kurta Waldheima o udział w spaleniu trzech wsi i zamordowanie 114 ich mieszkańców. Miało to mieć miejsce w okolicach miasteczka Kocani i Stip w październiku 1944 roku.

Oskarża się Kurta Waldheima o udział w zamordowaniu partyzantów i ludności cywilnej zatrzymanych w Górach Kozara. Znajdują się tam ponoć tablice, na której figuruje 30 nazwisk oficerów Wehrmachtu, a wśród nich Kurta Waldheima. Otrzymał on w czasie wojny — w lipcu 1942 roku — srebrny medal króla Zvonimira z debowymi liśćmi, chorwackie odznaczenie nadawano „pod ogniem nieprzyjaciela”. W związku z tym czasopismo wychodzące w Zagrzebiu „Start” opublikowało artykuł, w którym przyznaje, że nie zachowały się żadne dokumenty odnoszące się do nadanego odznaczenia, ale wiadomo jedynie, że Kurt Waldheim był w sztabie „specjalnej grupy bojowej zachodniej Bośni”.

Premier Jugosławii Milka Planinc przebywając w Austrii oświadczyła, że jest to sprawa wewnętrzna Austrii i Jugosławia nie zamierza się do niej wtrącać. Następnie rzecznik MSZ w Belgradzie, Aleksander Stanić oświadczył, że Jugosławia nie podtrzymuje żądania wysuniętego w 1947 roku w sprawie poszukiwania Kurta Waldheima jako zbrodniarza wojennego, a także skrytykował prasę jugosłowiańską za wtrącanie się do kampanii wyborczej w sąsiedniej Austrii, co jest mieszaniną się w jej sprawy wewnętrzne.

LUKA W ŻYCIORYSIE

Kurt Waldheim i oskarżenia go o udział w przestępstwach wojennych zmusiły wielu polityków do zajęcia stanowiska. Byli kanclerz Austrii Bruno Kreisky określił ataki na Kurta Waldheima jako przejaw „nietychanej ingerencji”. Oświadczył, że nie cofa rekomendacji dla niego, choć popiera jego kontrkandydata Kurta Steyera. Oświadczył też, że Kurta Waldheima atakują te same siły, które również odnoszą się wrogo do niego samego, a które nie można utożsamiać z całym Światowym Kongresem Żydów.

Gmina Żydowska w Austrii oświadczyła, że jest to bezprzykładne mieszanie się w wewnętrzne sprawy Austrii, które może w konsekwencji odbić się ujemnie na Żydach, wzbudzając nastroje antysemickie. Jednocześnie złożyła oświadczenie, że niemożliwe było, aby Kurt Waldheim, jako oficer Wehrmachtu, pracujący w sztabie, przebywający w Grecji i Jugosławii nic nie wiedział o walce z partyzantami i deportacji Żydów z Grecji.

Simon Wiesenthal — kierownik Ośrodka Dokumentacji Żydowskiej w Wiedniu — stwierdził, że Kurt Waldheim jest „sam sobie wiele winien”, gdyż niepotrzebnie ukrywał fakty, jeśli nie musiał się z nich tłumaczyć. Gdyby początkowo wszystkiemu nie zaprzeczał, dziś mógłby łatwiej się z tego wytłumaczyć. Jego zdaniem nie wystarczy postawić zarzuty, ale trzeba je jeszcze udowodnić. Oskarżenia przeciw austriackiemu politykowi zdaniem Simona Wiesenthala „zatrucia klimat partyjno-polityczny” w Austrii przed prezydenckimi wyborami. Jego zdaniem sygnał do rozpoczęcia nagonki przeciw Kurtowi Waldheimowi wyszedł z Austrii.

Pułkownik Herbert Warnstorff, który był w czasie wojny zwierzchnikiem Kurta Waldheima, oświadczył w wywiadzie dla austriackiego dziennika „Kronenzeitung”, że był on oficerem ordynansowym, „siedział za biurkiem i przynosił raporty”. Hans Uteschill, bojownik ruchu oporu i pracownik francuskiego kontrwywiadu, który powrócił w 1954 roku do Austrii, oświadczył, że badał przeszłość Kurta Waldheima, podobnie jak przeszłość innych austriackich dyplomatów, i nie znalazł w niej nic podejrzanego.

Amerykański kongresmen Stephen Solarz w audycji sieci telewizyjnej ABC przypominał, że już w 1980 roku zwracał się do Kurta Waldheima z pytaniem, co robił w latach 1942–1943 i otrzymał odpowiedź, że studiował, a służbę wojenną zakończył w 1942 roku. Stephen Solarz zwracał się też do CIA z pytaniem o przeszłość sekretarza generalnego ONZ i — jak podaje „The New York Times” — otrzymał odpowiedź następującej treści: „Sądzi-
my, że Waldheim nie był członkiem młodzieżowego ruchu hitlerowskiego i że nie był zamieszany w działalność antyżydowską”. Stephen Solarz zwrócił się do ONZ o zbadanie archiwów, a Światowy Kongres Żydów do ministra sprawiedliwości USA, Edwina Meese z prośbą o zastanowienie się, czy Kurt Waldheim mógłby być teraz, gdy jest podejrzanym o udział w hitlerowskich zbrodniach, wypuszczony do USA. Rzecznik tego ministerstwa, Neal

Sher powiadomił opinię publiczną, że ministerstwo zbada dokumenty, które dostarczy ministerstwo Światowy Kongres Żydów.

Premier rządu izraelskiego Szymon Perez początkowo powstrzymał się przed jakimikolwiek komentarzami na temat oskarżeń podniesionych przez Światowy Kongres Żydów, jako że oskarżenia te nie są udowodnione. W taki sam sposób wypowiedział się w wywiadzie dla izraelskiego dziennika „Maariv” były ambasador Izraela w ONZ, Abba Eban, który powiedział, że rząd izraelski nie wypowiada się w tej sprawie, ponieważ „nie jest jeszcze przekonany, że sprawa jest zgodna z prawdą”. Następnie jednak Szymon Perez, w kilka dni później, określił oskarżenia przeciw Kurtowi Waldheimowi jako „bardzo poważne”.

Natomiast sekretarz generalny ONZ Javier Perez de Cuellar, który był dokładnie informowany o przebiegu oskarżeń i obrony Kurta Waldheima, wyraził opinię, że zarzuty są „całkowicie absurdalne”.

W sprawie tej wypowiedział się też Kanclerz Austrii, Fred Sinowatz, który uważa, że „rząd oficjalnie nie przedsięwzięł niczego”, gdyż oskarżenia płyną bądź to od dzienników, które nie są oficjalnymi organami partii czy instytucji, bądź od prywatnych organizacji czy osób. Jeśli jednak Kurt Waldheim zwróci się do rządu z prośbą o pomoc w znalezieniu w archiwach Austrii dokumentów dla obrony, to taka pomoc będzie mu udzielona. Podobne oświadczenie złożył minister spraw zagranicznych Austrii, Leopold Graf: „Zarzuty pochodzą od organizacji prywatnej i dlatego nie ma powodu do oficjalnych wystąpień. MSZ i rząd nie są trybunałem, który musi zbadać, czy zarzuty są uzasadnione”.

„The New York Times” w kolejnej publikacji na temat przeszłości Kurta Waldheima wysunął sugestie, że rządy wielkich mocarstw wiedziały doskonale o całej wojennej przeszłości sekretarza generalnego ONZ, ale nie podejmowały w tej sprawie żadnych działań z sobie tylko wiadomych powodów i dla siebie wiadomych celów.

CO NA TO WSZYSTKO ZAINTERESOWANY?

Przyznaje, że niepotrzebnie ukrył pewne fakty. Do organizacji hitlerowskich wstąpił, aby uchronić siebie i rodzinę. Jego zdaniem przynależność do tych organizacji nie miała większego znaczenia. Natomiast jeśli chodzi o obecny atak na niego, to „moment został wybrany precyzyjnie. Przez 40 lat nikt tych zarzutów nie wysunął”. Jego zdaniem jest to odwet za jego stanowisko w sprawach konfliktu na Bliskim Wschodzie. W wojsku był tłumaczem i oficerem sztabowym. Chorwackie odznaczenie otrzymał podobnie jak wielu innych, było to rutynowe odznaczenie. Nie był nigdy w starciu z jugosłowiańskimi partyzantami, nie wiedział nic o deportacjach greckich Żydów. W wywiadzie dla „Večernje Novosti” przyznał, że był na Górze Kozara. Dokumenty podpisywał, gdyż należało to do jego sztabowych obowiązków. Nigdy nie był oficerem wywiadu.

Najlepszym przykładem tego, że Jugosławia nie miała do niego żadnych pretensji jest fakt, iż dwukrotnie podczas wyborów sekretarza generalnego ONZ delegacja Jugosławii głosowała na niego. Było to możliwe dlatego, że już w 1947 roku wyjaśniono, że zarzuty wysunięte pod jego adresem są bezpodstawne. Był w przyjacielskich stosunkach z marszałkiem Józefem Broz-Tito, w 1968 roku otrzymał wysokie odznaczenie jugosłowiańskie.

W wywiadzie dla belgradzkiego dziennika „Politika” wyjaśnił, że wiosną 1942 roku był w Belgradzie jako tłumacz przy sztabie włoskiej dywizji „Pusteria”, a następnie z tą dy-

wizją w miejscowości Pljevlja w Czarnogórze. Przejedździł też przez miasto Banja Luka u podnóża Góry Kozara. Jesienią 1942 roku został przeniesiony do Salonik. W 1943 roku przez pewien czas przebywał w Tiranie, a później w mieście Podgorica w Czarnogórze — dziś Titograd. W żadnym jednak czasie, kiedy był na Bałkanach nie brał udziału w akcjach zbrojnych przeciw partyzantom czy ludności cywilnej. Był tłumaczem i oficerem łącznikowym.

W wywiadzie dla czasopisma jugosłowiańskiego „Novosti” Kurt Waldheim wyraził gotowość „stawić się w każdej chwili przed obliczem komisji jugosłowiańskich historyków, aby wyjaśnić wysuwane przeciwko niemu zarzuty dotyczące zbrodni wojennych w Jugosławii. Jestem niewinny i moje ręce nie są splamione krwią” — dodał. W tym wywiadzie przyznał, że w lecie 1944 roku był krótko w Bośni, ale odrzucił oskarżenie o udział w jakiegokolwiek akcji pacyfikacyjnej.

„Podkreślam — powiedział — że zawsze podróżowałem samolotem. Tak więc nigdy nie uczestniczyłem w paleniu wiosek i innych re-
presjach, a tym bardziej w egzekucjach”. Do tej wypowiedzi dodał, że w okresie deportacji Żydów z Salonik — a było to między marcem a majem 1943 roku — nie przebywał w Grecji, ale był na urlopie w Wiedniu.

CAŁA TA HISTORIA

Jest zaskakująca i co najmniej dziwna. A na dodatek jeszcze tajemnicza. Wiele w niej sprzeczności i niejasności. Wiele emocji. Trudno więc ocenić, czy podawane fakty, to rzeczywiście fakty i co się z tym kryje, jak je należy dziś interpretować. Wybory w Austrii mają odbyć się 4 maja 1986 roku. Czasu pozostało niewiele. Czy do dnia wyborów rozważa zostaną wszelkie wątpliwości co do przeszłości Kurta Waldheima?

Obserwatorzy polityczni uważają, że sprawa z zarzutami wobec jednego z kandydatów do fotela prezydenckiego Austrii zamęciła cały obraz i dziś trudno ustalić, jaki będzie wynik. Gdyby Kurt Waldheim — zastanawia się „Mannheimer Morgen” 2 kwietnia 1986 roku — posłuchał sugestii i wycofał swoją kandydaturę, to Austriacka Partia Ludowa, która popiera kandydaturę Kurta Waldheima, nie byłaby już w stanie znaleźć innego kandydata. Wówczas Socjalistyczna Partia Austrii, której kandydatem jest Kurt Steyer, miałaby całkowicie uciśnioną sytuację.

Ciekawe stanowisko w tym politycznym sporze zajęła „Frankfurter Neue Presse”, która przypominała Austriakom:

„Ci spośród jego rodaków, którzy z trytycją reagują na każdą ingerencję w austriackie sprawy i przekornie krzyczą: „Wybermy kogo zechcemy”, wydają się zapominać, jaki udział miał ich kraj w powstaniu wielokrotnie-
kier Rzeszy. Skłonność do przedstawiania się jedynie jako godnej pożałowania ofiary Hitlera jest, uprzedzić zrozumiałą, ale oznacza zbyt nachalne rozniesienie się z prawdą. Również Austriacy brali w tym udział i dlatego muszą się pogodzić, że reszta świata stawia austriackiemu czołowiemu funkcjonariuszowi, którego kamizelka ma brązowe plamy, inkwizytorskie pytania”.

Wypowiedź ta wydaje się potwierdzać, że cała ta sprawa z czarną dziurą w przeszłości Kurta Waldheima nie została wygnana przypływem. Ale ciągle brakuje odpowiedzi na pytanie: kto ma rację i jak było naprawdę? I nie jest to ot, takie sobie pytanie, wynikające z prostej ciekawości. No, bo w końcu przez 10 lat Kurt Waldheim stał na czele Organizacji Narodów Zjednoczonych.

oraz hitlerowskie prawo

nie przewidzianej nim procedury zbytnio przewlekło procesy przeciwko Polakom. 4 grudnia 1941 roku Rada Ministrów Obrony Rzeszy wydała „rozporządzenie o prawie karnym dla Polaków i Żydów na wschodnich ziemiach wcielonych”. Ten akt prawny liczył osiemnaście artykułów.

„Polacy i Żydzi (...) — napisał Wiktor Lemiesz w książce p.t. „Paragraf i zbrodnia” — mają zaniechać wszelkiego, co przynosi uszczerbek powadze Rzeszy Niemieckiej i narodu niemieckiego. Podlegają karze śmierci, jeśli popełnią akt gwałtu na Niemcu z powodu jego przynależności do narodu niemieckiego. Podlegają karze śmierci, a w mniej ciężkich wypadkach karze pozbawienia wolności, jeżeli przez nienawistną albo podburzającą działalność objawiają wrogi stosunek do Niemców, a w szczególności jeśli wywołują się wrogo pod adresem niemieckim albo odzierają lub uszkadzają obywateli niemieckich urzędów i placówek służbowych, albo gdy przez inne zachowanie się poniżają czy szkodzą powadze i dobru Rzeszy Niemieckiej albo narodu niemieckiego.”

JAKIE TO BYŁY PRZEPISY?

Najwyższy wymiar kary wobec Polaków i Żydów można było stosować nie tylko w wypadkach przewidzianych prawem. Rozporządzenie stanowiło iż „karę śmierci orzeka się, jeśli przewiduje ją prawo. Jeśli prawo nie przewiduje kary śmierci, to orzeka się ją także wtedy, kiedy przestępstwo świadczy o szczególnie niskich motywach albo z innych powodów jest szczególnie ciężkie”. Poza tym: „Polacy i Żydzi nie mogą występować z wnioskiem o wyłączenie niemieckiego sędzię jako uprzedzonego. Polacy i Żydzi nie mają prawa do wnoszenia oskarżenia prywatnego, ani prawa do współoskarżenia. Prawo do zaskarżenia wyroku przysługuje jedynie prokuratorowi. Z wnioskiem

o wznowienie postępowania może wystąpić jedynie prokurator. Areszt i tymczasowe zatrzymanie są zawsze dopuszczalne, jeśli zachodzi podejrzenie, że istnieje zamiar dokonania przestępstwa. Każdy wyrok jest wykonywalny natychmiast. Polacy i Żydzi są sądzeni przez sąd specjalny albo przez sąd powiatowy. Prokurator może wnosić oskarżenie do sądu specjalnego we wszystkich sprawach. Może wnieść oskarżenie do sądu powiatowego, jeśli nie przewiduje kary wyższej niż 5 lat obozu karnego lub 3 lat obostrzonego obozu karnego. Sąd i prokurator stosują procedurę w oparciu o niemieckie postępowanie karne według swego uznania”.

Omawiane rozporządzenie przewiduje także, że „namiestnik (nadprezydent) na wschodnich ziemiach wcielonych, w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych oraz ministrem sprawiedliwości Rzeszy, może zarządzić na obszarze przez siebie zarządzanym (...), że Polacy i Żydzi, którzy dopuścili się ciężkich wykroczeń przeciwko Niemcom albo też innych przestępstw poważnie zagrażających niemieckiemu dziełu odbudowy, mogą być aż do odwołania sądzeni przez sądy doraźne. Sądy doraźne wymierzają karę śmierci. Sądy doraźne mogą również odstąpić od wymierzenia kary i zamiast tego orzec przekazanie Tajnej Policji Państwowej”.

Minister sprawiedliwości zarządził z 23. VIII. 1942 r. postanowił, że do nieletnich Polaków i Żydów nie ma zastosowania niemiecka ustawa o sądownictwie dla nieletnich. Kara śmierci względem młodocianych Polaków i Żydów była dopuszczalna również wtedy, kiedy sprawa „może być uważana za ciężkie przestępstwo na podstawie charakteru dokonanych przestępstwa oraz na podstawie swego wyglądu”. Dolną granicę wieku karalności Polaków — 14 lat.

Wiktor Lemiesz w cytowanej pracy przytacza wyroki orzekane wobec Polaków.

OTO NIEKTÓRE Z WYROKÓW

Sąd specjalny w Łodzi, na sesji wyjazdowej w Kaliszu rozpatrywał 23.IX. 1944 r. sprawę Stefana Redzyny, mieszkańca Łodzi, który wyleziony w 1942 roku na przymusowe roboty uciekł do rodzinnego miasta, gdzie przebywał ukrywając się przed policją. W czerwcu 1944 r. został aresztowany i w czasie doprowadzenia do komisariatu podjął próbę ucieczki. Trzykrotnie postrzelony przez eskortującego go policjanta, został schwytany i postawiony przed sądem.

„W wypadku Redzyny — uzasadniał sąd — chodzi o człowieka odczuwającego wstręt do pracy, który zamiast iść do przydzielonej mu porządkowej roboty, wolał złamać umowę o pracę i utrzymywać się w sposób nielegalny”. Podania o łaskę nie uwzględniono. 24 października 1944 r. wyrok wykonano.

Sąd specjalny w Ciechanowie skazał na śmierć 25-letnią Rozalię Kuleszą, za „akt gwałtu” na Niemce, właściciela sklepu. Kulesza, zatrudniona jako służąca u Niemca Krügera, została przez niego wysłana do sklepu po zakupy. Gdy po wejściu powiedziała po polsku „dzień dobry” właścicielka odmówiła jej sprzedaży i zaczęła ją wypychać ze sklepu. Kulesza, obawiając się, że pracodawca ukarze ją za niewykonanie polecenia, usiłowała pozostać w sklepie, wtedy została kilkakrotnie uderzona w tył głowy. Przed uderzeniami zasłaniała się ręką, w której trzymała ręczną torebkę, „mniej niż średniej wielkości”. Została oskarżona, że tą właśnie torebką uderzyła właścicielkę sklepu. Sąd uznał, że oskarżona umyślnie uderzyła Niemkę torebką w twarz, powodując w ten sposób „obrazę powagi państwa i narodu niemieckiego”.

Sąd specjalny w Ciechanowie skazał w lutym 1943 r. Zygmunta Kucharskiego. Kucharski został kilkakrotnie spoliczkowany przez żandarmów za „bezczelną odpowiedź”, a po dwu dniach został przez trzech żandarmów aresztowany, w trakcie czego rzekomo stawiał opór. Uzasadnienie wydanego wyroku stwierdza, że: „swoim sposobem mówienia i w ogóle całym zachowaniem się oskarżony narażał na szwank powagę Rzeszy Niemieckiej”. Wyrok śmierci wykonano na gilotynie w Królewcu.

Sąd specjalny w Poznaniu skazał na śmierć 19-letniego Lucjana Stasiaka z Łodzi. Wywieziony na przymusowe roboty i zatrudniony w gospodarstwie rolnym koło Wrześni Stasiak, opuścił swego pracodawcę i udał się do Arbeitssamtu z prośbą o zmianę pracy, gdyż na pracy w rolnictwie nie znalazł się. Został oskarżony o samowolne opuszczenie pracy i groźenie nożem swemu pracodawcy. Sąd stwierdził: „Oskarżony jest uprzedzony jeszcze młody (...) ale do pracy odnosi się ze wstrętem”.

W dniach 12 i 13 czerwca 1942 r. na sesji wyjazdowej w Łodzi wyższy sąd krajowy z Poznania rozpatrywał sprawę 21 robotników i robotnic łódzkich, oskarżonych o zorganizowanie w latach 1940–1941 nielegalnej organizacji komunistycznej. Członkowie organizacji kolportowali nielegalne pisma i prowadzili działalność propagandową. Sąd skazał na karę śmierci murarza Bolesława Pastwińskiego, tkaczy Antoniego Suwalskiego i Wojciecha Wróblewskiego, robotnika Władysława Fronczka, robotnicę Stanisławę Skórzewską, betoniarza Józefa Zyberta oraz pończoszarkę Leokadię Karbownik. Pozostali oskarżeni zostali zesłani do obozu karnego, w którym 12 osób zmarło.

Sąd specjalny w Poznaniu 24.IV 1942 r. skazał na karę śmierci Polaka Ludwika Bayera, za pomoc udzieloną zbiegłemu z obozu jeńców angielskiego, a następnie dwóm jeńcom radzieckim. „Dla celów odstraszających jest konieczne orzeczenie kary śmierci (...) i podkreślenie w ten sposób z całym naciskiem, że sądy niemieckie zdecydowane są stosować najostrzejsze kary, jeśli Polacy będą prowadzić niebezpieczną grę i okazywać pomoc zbiegłym jeńcom wojennym”. Ludwik Bayer został publicznie powieszony przed własnym domem.

Akta procesów odbywających się przed sądami specjalnymi zachowały się jedynie częściowo. Nie wiadomo ilu Polaków i Polek i za jakie „zbrodnie” zostało osądzonych, skazanych i straconych. Ile popełniono zbrodni w majestacie prawa.

PIOTR SIKORSKI

trzymałam tak list:
„Informacja prasowa („Odgłosy” nr 39 z 28 września 1985 r.) o podpisanym porozumieniu między ministrem przemysłu chemicznego i lekkiego a prezydentem Łodzi o lokalizacji zakładu produkcji azbestu „Polonit” w dzielnicy przemysłowej Dąbrowy w bezpośrednim sąsiedztwie z naszym zakładem, zbulwersowała naszą załogę, która wnosi stanowczy protest (...). Czerpiąc powietrza naszych urządzeń klimatyzacyjno-wentylacyjnych będą wylatywały zanieczyszczone powietrze (pył azbestowy) oraz wylatywały do sal produkcyjnych. Załoga nasza znając zagrożenie, jakie stworzy uruchomienie produkcji azbestu w tak bliskiej odległości, sygnalizuje masowe odejście z naszego zakładu. Uważamy, że czynione przez zakład starania o odnowę i poprawę warunków pracy oraz stanu zdrowotności załogi zostaną

EWA LACHOWSKA

Azbest w mieście

zniewieczone w wyniku tak podjętej, lecz zupełnie nieprzemyślanej decyzji. Decyzja powyższa przynosi również bardzo poważne skutki społeczne, wyrażające się wzrostem niepokoju i podważeniem zasad ludowladztwa. Żadamy bezwzględnie wyprawadzenia Zakładu „Polonit” nie tylko z granic administracyjnych dzielnicy Dąbrowa, ale i Łodzi, zgodnie z ustawą o ochronie i kształtowaniu środowiska”.

Protest z 3 października 1985 r. podpisali przedstawiciele Rady Pracowniczej, Związków Zawodowych, Zakładowego Zespołu Radnych, Komitetu Zakładowego PZPR, dyrektor i kierownik przychodni zdrowia Przedsiębiorstwa Czesankowej Anilany „Polonit”.

BYĆ CZY NIE BYĆ PRZEDSIĘBIORSTWA

„POLONIT” ma prawie 100-letnią tradycję przetwórstwa i produkcji technicznych wyrobów azbestowych w Łodzi. Początki tego przedsiębiorstwa sięgają lat 90 ubiegłego stulecia. Produkując wyroby o szerokim zastosowaniu: począwszy od uszczelnień czy grzejników a skończywszy na motoryzacji, energetyce czy rolnictwie. Podstawowym surowcem, jaki jest używany do produkcji w „Polonidzie”, jest azbest. Mineral, kopalina posiadająca szczególne unikalne właściwości. Praktycznie w niektórych wyrobach nie do zastąpienia. Ale surowiec ten, oprócz unikalnych właściwości fizyczno-chemicznych, posiada jeden istotny mankament. Otóż, zarówno w zakresie przetwórstwa jak i narażenia na wpływ, powoduje określone schorzenia: pylice, nieżyty dróg oddechowych. Jest także rakotwórczy. Małe kłębki igielki azbestu (200 mikrometrów) docierają do najodleglejszych rejonów płuc i rozpoczynają szkodliwy wpływ na organizm ludzki. Przy czym okres zarażenia i gwałtownie azbestu z punktu medycznego może być bardzo krótki (nawet kilka miesięcy). Sama choroba ujawnia się dopiero po kilku, a nawet kilkunastu latach od momentu kontaktu z azbestem.

Przeciwko takiemu sąsiadowi zaprotestowali mieszkańcy nowego osiedla przy ul. Urzędniczej i Piekarskiej. W wyniku długich starań o nową lokalizację Oddziału „B” Zakładów Uszczelnienia i Wyrobów Azbestowych podjęto decyzję o jego przeniesieniu do dzielnicy przemysłowej Dąbrowa. Władze miasta podpisały umowę z ministrem przemysłu chemicznego i lekkiego o podziale inwestycji Zakładów Przemysłu Filcowego i przekazaniu jej części „Polonitowi”. Lokalizacja ta została zaakceptowana przez Wydział Ochrony Środowiska UML i „Sanepid”. O budowie „Polonitu” na Dąbrowie pozytywnie wypowiedziało się Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej.

„Polonit” twierdzi, że postawienie Zakładów przed faktem bezpośredniego sąsiedztwa z budynkami mieszkalnymi, spowodowało nasilenie działań w celu zmniejszenia zagrożeń. W szybkim czasie doprowadzono systemy wentylacyjne do stanu, w którym emisja pyłu azbestowego jest na poziomie 1/10 dopuszczalnych norm (?). Opracowano metodę odprowadzania pyłów szlifarskich w postaci mokrej, a więc niepylącej, jak również technologię produkcji okładzin hamulcowych ze zmniejszoną ilością azbestu. Pozwoli to prawdopodobnie przenieść do nowego zakładu technologię materiałów ciernych bezazbestowych, co spowoduje zmniejszenie udziału azbestu w cyklu technologicznym o 40 proc. Aktualnie istniejące w „Polonidzie” systemy ochrony przed azbestem niewiele ustępują najlepszym rozwiązaniom światowym, a w zmodernizowanym obiekcie gwarantuje się dalszy postęp. Dlatego też zdecydowano się na lokalizację zakładu odtworzeniowego w Łodzi. Dla przykładu podaje się, że zakłady przetwarzające azbest zlokalizowane są także w Paryżu (firmy Latty i Majac), w Berlinie Zach. — Firma Reinz, w Dreźnie — firma Kautasit.

W projekcie budowy zakładu zostały uwzględnione zwiększone wymagania stawiane przez organy państwowe, czuwające nad czystością środowiska naturalnego. W projekcie zastosowano wszystkie dostępne krajowe i zagraniczne rozwiązania zabezpieczające atmosferę przed nadmierną emisją. Do uimowania pyłu zastosowano dwustopniowy system odpylania (pierwszy stopień odpylania posiada sprawność 99,5 proc., a drugi 99,99 proc.). Zaprojektowano zbiorcze wyrzutnie powietrza o wysokości gwarantującej czystość powietrza na zewnątrz zakładu. Wszystkie te rozwiązania ochrony atmosfery podniosą koszt inwestycji aż o 20 proc.

Argumentacja dyrektora „Polonitu” nie trafiła jednak do przekonania załogom zakładów prze-

mysłowych Dąbrowy, przyszłym sąsiadom „Polonitu” oraz mieszkańcom dzielnicy Dąbrowa. Posypały się protesty. Pierwszą zareagowała Przedsiębiorstwa Czesankowa „Polonit”, która grani- czy przez plot z przyszłym „Polonitem”. Załoga, której około 60 proc. stanowią młode kobiety (tak jak i w „Bistonie” czy „Dywilanie”) wystosowała protest, którego fragmentami rozpoczynał artykuł. Zaczęło bronić załog już istniejących zakładów, hoteli robotniczych, w których mieszkają głównie 18—19-latkowie, znajdujących się nieopodal działek pracowniczych oraz ośrodka rekreacyjnego „Młynek”. Generalnie podważano wiarygodność zapewnień o wspólnym systemie ochrony nowego zakładu, zwłaszcza jego skuteczności i niezawodności. Zwracano uwagę na już istniejące zanieczyszczenie Dąbrowy oraz na fakt, że dzielnica ta legitymuje się najwyższym wskaźnikiem umieralności niemowląt (29 zgonów na 1000 urodzeń w

1984 r.). Dziwiono się, że rachunek ekonomiczny przy podejmowaniu decyzji o lokalizacji nowego „Polonitu” był ważniejszy od zdrowia człowieka.

ŁÓDŹ OBSZAREM EKOLOGICZNIE ZAGROŻONYM

Okolice Łodzi oprócz cech właściwych dla klimatu Polski Środkowej, wykazują pewne odrębności klimatyczne. Na lokalny klimat Łodzi istotny wpływ wywiera gęsta zabudowa miejska, a przede wszystkim silnie skoncentrowany przemysł. Duże powierzchnie zabudowane lub pokryte betonem i asfaltem, niewielkie straty energii na parowanie, zanieczyszczenie powietrza pyłami i gazami oraz dodatkowe ciepło wytwarzane sztucznie przez człowieka zmieniają bilans energetyczny w miastach. Zjawiska te zniekształcają naturalne warunki atmosferyczne i wpływają na kształtowanie się specyficznego klimatu. W Łodzi, która otrzymała w spuściznę zdeformowany układ przestrzenny (nie spotykane gdzie indziej zagęszczenie zabudowy mieszkaniowej przemieszanej bezładnie z ogromną liczbą uciążliwych w większości zakładów przemysłowych) wszystkie negatywne cechy klimatu miast występują w szczególnie dużym natężeniu. Klimat lokalny Łodzi jest wyjątkowo nieprzyjemny oraz niegłówny dla jej mieszkańców...

Obok Wałbrzycha i Krakowa, Łódź należy do miast o największym stopniu zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego. W 1985 roku 14,5 proc. obszaru miasta znajdowało się w strefie o przekroczonej normie opadu pyłu, wynoszącej 250 ton/km kw. w ciągu roku. Jeśli chodzi o Górną, do której należy Dąbrowa, w 1984 roku opad pyłu wynosił 209 ton/km kw., a więc powyżej dopuszczalnej normy. Udział gazów w zanieczyszczeniach atmosferycznych wynosił w sumie 2 proc. Jednak z uwagi na wysoką toksyczność oraz zasięg rozprzestrzeniania się stanowią one szczególnie niebezpieczne źródło skażenia łódzkiego powietrza. Emituje je głównie przemysł. W centrum Łodzi średnie łączne stężenie tlenu azotu przekracza dopuszczalne normy i co gorsze wskazuje tendencję wzrostową. Na najbardziej ruchliwych arteriach komunikacyjnych miasta notuje się przekroczenie średniego rocznego stężenia ołowiu. Tymczasem wiadomo, że zanieczyszczenia powietrza oddziałują na przykład na drzewa nawet w promieniu 20 km od miasta w stronę przeważających wiatrów.

Stopień zanieczyszczenia, a także samooczyszczania atmosfery zależą w bardzo dużym stopniu od prędkości wiatrów, które przyczyniają się do przewietrzania miasta. Niestety, wysoka zabudowa Łodzi, wypełniająca także równoleżnikowe odcinki łódzkiej doliny rzek — które powinny spełniać rolę arterii wentylacyjnych miasta — stanowi przeszkodę ograniczającą prędkość wiatrów. W efekcie tego przeważają w Łodzi wiatry słabe. Wzniesienia Łódzkie osłaniają miasto od wiatrów z północy, toteż przeważają tutaj zdecydowanie wiatry zachodnie i wschodnie. Prędkość tych wiatrów z reguły nie przekracza 2 m/s. Liczba dni w roku, nie wykazujących warunków do odpowiedniego przewietrzania dolnej warstwy atmosfery naszego miasta, sięga aż 80 proc.

„Do głównych i najbardziej pilnych zadań na terenie miasta zaliczono ograniczenie bądź eliminację skutków uciążliwego przemysłu w drodze zagospodarowania stref ochronnych, stosowanie skutecznych środków absorbujących emisję przy źródle, a w przypadkach krótkowzrostu likwidację źródeł emisji. Do 1990 roku nie przewiduje się w województwie budowy obiektów oddziałujących szkodliwie na środowisko. Wynika to nie tylko z faktu zaliczenia okręgu łódzkiego na mocy uchwały NPSG na lata 1983/85 do 27 obszarów ekologicznie zagrożonych w Polsce, a w szczególności do tzw. obszarów wszechstronnie zanieczyszczonych, lecz przede wszystkim konsekwentnego i systematycznego przestrzegania zasad ujętych w w/w i realizowanych programach, uchwałach i planach...” — napisano w informacji o stanie ochrony środowiska naturalnego w dzielnicy Łódź-Górna Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej UD Łódź — Górna.

W ŚWIELE PARAGRAFÓW

Ustawa o ochronie środowiska i kształtowaniu w następujący sposób reguluje sprawę nowych inwestycji. Otóż rozstrzygnięcia organów administracji państwowej nie mogą naruszać wymagań ochrony środowiska, a w szczególności ustaleń planów zagospodarowania przestrzennego dotyczących ochrony środowiska. Zabrania się budowy lub rozbudowy w granicach administracyjnych miast oraz w obrębie zwartej zabudowy wsi, zakładów produkcyjnych albo usługowych, stwarzających zagrożenie dla zdrowia ludzkiego. Organy administracji państwowej decydujące o lokalizacji oraz o wyznaczeniu miejsca realizacji inwestycji budowlanych, przed wydaniem decyzji dotyczącej inwestycji o dużym wpływie na środowisko, powinny poinformować o tym organizację społeczną właściwą ze względu na przedmiot swego działania. Organizacje zaś w terminie nie krótszym niż 14 dni mogą zgłosić swe wnioski i zastrzeżenia, które powinny być rozpatrzone przez właściwy organ administracji. Również ustawa o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego zobowiązuje organy administracji do konsultacji planów inwestycyjnych z wojewódzką radą narodową i właściwą miejscowo radą narodową stopnia podstawowego.

Tymczasem władze i mieszkańcy dzielnicy Łódź-Górna o projekcie lokalizacji „Polonitu” dowiedzieli się z łódzkiej prasy. Świadectwem tego zaskoczenia była interwencja zgłoszona przez przewodniczącą Komisji Zdrowia i Spraw Społecznych w czasie obrad sekcji DRN 26 czerwca 1985 r. Przedmiotem tej interwencji było niepowiadomienie Komisji o zamierzonych inwestycji, której ewentualne uruchomienie powinno zdaniem radnych, poprzedzać zaopiniowanie przez dzielnicowy organ przedstawicielski. Protesty zaczęły również zgłaszać załogi zakładów pracy, usytuowanych w pobliżu projektowanej lokalizacji „Polonitu”. W tej sytuacji Prezydent DRN wystąpił 26 lipca 1985 r. do Prezydenta Miasta Łodzi z pismem. Radni proponowali zorganizowanie spotkań informacyjnych zarówno z władzami dzielnicy jak i zainteresowanymi załogami. Zwracali również uwagę na konieczność konsultowania tak ważnych decyzji z zainteresowanym organem władzy przedstawicielskiej. Odpowiedź Urzędu Miasta Łodzi nie rozproszyła wątpliwości radnych Górnej w sprawie niewypełnienia obowiązku konsultacji. Zawiarała przede wszystkim dane techniczne i zapewnienia, że lokalizacja „Polonitu” nie spowoduje zagrożenia ekologicznego.

Tymczasem nasilały się protesty radnych, działaczy samorządów mieszkańców i załóg zainteresowanych zakładów pracy. W związku z tym Prezydium DRN postanowiło zorganizować spotkanie, w czasie którego miały zostać wyjaśnione wszystkie wątpliwości związane z projektowaną lokalizacją „Polonitu”. Spotkanie to odbyło się 17 grudnia 1985 r. w Fabryce Dywanów „Dywilan”. Uczestniczyli w nim przedstawiciele resortu przemysłu chemicznego i lekkiego, Urzędu Miasta Łodzi, radni Rady Narodowej m. Łodzi i Dzielnicowej Rady Narodowej oraz przedstawiciele załóg zakładów z Dąbrowy Przemysłowej. W trakcie spotkania okazało się, że istnieją różnice w interpretacji niektórych przepisów ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego. Otóż władze dzielnicy uważały, że w przypadku lokalizacji „Polonitu” wchodzi w grę co najmniej art. 63, bądź art. 64 tej ustawy, co wiąże się z koniecznością uzgodnień z wojewódzką radą narodową i zaopiniowania przez radę narodową stopnia podstawowego. Tymczasem, Urząd Miasta Łodzi uważał, że wyżej wymienione przepisy nie mają zastosowania w tej sprawie, ponieważ chodził tylko o zmianę profilu produkcji przedsiębiorstwa wcześniej zatwierdzonego przez DRN, a pozostającego w gestii tego samego resortu. I dlatego prezydent mógł podjąć decyzję o podpisaniu umowy z ministrem przemysłu chemicznego i lekkiego o przeniesieniu części inwestycji Zakładów Przemysłu Filcowego dla zakładów azbestowych.

Ze względu na te rozbieżności w interpretacji ustawy oraz na fakt, że społeczeństwo Górnej nadal nie było przekonane o braku jakiegokolwiek podstaw do obaw o zanieczyszczenie środowiska, Prezydium DRN zaproponowało powołanie wspólnego zespołu, składającego się z radnych Rady Narodowej m. Łodzi i DRN Górnej. Jego zadaniem byłoby dokonanie oceny dokumentacji projektowej oraz ewentualnego wpływu tej inwestycji na stan środowiska. Zwrócono się również do Prezydium Rady Narodowej Miasta Łodzi z prośbą o rozpatrzenie prawidłowości podjęcia decyzji o lokalizacji na Dąbrowie. Jeszcze raz postawiono pytanie, czy prezydent mógł podjąć taką decyzję, nie konsultując jej z radą narodową szczebla podstawowego lub wojewódzkiego.

Interpretacja prawna okazała się korzystna dla radnych Górnej. Rozstrzygnięto już, że sposób podjęcia decyzji o lokalizacji „Polonitu” w rozpoczętej inwestycji Zakładów Przemysłu Filcowego był sprzeczny z zapisem ustawy o radach narodowych. Umowa władz administracyjnych z ministrem przemysłu chemicznego i lekkiego nie powinna była być podpisana bez wcześniejszego wypowiedzenia się w tej sprawie radnych. W związku z tym, powołano zespół radnych, który zajął się sprawą Zakładu Uszczelnienia i Wyrobów Azbestowych. Równocześnie w tej sprawie techniczną ekspertyzę przygotowuje ekspert z NOT.

Czy podjęte działania zakończą nareszcie ten długotrwały konflikt? Nie wiadomo. Natomiast wiadomo, że 6 grudnia 1985 roku na łamach „Dziennika Łódzkiego” Zakłady Uszczelnienia i Wyrobów Azbestowych „Polonit” ogłosiły przetarg nieograniczony na wykonanie robót budowlano-instalacyjnych adaptacji części Zakładów Filcowych dla potrzeb „Polonitu”. Ludzie mówią: „Czas ucieka. Nadzieje maleją. Zwycięzcy fakty dokonane”. Coraz mniej z nich wierzy w pozytywne efekty protestu.

Różne skutki awarii w TV

Straszliwe skutki awarii telewizora — pokazał swego czasu czeski film. My doświadczyliśmy ich na własnej skórze w ciągu dwóch dni (niedzieli i poniedziałku 6 i 7 kwietnia), bo we wtorek ruszyła prowizoryczna emisja programu pierwszego TV z Zygier.

Pierwszym skutkiem awarii nadajnika był ogląd tego balaganu jaki mamy nad głową i który na pewno warto by zlikwidować Tymczasem anteny zbiorcze, dające nie tylko dobry sygnał, ale i gwarantujące estetyczny wygląd bloków, no i bezpieczeństwo przechodniów, którym nie spadnie na głowę, przy łada powiewie, jakaś stara rura antenowa — stoją tylko na nowo wybudowanych blokach. Domy starsze straszą lasem anten indywidualnych i jest to chyba problem nie do przeskoczenia. Trzeba by jednak zorganizować jakiś system kontroli i konserwacji na dachach. Ale kto tym się zajmie.

Skutki awarii TV były rozleglejsze, czasem nawet bolesne jak to się stało w wypadku chłopaka, który dostał od taty solidne łanie za to że... zepsuł telewizor. Nagle uświadomiliśmy sobie, że bez telewizji nie ma niedziel, ani w ogóle życia. Członkowie rodzin zanim włączyli zbawczą „dwójkę” zaczęli się dostzegać, rozmawiać ze sobą, kłócić. Na telewizję runęła lawina telefonów. A telewizyjne redakcje w niedzielę milczały. Pretensje o to podniosła poniedziałkowa prasa jakby nie wiedząc, że za emisję programów odpowiada Główny Urząd Radiokomunikacji, podlegający Ministerstwu Łączności. (którego w Łodzi nie sposób znaleźć w książce telefonicznej — a numer którego zdradzamy 36-80-66).

W istocie jest to sytuacja skomplikowana, ale przynajmniej dziennikarze powinni się w niej orientować, ślać pretensje i szukać odpowiedzi pod właściwym adresem. Zrobili to potem zupełnie trafnie indagując przez kilka dni inż. Andrzeja Górno z wymienionej Instytucji. I wtedy dowiedzieliśmy się, że powodem awarii, poważniejszej niż zrazu przypuszczano, było pęknięcie rdzenia fiderowego głównego kabla prowadzącego sygnały emisyjne na szczyt 350-metrowego masztu antenowego w odległych o 42 km od Łodzi — Zyrach.

Oglądałem ten kabel przygotowując relację telewizyjną na ten temat. To gruba rura o średnicy około 120 milimetrów powleczonea plastykiem, opleciona miedzianą siatką, wewnątrz przepuszczająca strumień powietrza, mająca w środku jeden gruby przewód przenoszący sygnały z położonego u stóp masztu nadajnika do anten zawieszonych gdzieś tam niemal w chmurach.

Uszkodzenie nastąpiło na wysokości 158 do 160 paru metrów stawiając techników w sytuacji bardzo trudnej. Kabel tego rodzaju produkują tylko nieliczne firmy zachodnie (tu Siemens z RFN), kosztuje masę dewiz, zapasu nie mamy itd. Potem odnaleziono gdzieś w innych ośrodkach nadawczych potrzebny do ewentualnej wymiany parametrowy odcinek, gdzie indziej stosowane klemy, zaciski, śruby (a wszystko to musi być posrebrzane), no i wezwano na pomoc specjalistów z wrocławskiego ZARATU, mistrzów sztuki antenowej.

Drugi dzień bez jednolitego umysłu i wskazywania i to, że łódzki nadajnik dwójki nie jest w stanie przejąć emisyjnych obowiązków nadajnika w Zyrach, gdy idzie o zasięg, a więc o dostarczenie programu widzom środkowej Polski, paru okolicznych województw od Płocka po Częstochowę, Skierniewice i Wrocław.

Zasięg nadajnika „dwójki” zainstalowanego na Łódzkim wieżowcu przy ul. G. Narutowicza w emisji o jakości 100 proc. nie przekracza kilometrów 30, choć np. Piotrków — podobno — odbiera nas znakomicie.

8 kwietnia inżynierowie i technicy z Zygier pod kierunkiem inż. Jerzego Weżyka wypróbowali, a następnie uruchomili emisję programu na własną rękę przy użyciu kabli pomiarowych. Podobno nie wszędzie takie kable zostały na masztach po zmontowaniu instalacji głównej. Tu zostały no i na szczęście. Więc znów ponad 2 miliony widzów środka kraju otrzymało program pierwszy. Technicy zastrzegali się wprawdzie, że jakość obrazu i dźwięku nie będzie dobra, ale...

Gdy do Zygier dotarli technicy z Wrocławia pogorszyła się pogoda i opóźniła możliwość naprawy. Ktoś obliczył, że te roboty odbywać się będą na wysokości 65-piętrowej kamienicy. Dojdą, że na kołyszającym się nieco, ciasnym do środka maszcie, gdzie wieje i moczy, gdzie każdy krok grozi śmiercią. Cóż, taki los ludzi-pajaków, którym życzymy dobrej pogody. Bez niej trudno będzie usunąć awarię pierwszą w tej skali od 20 lat nadawania z Zygier.

Nadzieje łączy się jednak z podjętą już decyzją budowy dużego nadajnika programu II TV w Łodzi, na Dąbrowie, który obejmie zasięgiem całe centrum Polski, a także, miejmy nadzieję i te rejony np. Widzowa-Wschód, gdzie mieszkańcy położonych w telewizyjnym „cienu” bloków „dwójki” znają ze słyszenia. Inż. Andrzej Górny powiedział, iż budowa ta, połączona oczywiście ze wzniesieniem masztu nadawczego równego albo nawet wyższego niż Zygier, może być podjęta za 3—4 lata ze względu na kłopoty z wywaszczeniem gruntów. A gdyby tak pomóc w tej sprawie i inwestycje przyspieszyć? Sprawa jest dość paląca, bo właśnie informacja nas, że wprawdzie Zygier znów „widzimy”, lecz uszkodzenie kabla jest poważniejsze niż przypuszczano. Trzeba będzie wymienić więcej niż zakładane początkowo 10 m. Dodatkowo odcinki znaleziono już we Wrocławiu. Jak długo to sztukowanie wytrzyma — trudno powiedzieć.

REPORTER TV

Zbigniew U. rzemieślnik z Augustowa, do końca życia będzie wspominać dzień 11 października 1985 r. Będzie mówić zapewne o cholernym pechu i przez kilka ładnych lat pozostając na wikcie i opierunku państwowym, będzie się zastanawiał, jak to się mogło stać. Ale tak to już jest w naturze, że nawet najbardziej wygodna droga z górki kiedyś zacznie wspinać się wysoko przysparzając jadącemu nią podróżnemu trudów i kłopotów. A właśnie od owego feralnego piątku dla Zbigniewa U. z Augustowa wszystko poszło pod górę.

Zaczęło się normalnie, wjechał na teren Fabryki Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta” w Łodzi. W bramie zważono mu samochód marki „Łuk” z wmontowanym silnikiem dieslowskim, sprawdzono papiery. Potem podjechał pod magazyn złomu miedzi, gdzie powitano go, jeśli nie z radością, to przynajmniej z zadowoleniem. Załadowano na skrzynię 1172 kg miedzianego drutu, który nazywano tu złomem, bo był przechowywany w magazynie złomu, tu także Zbigniew U. wręczył komuś trzeba ustaloną od dawna należność, czyli 36 tys. złotych za 1 tonę i uściśnawszy dłoń ze słowami: — „połecam się na przyszłość”. — ruszył w drogę powrotną.

Niestety, w tym momencie zadziałał ów cholerny pech, który pojawił się w postaci milicjantów. Jak wiadomo już z ksiąg chaldejskich pech jest zjawiskiem nieodwracalnym, a żadne modlitwy, zamawiania czy udawanie idioty nie skutkują. Tym bardziej, że przedstawiciele porządku zostali wychowani w duchu racjonalizmu i w żadne cuda nie wierzą. Wciąż wmawianie im, że w skrzyni samochodu leżą zwoje bezwartościowego szmelcu byłoby nie tyle naiwnością, co głupotą. Na pierwszy brzeg rzut oka nawet laik mógł się przekonać, iż wywożony drut miedziany jest cennym surowcem produkcyjnym. Po obliczeniu okazało się, że to, co wywoził rzemieślnik Zbigniew U. jest warte 290 tys. zł. Dokonana rewizja w warsztacie w Augustowie pozwoliła odkryć dalsze 1540 kg drutu miedzianego o wartości 365 tys. zł.

W taki oto sposób zwyczajny pech pozwolił rzemieślnikowi na podgrzebie niejednego kombinatora zamieszkanego w sprawie kradzieży miedzi dokonywanej w łódzkiej „Elcie”.

KRÓLESTWO BALAGANU

Ryby najlepiej się łowi w mętnej wodzie, kradnie się zaś najbezpieczniej, gdy panuje balagan. Na podstawie kontroli dokonanej w „Elcie” przez Izbę Skarbową, a także przez organa ścigania można z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że to chyba cud, iż ukradziono tak mało, bo zaledwie, jak się szacuje, na około 4 mln zł. Nie zdziwiłbym się gdyby w trakcie żmudnego śledztwa wyszło na jaw, że ta suma jest ileś tam razy wyższa.

Głównym dostawcą złomu miedzi do magazynu złomu jest Zespół Wydziałów Produkcji Transformatorów (Z-1). W roku 1984 przekazał 55183 kg odpadów miedzi z produkcji bieżącej oraz 65176 kg z tytułu wykonanych usług remontowych. W roku 1985 natomiast 73885 kg odpadów plus 40530 kg z tytułu wykonywania usług. Dochodzi do tego jeszcze złom poamortyzacyjny, tj. pozyskiwany w wyniku likwidacji składników majątkowych. Tak więc w sumie w 1984 r. do magazynu złomu dostarczono 182536 kg, a w roku 1985 — 129617 kg.

Nas interesuje czas zawarty w latach 1981—1985, jako że były to najbardziej „tłuste” lata dla grupy złodziei buszujących bezkarnie w Fabryce Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta”.

Kartoteki magazynowe złomu miedzi prowadził pełnomocnik do spraw gospodarki złomem Zdzisław M., choć tak naprawdę, to wcale nie musiał tego robić, gdyż leży to w zakresie kompetencji brygadzysty do spraw złomu. Tylko, że Zdzisław M. twierdzi teraz, że ta praca wcale go zbytnio nie absorbowała, a przy tym miał lepszy widok w całobogazalę. Czytając jednak wyjaśnienia pozostałych współników, dochodzi się do wniosku, że szło tu zupełnie o co innego.

Dowody przekazywania złomu podpisawali: wystawiający dokument i przyjmujący złom do magazynu a także kontroler techniczny, który potwierdzał wyłącznie klasę przekazywanego złomu. Jednak w dokumencie pominięto zupełnie słowo „złom” zastępując go wieloznacznym pojęciem „miedź”. Przez ten drobny zabieg uzyskiwano bardzo szerokie pola działania: można było bowiem upchnąć teraz zarówno odpady nadające się rzeczywiście na spisanie na straty jak też i pełnowartościowy drut miedziany. Nie dziw zatem, że trafił tu drut, który nie został wykorzystany w produkcji, a który winien był powędrować do magazynu surowców. 22 stycznia 1985 r. przekazano z Oddziału Kablowi na złom 4 tys. kg, choć gołym okiem było widać, że to czysta miedź w papierze: 29 stycznia tegoż roku wędruje do złomowni kolejne 4 tys. kg czystej miedzi, zaś w Sylwestra aż 6 tys. kg.

Zapytany odpowiedzialny pracownik kontroli technicznej o wyjaśnienie tego typu „zabiegów”, tj. dlaczego wysokogatunkową miedź uznawał za złom, do tego klasy 1.02.1, odpowiedział, iż w hali produkcyjnej, w momencie kiedy miał podpisywać odpowiednie dokumenty pokazywano mu rzeczywiście złom, więc już nie zwracał uwagi na to, co pisało w papierach. Podpisywał automatycznie, bo przecież widział złom na własne oczy. Owszem, przyznał, mogło się tak zdarzyć, iż w drodze z produkcji do magazynu złomu podmieniano surowiec. Ale on tak daleko nie wnikał w sprawy magazynu.

GŁÓWNY PEŁNOMOCNIK CZY GŁÓWNY CHACHMĘT?

W dowodach oznaczonych kryptonimem PO-52, które sporządzał pełnomocnik do spraw gospodarki złomem Zdzisław M. nie podawano źródła pochodzenia złomu, choć owe dowody służyły wyłącznie dla celów udokumentowania przychodu złomu z likwidowanych składników majątkowych. Ponadto w dokumentach PO-52, jako źródło pochodzenia złomu, wpisywał Zdzisław M. symbol Działu Zaopatrzenia, choć wiedział, że dział ten nie posiadał nigdy żadnego złomu miedzi. Dodajmy do tego, iż nie wszystkie owe dokumenty PO-52 miały podpis kontroli technicznej ustalającej klasę złomu. A więc balagan. Chciałoby się powiedzieć, że w tym szaleństwie chachmętu była metoda. I to wnikliwie przemysłowa.

EUGENIUSZ IWANICKI

Miedź, cielecina i koniak

Dla uzupełnienia powyższego nieodzowne jest przypomnienie, że w latach 1981—1985 przewodniczącym komisji likwidacyjnej był zawsze Zdzisław M., a członkami magazynierzy: jeden odpowiedzialny za likwidowane mienie, drugi występował jako czynnik społeczny, bo był akuratem z innego magazynu. Cały dowcip polegał na tym, że włączanie osób bezpośrednio odpowiedzialnych materialnie do składu takiej komisji jest sprzeczne z zasadą organizacji kontroli wewnętrznej. Jednak widać nikomu to w „Elcie” nie przeszkadzało, a właściwie nikogo nie obchodziło.

Złomu było sporo i należało go przekazywać do hut lub sprzedawać jednostkom gospodarczym. Tę sprawę reguluje Uchwała nr 82 Rady Ministrów z 12 kwietnia 1974 r. wraz z późniejszymi zmianami. Otóż zezwala ona jedynie na odsprzedaż tzw. żelastwa użytkowego. Natomiast sprzedaż złomu miedzi (w ogóle metali kolorowych) może być jedynie dokonywana za pośrednictwem Centrali Handlu Metali Nieżelaznych.

A jak to wyglądało w „Elcie”?

W „Elcie” sprzedawano rzemieślnikom i to nie żaden złom, a najczystsza miedź, którą z powodzeniem można było wykorzystywać do produkcji transformatorów czy aparatury. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że największymi odbiorcami byli rzemieślnicy z Augustowa: Zbigniew U. — prowadzący zakład ślusarski, jego syn Marek — właściciel zakładu elektromechanicznego, Andrzej N. — także rzemieślnik. Józef Sz. — również rzemieślnik, a także Czesław D. ze Zduńskiej Woli. Wszyscy oni nabywali miedź na podstawie podań, które w przeszłości akceptował dyrektor do spraw handlowych, a potem już tylko pełnomocnik do spraw złomu Zdzisław M.

Zbigniew U. nabył w „Elcie” w latach 1982—1985 sporo. I tak: 23.281 kg złomu wartości 3.147.344 zł. plus 40.720 kg złomu stalowego na sumę 350.806 zł. Ponadto zakupił dodatkowo przespan a także odpady aluminiowe — 1.694 kg o wartości 154.560 zł.

Marek U., syn Zbigniewa nabył: 9.507 kg złomu miedzi wartości 1.225.343 zł., do tego 4 tys. kg aluminium na sumę 35.869 zł. i 31.765 kg złomu stalowego na kwotę 248.634 zł.

Tu należy się małe wyjaśnienie: otóż do „Elty” przyjeżdżał jedynie ojciec, tj. Zbigniew U. On to w imieniu własnym i syna dokonywał owych zakupów i wręczał pieniądze, a także dawał łapówkę Zdzisławowi M. w postaci produktów żywnościowych i używek. Na dobrą sprawę w Augustowie prosperował jeden zakład produkujący spawarki, do których niezbędna jest dobra miedź.

Andrzej N. nabył w „Elcie” 4.207 kg złomu miedzi na sumę 519.653 zł., złomu stalowego 33.944 kg na sumę 267.749 zł. oraz złomu aluminium 543 kg na kwotę 53.489 zł.

Józef Sz. natomiast otrzymał z „Elty” nieco mniejsze ilości: I tak: złomu miedzi 512 kg wartości 55.092 zł., złomu stalowego 14630 kg wartości 95804 zł.

Rzemieślnik ze Zduńskiej Woli, Czesław D. nabył w sumie 3 tony miedzi oraz od 300 do 350 kg aluminium.

I wszyscy oni mówią o sposobie i metodach kupowania tego wszystkiego w „Elcie” wymieniając nazwisko Zdzisława M., który był motorem całej sprawy.

ROZGARDIASZ

Oddział Kablowi i Nawijalni w swojej produkcji używał przewody miedziane. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, iż w latach 1981—1985 oddział ten nie przekazał do magazynu 149.299 kg złomu miedzi z tytułu tzw. odzysku przy wykonywaniu nowych uzwojeń, a łącznie z Kablowi i Nawijalni nie trafiło do magazynu 155.730 kg złomu miedzi. Po wnikliwym badaniu wyszło jednak, że część tego złomu trafiła pod wiatę do tzw. magazynu Z-1. Po zważeniu go odjęto więc od wyżej podanej ilości całe 59.343 kg, które choć nie były w magazynie, to przecież znalazły się, co ucieczyło nie tylko kontrolerów.

Stwierdzono ponadto, iż wielkość złomu przekazywanego do magazynu była niejednokrotnie wyższa niż ilość miedzi nowej, pobranej do wykonania zlecenia. Zdarzyło się, że po wykonaniu zlecenia remontu przekazywano mniejsze ilości złomu niż należało lub go nie zdawano wcale. Tworzyła się istna kolomyjka i nikt nie wiedział, co jest normą a co nie. Sprzyjało temu stanowi niewłaściwe dokumentowanie obrotów złomem miedzi na Oddziale Kablowi i Nawijalni oraz brak kontroli prawidłowości i legalności sporządzanej dokumentacji. Zaś nieterminowe dokonanie zwrotu złomu miedzi uzyskiwanego w wyniku remontów, a także niewłaściwa dokumentacja jego obrotu powodowały nieprawidłowe ustalanie cen za wykonane prace re-

montowe lub powstawanie poważnych strat z tytułu zmniejszenia wartości materiałów.

I jeszcze jedno: na Oddziale Kablowi i Nawijalni nikt się nie interesował zużyciem cennego surowca, a słowo „oszczędność” nie figurowało w słowniku „Elty”. Dlatego, choć trudno w to uwierzyć, właśnie stąd, zarówno odpady, jak i pełnowartościowa miedź, trafiała do magazynu jako złom, którą później sprzedawano rzemieślnikom.

Dla laika drut miedziany jest zwyczajnie drutem, ale dla fachowca istotne znaczenie posiada jego przekrój. Rzemieślnik nie ma możliwości dokonywania próbek czy zmian profilu, on musi otrzymać taki drut, który od razu da się zastosować w produkowanych przez niego wyrobach. Ale i w tym przypadku złodzieje z „Elty” poszli na rękę odbiorcom, tym bardziej, że ci płacili sporo i od rączki.

Kierownik Oddziału Kablowi i Nawijalni w „Elcie” Roman K. wcale nie kryje się z tym, że kradł i brał za to pieniądze. Opowiada dokładnie o tym, jak to pewnego dnia pełnomocnik do spraw gospodarki złomem Zdzisław M. poznał go z rzemieślnikiem z Augustowa Zbigniewem U. Powiedział, że oto ten człowiek produkuje spawarki i potrzebuje miedź. Rozmowa była krótka: Roman K. zgodził się na dostarczenie tego, o co go prosił rzemieślnik, ale powiedział, że to kosztuje 36 tysięcy za jedną tonę! Dlaczego tyle? A dlatego, że cała kwota będzie dzielona na cztery, tj. pomiędzy Romana K. i trzech mistrzów: L. A. i W. Jednakże okazało się, iż rzemieślnik z Augustowa potrzebuje miedzi o przekroju 12 mm. Niestety, takiej w „Elcie” nie było. Po namyśle Roman K. postanowił, że wraz z mistrzami będzie taką miedź profilować dla Zbigniewa U. i nie tylko taką, ale tę od 25 mm do 50 mm oraz od 6 mm do 10 mm. Rzemieślnik w śledztwie powie: „Zapytałem K. czy to nie jest żadna śmieszna sprawa, ale uspokoił mnie stwierdzeniem, że to nie idzie do dalszej produkcji, że mają takiego szmelcu dużo i on wybiera z tego najodpowiedniejszą i najmniej uszkodzoną i za to właśnie mam mu płacić”.

W jaki sposób wygospodarowywał nadwyżki Roman K.? Powiedział w śledztwie: „profil wykonany był na minusie tj. o minimalnie mniejszym przekroju i w ten sposób długość drutu była większa, natomiast waga zgadzała się ze zleceniem „Elty”, pozostawały nadwyżki drutu, które podległy mi wymienieni mistrzowie po godzinach pracy poza swoimi obowiązkami izolowali. Z ilości 40 ton profili, które zostały fikcyjnie przekazane jako złom do magazynu złomu w celach odsprzedaży dla rzemieślników około 20 ton pochodziło z wygospodarowanych nadwyżek”.

A JEDNAK SPRAWA JEST ŚMIERDZĄCA

Podjęrzewam, że dziś po ujawnieniu faktów kradzieży, w „Elcie” zapewne nadal śmierdzi. Dziwić się tylko należy, że przez tyle lat nikt jakoś nie poczuł tego fetoru. A teraz smrodek utrzymuje się, choć może mniej intensywny, ale zawsze to smrodek. Zapewne niejednen ogląda się czy czasem za nim nie ciągnie się ów nieprzyjemny zapach, choć z punktu widzenia prawa sam ma ręce czyste, a tylko gdzieś tam kołaczę się w świadomości, że czegoś w swoim czasie nie dopatrzył, czegoś nie dopilnował lub coś zaniedbał.

Roman K. „wygospodarowane nadwyżki” sprzedawał także rzemieślnikowi ze Zduńskiej Woli Czesławowi D. Poznali się za przyczyną Zdzisława M., który przyprowadził zduńskowianina do Oddziału Kablowi i Nawijalni. Dziś Roman K. mówi, że od rzemieślnika ze Zduńskiej Woli wziął raptem jakieś 120 tys. zł. Natomiast od Zbigniewa U. prawie pół miliona, a konkretnie 428 tysięcy.

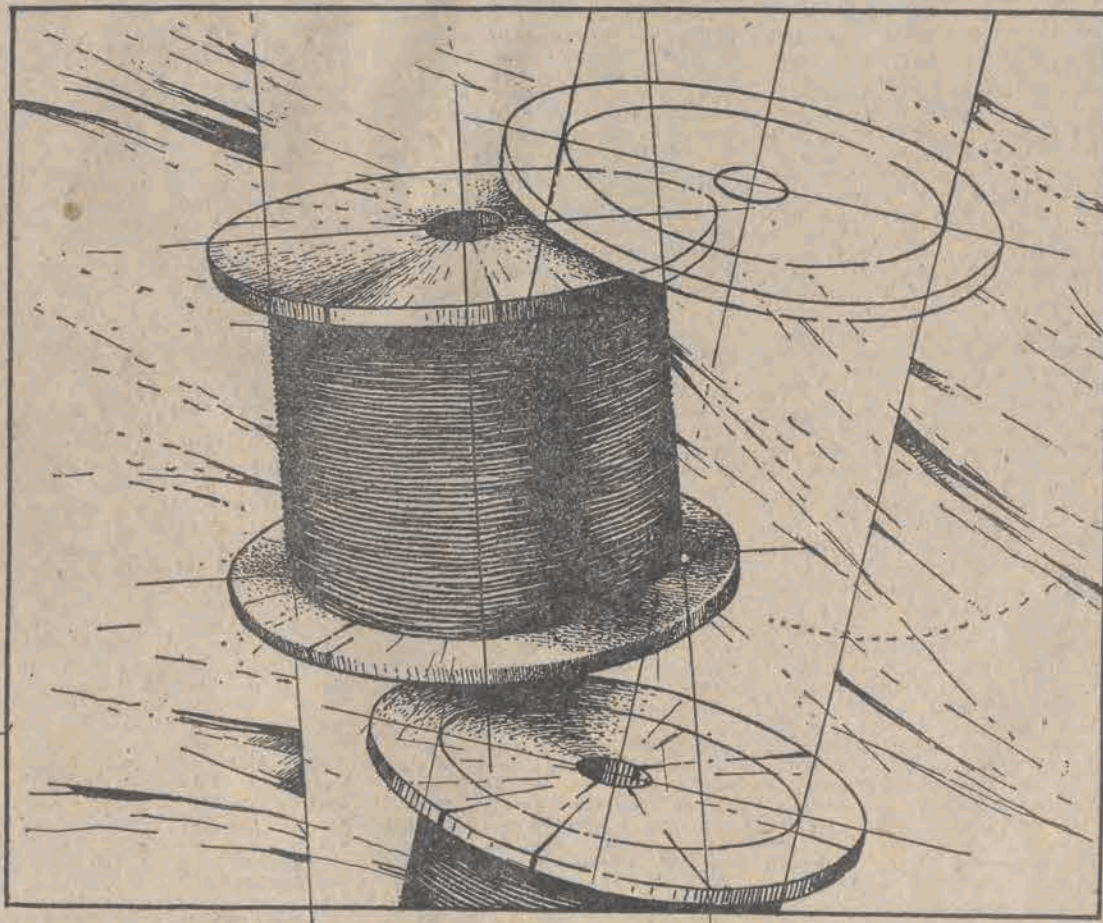
Do winy przyznaje się także Zbigniew U. Oto kiedyś przyjechał do „Elty” po drut o potrzebnym mu profilu. Niestety, takiego nie było. Wtedy zlitował się nad nim Zdzisław M. i skontaktował go z Romanem K. Resztę wiemy. Zbigniew U. zawsze przed wyjazdem do Łodzi telefonował do Zdzisława M. do domu albo do biura i pytał, czy jest miedź. Czasem sam Zdzisław M. dzwonił do Augustowa. Przeczny człowiek. Uczynny.

Zbigniew U. zajmował się zaopatrzeniem w towar warsztatu, w którym pracował razem z synem i czterema robotnikami. A tak naprawdę, to wcale mu się nie przelewa: domek jaki buduje a robi to już od lat, jeszcze nie jest wykończony. Posiada trzy samochody: „Żuk” z wmontowanym silnikiem diesla, półtorę „Mercedesa” oraz osobowego Mercedesa — 2000. A wszystko to przywiózł z RFN, legalnie nie licząc maszyn diagnostycznych bo miał zamiar zmienić profil produkcji i usług.

Najciekawsze wyjaśnienia jednak złożył pełnomocnik do spraw gospodarki złomem czyli Zdzisław M. który w „Elcie” pracuje już 14 lat. Owszem, mówi, rzemieślnicy zaopatrujący się w miedź pozostawali z nim w ciągłym kontakcie. Ale nigdy, ale to nigdy od nikogo nie przyjął pieniędzy. Bo on już taki jest: jak ktoś jest potrzebujący, to pomaga. Nie umie po prostu odmówić. Samarytanin. Ma biblijny stosunek do ludzi i ich potrzeb. Wierzy, że pracownicy Oddziału Kablowi i Nawijalni pracują na własny rachunek, a wszystko odbywa się zgodnie z przepisami. Czy otrzymywali cokolwiek od kontrahentów? Śmieszne pytanie, przecież nie odmówi przyjęcia sztuki mięsa, drobiu, jajeczek czy butelki koniaku. A Bronisław Ur. nawet dał mu kulke cielecia. Wierzy, że może być mowa o łapówkach? Zgubiło Zdzisława M. jego gołębie serce i chęć niesienia charytatywnej pomocy potrzebującym.

Tyle o tej bulwersującej kradzieży w „Elcie”. Śledztwo prowadzi Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Łodzi pod nadzorem Prokuratury Wojewódzkiej.

Rys. Janusz Szymański-Glanc



Tomasz Górski

Pierwszy wiersz — ostatni wiersz

Catalinowi Bursaci

Ciągle znajduję
twoje wypadające włosy
dlugie —
o nieb marzyłeś
czasem latem
kiedy wszelkie obce troski uciekna

motam się w nich
wyciągam z jedzenia
z kaciów ust i oczu
ze wspomnień z pólek
z twych szalonych wierszy i rysunków
okręcam dokoła palca wydarzeń

prześladują mnie
odgłosy skrzywienia
— to stare sprężyny
łóżka w Genewie...?
— nie:

to twoje
umierające ciało
Catalinie!

w bliskim mieście
fruwają strzępki bawełny
— twoja złuszczone skóra...

nie zawsze łatwo mi
mrzeć o śmierci
nie zawsze dobrze jest
mówić o bólu

nie wiedziałem
że na taśmie
można zapisać
jak choroby i bólu
że można utrwalić
deptyane owady przez śmierć

..jednak nie tylko muzyka...

już nie myśl
Catalinie —
nie zobaczysz Plenicy...
na nic ołówki i papier
— podarki zanieś Panu Bogu...
— podziękuj mu za młodość

za koniec

wciąż do mnie powracasz
jak ostretna śma
do światła —
bo ja żyję

31.05.1983 r.

Marcin Strokowski

Czas

Nim system doskonalił
w doskonałości swojej
ogarnie wszystko
Czeka nas jeszcze
świadomość
nieosiągalności

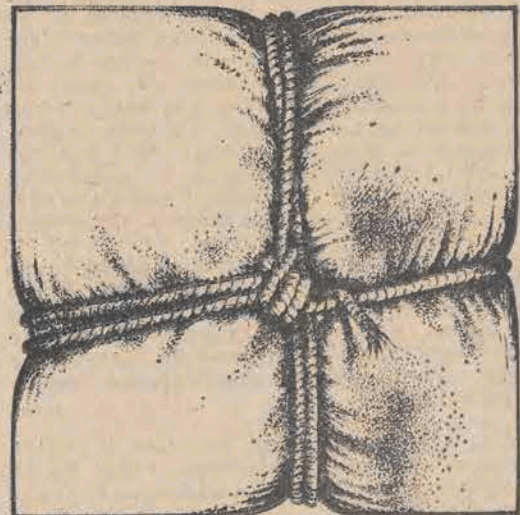
Nim spójnienie wielobarwne
w wielobarwności swojej
przełmie wszystko
Czeka nas jeszcze
świadomość
jednego życia

Albert Einstein

Kryształowoczarne krople wszechświata
przelewa na biały papier
Białe symbole czystości
rysuję na czarnej tablicy
nieśkończoności

Ze ścian patrzy Bach uśmiechnięty
a z drugiej strony Spinoza

A kiedy gubi nutę
to tylko Rubinstein mówi:
Ależ panie profesorze
czy pan nie potrafi
policzyć do czterech



Rys. Janusz Szymański-Glane

Kruche marzenia

Tennessee Williams należy do tych amerykańskich dramaturgów, których polskiemu bywalcowi teatralnemu bliżej przedstawiać nie trzeba, a to dzięki sztukom „Szkłana menażeria”, „Tramwaj zwany pożądaniem” czy „Kotka na gorącym dachu”, należącym do najwybitniejszych spośród kilku dziesięciu utworów scenicznych tego autora. Zwiastowała dwie pierwsze z wymienionych sztuk, pochodzące z wcześniejszego okresu twórczości Williamsa, lat bezpośrednio powojennych, cieszyły się u nas znaczącym powodzeniem, a odzwierciedlały się w nich jeśli głębiej znowom przedmiot, wówczas motywy całej twórczości Williamsa, jak również charakterystyczne cechy jego teatralnej stylizacji.

Jeśli tak jest w „Stocie, to na podstawie „Szkłanej menażerii”, wystawionej właśnie przez Teatr Nowy, można by wnioskować, iż problematyka konfliktu rodzinnego, mającego za podłoża despotyzm i przymoc zachłanną rodzicielską miłość stanowiła dla autora źródło ważnych literackich doświadczeń. Jeśli się bowiem wypatrzeć, to niewątpliwie najpełniej, najbogaciej wewnętrznie, a przy tym z wyrazistą plastycznością i konsekwencją rysuje się, moim zdaniem, postać Matki. Jej postawa czynowa, jej uosobienie i metody postępowania z najbliższymi (najpierw z mężem, a po jego odejściu z dziećmi) wpływają w decydujący sposób na ukształtowanie się obu — zresztą różnych — osobowości Córki i Syna, które formują się przede wszystkim pod prężnym, arbitralnym oddziaływaniem Matki. Córka kaleka stała się owego macierzyńskiego despotyzmu bezbronna ofiara, syn zdobywa się jedynie na odruch buntu i ucieczkę.

I myślę, że część pierwsza sztuki, która w mistrzowski sposób zakreśla ten krag rodzinnych uależnień, ma większą wagę, większy ciężar artystyczny niż część druga, w której, w gruncie rzeczy, jedynie ujaśniana się i niejako dopełniana konsekwencje psychologiczne postaw zdefiniowanych już wcześniej. W tej drugiej części możliwości wyboru u obojga młodych są wbrew pozorom ograniczone. Upiecznawiona psychologizacja Córki może tylko błędnie (niezależnie od kompleksów kalectwa) odzwierciedlać cudzą miłość lub równie biernie pogo-

dzić się z sytuacją osoby odrzuconej i wrócić do swoich szklanych figurek. Syn też nie jest w stanie wziąć losy rodziny w swoje ręce, przełamać dominację Matki.

Tak więc część druga nie pozostawia nam o nikim z tej trójki czegoś całkiem nowego. Na domiar tego dialog pomiędzy Gościem usiłującym wyrwać dziewczynę ze stanu psychologicznego odrętwienia i wzbudzić w niej wiarę w siebie, naszpikowany jest gęsto dość banalnym dydaktyzmem, a sposób budowania nastroju przez autora, posługujący się przez niego symboliką szklanych figurek, ujawnia nam wszystkie „szwy” kompozycyjnych zabiegów.

Być może na takiej, w moim odczuciu, wymowie całości i na takiej, jak oceniam, nierównowadze obu części zawdzięcza też dominująca w tym przedstawieniu rola HALINY MILLER, która technicą w postać Matki dużo życiowej prawdy, godząc z konsekwencją całą skalę zmiennych i pozornie sprzecznych stanów wewnętrznych: bezwzględności i odruchów opiekuńczych chłodnego wyrachowania i przychylnego uczucia. Z powściągliwym komizmem zadawała sobie szczyt jako dama o utraconej pozycji społecznej i zapewne nieco mitomańskich wspomnieniach dawnego powodzenia u mężczyzn, pobudzających do kokieterii wobec młodego człowieka. Rola budowana pieczołowicie z prawdziwego zdarzenia.

Doskonale spisywali się obo-

je młodzi chmurni, z początku jakby nadwrażliwi, stopniowo jednak zasklepiający się w myślach o własnym losie Syn (JACEK PAWLAK) i jakby nieobecna Córka (MARGARZATA FLEGEŁ) rekompensująca sobie zarówno swoje kalectwo, jak i lek przed matczyną surowością w skrytych marzeniach o szczęściu, z łopniejącą wiarą, że ono się zjawi. Gościem czyli skrytą radością Małgorzaty z czasów sędziowskich był KRZYSZTOF KACZMAREK.

Przedstawieniu można by zarzucić chwilowe przygasanie akcji przez, jak sadzę, zbyt niecelowne nastroje. Uchybieciem drobnym, lecz karygodnym było (na premierze) nieuprzątnięcie w drugiej części resztek szklanych figurek, stłuczonych w części pierwszej (choć mieszkanie wysprzątano na przyjęcie Gościa). Scenografia na tyle funkcjonalna, że umożliwiała na skromnej przestrzeni, bez zmiany dekoracji, dość częste zmiany miejsca akcji. Muzyka nienatrzetna, wspomagała przeżycia bohaterów.

Ma więc przedstawienie swój klimat, jest dobrym przykładem tego co nazywamy kulturową robotą aktorską i choć sztuka — zwłaszcza, jak uważam, jej część druga — zdobiła już to nieco zwierzchni, powinna znaleźć chętnych widzów. Cieszy też kolejny symptom wychodzenia Teatru Nowego z artystycznego impasu.

JERZY KWIECIŃSKI

Tennessee Williams: „Szkłana menażeria”. Przekład — Kajetan Pakowski, reżyseria — Marek Gaj, scenografia — Wojciech Bajor, muzyka — Zbigniew Lampart. Premiera 6 kwietnia 86 r.



„Szkłana menażeria”, Halina Miller (Matka), Jacek Pawlak (Syn). Foto: Serge Sachno

Notatnik ze stanu wojennego

Debiut Marka Bukowskiego „Nie się nie zmienić” wykorzystuje charakterystyczne realia stanu wojennego. Narrator przedstawia grupę rówieśniczą, w której ogniskową ma się przeciętna świadomość młodych Polaków. Konwencja realistycznej powieści środowiskowej sprzyja przede wszystkim doświadczeniu zapisowi obyczajowym i językowym odrębności studentów. Z reporterским iście zaciekłym odwołuje narrator wszystkie drobniaczki nieregularnego studenckiego życia. Polityki w nim mało — nie spotykamy wykrystalizowanych postaw, dominuje wycofywanie na rozwój wydarzeń i umiarkowane niezadowolone. To polityczne przeczucie się w patetyczno-ironicznej retoryce (w rodzaju: „W ostatni dzień Tysiąc Dzieńców” „Osiemdziesiątych Pierwszego, co miał być wielki, a wyszedł...”) oraz w pewnego typu aluzyjności (na przykład: „Słyszałem w telewizji, że cały naród, a przynajmniej połowa czeka na powieści polityczną o czasie, w którym żyjemy... Ale z czyjej strony? Ze strony sekretarzy partii? Tego ludzie nie lubią. Kto lubi władzę? Ze strony działaczy związkowych? To wydźwięk na to, że albo będzie się bez przerwy kłócić na komunistów, co się może spodoba, ale nie państwowym mecenasom sztuki”). Konkretne realia pierwszych miesięcy stanu wojennego uwierzytelniają akcję powieści, pozwalają zorientować się w przekazywanych z kronikarską dokładnością reakcjach młodych ludzi na nową sytuację w wyższych uczelniach oraz na niektóre propagandowe posunięcia telewizyjnych decydentów. Stanowią przydatną, acz wymowną — moją — codzienność okoliczności ze stanu wojennego.

Nie bardzo chcą one ułożyć się w jakąś całość. Może dlatego, iż Marek Bukowski nie przeprowadza selekcji wrażeń i obserwacji, potrafił przecieć w utworze o ambiwalencji artystycznych. Notuje wszystko, od czystej fizjologii po wysublimowane marzenia sennie, od najprostszych czynności codziennych po wyrafin-

wane dyskusje literackie etc. Powieść Bukowskiego przechadza się po gościach, wstępuje do gminów publicznych, zagląda do domów pielesze, nie są jej obce zakamarki, w których spotkać można przedwziewne figury. Czyni to bezplanowo, swobodnie, chaotycznie. Jedynie septycznym i wściekłym niekiedy humor narratora ożywia lekturę. Podobnie zresztą ożywia ją cały wachlarz odczuć młodych ludzi porównujących Polskę z innymi krajami, poznawanych podczas zarochowej turystyki. Po iluś tam latach powieści Marka Bukowskiego dostarczą materiał przyszłym badaczom świadomości Polaków po zakończeniu lat osiemdziesiątych. Dalszego czytelnika — uczestnika czy tylko obserwatora opisanych w powieści pierwszych miesięcy stanu wojennego — niewiele ona wzrusza, w niewielkim bowiem stopniu wykracza poza rejestr sytuacji, rozmów czy zdarzeń, jakich było tysiące. Ich przypomnienie stanowi może wprawdzie okazję do porównań bądź weryfikacji wcześniejszych odczuć, ale prawdę mówiąc powieść „Nie się nie zmienić” nie prowokuje do tego. — „Ach, że nasze rozmowy o niczym” — stwierdza samokrytycznie narrator, buntując się w innym miejscu przeciwko „gadaniu o pisarstwie współczesnym z dziewczaczkami”. Nie jest to wprawdzie zdanie zniechęcające, ale jednak narrator często mruży oko do czytelnika, dając do zrozumienia, iż wie o rzeczywistości znacznie więcej niż chce — czy może — powiedzieć. Może uświatał sprostować owemu telewizyjnemu wyznanu do twórczości współczesnej powieści politycznej, która niektórzy wyobrażają sobie raczej prostą: wystarczy uwzględnić polityczne realia, odwołując się do przedstawienia politycznych mechanizmów...

Mechanizmów owych narrator nie potrafi przeniknąć. Albo po prostu nie interesują go, bo przypuszcza, iż bywa zdezorientowany nawet wówczas, gdy szuka ujścia dla swoich politycznych emocji. Zastania się brakiem pa-

mięci. Sztuka uniknąć czy sztuka wyboru? Zapewne jedno i drugie. W każdym razie dyskusje społeczno-polityczno-ekonomiczne prowadzone zazwyczaj przy butelce, okazują się stereotypowe i nudne, w związku z tym — jawne. Te właśnie jawność życia większości swych bohaterów kompromituje autor — powierzone mu, grę pozorów, dobre samopoczucie bez względu na okoliczności, niemożność przekroczenia schematów: „Dostrzegam luki w każdej rzeczy, braku... Stop! Nie utrudnia mi to wcale życia, nie jest niczym nowym... Nic się naprawdę nie zmienia. Watpie, czy się zmienić”. Takie refleksje — patetyczne i bezkompromisowe — spotykamy tu sporadycznie, pojawiają się jako przeciwwaga hasła o drugiej Polsce czy drugiej Japonii. Zdecydowanie przeważa jednak monotonia życia, obserwujemy społeczeństwo zmęczone kolejkami, zaniepokojone, sfrustrowane, lecz przecież nie pozbawione nadziei, że kiedyś będzie inaczej. Pozwala ona przypuszczać, iż tytuł książki Marka Bukowskiego wybrany został przekornie.

Utwierdzałoby w takim przekonaniu końcowe zdanie powieści: „Nie dam się”, będące czymś w rodzaju wyznania wiary i to wyznania uczynionego niejako w imieniu pokolenia. Ujawnia się bowiem z całą mocą konflikt pokoleń, od wersji ośmiętniającej po wersję nienawistną. Młodzi ludzie wszelkie zło przypisują pokoleniu rodziców i nie ma sposobu, by ich od tego odwieść. Manifestują własną bezradność wobec rzeczywistości, starannie na ogół ukrywając pod płaszczykiem postaw heroikomicznych. Nie przeżywają autentycznych dramatów wyboru — schowani za plecami starszych robią do nich po kryjomu miny. Przypomina to po trosze pojedynek na miny opisane w „Ferdynardzie”. Jeszcze jedno upoważniałoby do przywołania głośnej powieści Gombrowicza: społeczna i emocjonalna niedojrzałość młodych bohaterów powieści Marka Bukowskiego, sprzeczność w gruncie rzeczy do roli młodej lub bardziej krytycznych — przede wszystkim jednak biernych — obserwatorów rzeczywistości.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Marek Bukowski: „Nie się nie zmienić”. Iskry, Warszawa 1985, s. 224, nakład 4750 + 250 egz. cena zł 90.—

Z półki recenzenta

PEJZAŻ PROWINCJONALNY

Exgzytyka prowincji ciągle dostarcza pisarzom tematów świeżych i niebanalnych. Tym bardziej, jeśli rzecz dzieje się współcześnie, na naszych oczach. Wyobraźmy więc sobie prowincjonalny szpital w prowincjonalnym miasteczku u progu lat osiemdziesiątych, gdzie „rząd dusz” sprawuje prominent na miarę tej prowincji. Jego błędna, właściwie ignorancka decyzja obsadzenia dyrektorskiego stołka w szpitalu przez zdolnego chirurga stanie się w niedalekiej przyszłości brzemienne w skutki. Ale oto w kraju zaczyna szaleć „Solidarność”, która i tu wybiera wręcz monstrualne rozmiary, choć łączy ją karykaturalność poczynań i decyzji tych „co to nagle chwycili wiatr w żagle”. A więc rozgrywki personalne, donosy, świąstewka, kalamunie, podgrzywanie tych co „nie z nami”, tych co „nie są prawdziwymi Polakami” itp. W szpitalu już nie rządzi dyrektor a palacz, o zabiegach operacyjnych decydują ludzie z białoczerwonymi opaskami na rękawach fartuchów. Słowem zamęt, rozchwianie, psychoza tłumy.

To, co napisałem powyżej, tylko dużo lepiej i ciekawiej, przedstawił w swojej powieści Kajetan Pakowski dając jej tytuł „Intymny pejzaż prowincjonalny”. Polecam tę książkę naszym Czytelnikom jako świetny przyczynnik ilustracyjny do naszych, nie tak przecież odległych lat. Polecam jako znakomite narysowaną panoramę społeczeństwa zamkniętej za murami szpitala, którą można odczytać także jako społeczeństwo w ogóle skażone bakcylem nieodpowiedzialności.

Kajetan Pakowski: Intymny pejzaż prowincjonalny. Wyd. Łódzkie 1985. Str. 206. Cena 80 zł.

WĘGERSKI MAGNAT

Autor tej książki Mór Jókai jest znany u nas dobrze, jako że w jego twórczości wiele miejsca zajmują Polacy i Polska. Min. jedna z jego powieści jest poświęcona generałowi Bemowi. Proza Jókai jest obrazowa, z reguły przedstawia panoramę dzieł jednostki lub rodziny na tle historii. Omawiana tu powieść „Węgierski magnat” to także wielka epicka opowieść ukazująca społeczeństwo węgierskie z pierwszego ćwierćwiecza ubiegłego stulecia.

Przekład Camilli Mondral.

Mór Jókai: Węgierski magnat. PIW 1986. Str. 438. Cena 280 zł.

SPRZEDAWCA HUMORU

Wydawnictwo „Śląsk” od lat kontynuuje „Bibliotekę Pisarzy Czeskich i Słowackich”. Ostatnio ukazała się powieść Romana Raża pt. „Sprzedawca humoru” nawiązująca do tzw. „realizmu dnia powszedniego”. Jest więc ona opowieścią o przeciętnym, zmęczonym człowieku uwikłanym w codzienność, który jeśli nawet się buntuje, to jest to bunt z góry skazany na niepowodzenie. I chociaż autor sugeruje, że w życiu głównego bohatera coś się zmienia w przyszłości, czytelnik nie bardzo w to chce uwierzyć.

Przekład Wiesławy Fornelskiej.

Roman Raż: Sprzedawca humoru. Wyd. Śląsk 1985. Str. 370. Cena 390 zł.

NOWELE KUNCEWICZOWEJ

Na tę ciekawą publikację składają się utwory powstałe w różnych latach i pisane z różnych inspiracji twórczych. Poczynając od wyboru z „Przymiera z dzieckiem” z 1927 roku a kończąc na „Przełęczach” z 1985 r. prezentuje się ten tom o tyle interesujący, że stanowi jakby przekrój przez całą bogatą twórczość wybitnej pisarki. Dodajmy do tego fakt, iż nawiązuje się tu także „brulionowy prozatorski” z lat 1929–1930, a wartość poznawcza książki wzrosła jeszcze bardziej.

Gorąco polecam tę świetną prozę.

Maria Kuncewiczowa: Nowele i bruliony prozatorskie. Czytelnik 1985. Str. 442. Cena 200 zł.

PRAWIE KRYMINAŁ

Powieść rozpoczyna się jak klasyczny kryminał: oto w noc wigilijną tytułowy bohater powieści Thomasa Bernharda pt. „Kalkwerk” morduje swoją żonę. Jest więc ofiarą i zabójcą, są przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, w końcu są ludzie znający owe stado małżeńskie, w którym doszło do tragedii. Jednakże żmudne śledztwo, a szczególnie relacje ludzi bliskich bohaterowi powieści, odsłaniają skomplikowaną jego naturę i są dowodem na to, że tak naprawdę to niewiele wiemy o drugim człowieku.

Przekład Ernesta Dyczka i Marka Feliksa Nowaka.

Thomas Bernhard: Kalkwerk. WL 1986. Str. 188. Cena 180 zł.

POWSPOMINAJMY

W roku 1969, jesienią powstał w Łodzi teatr amatorski, który nazwę zaczerpnął od pierwotnej siedziby — Klubu Studentów Łódzi mieszczącego się przy ul. Piotrkowskiej 77 — powstał Teatr 77. Nieco mylnie odwołano o nim jako o teatrze studenckim, bo choć rzeczywiście działał pod patronatem Zrzeszenia Studentów Polskich, to zespół tworzyli, oprócz studentów, również przedstawiciele inteligencji i robotnicy. Ale był to teatr młodych. Swój pierwszy przedstawienie od razu zapewnili sobie uznanie i sympatię łódzkiej publiczności i krytyki. Teatr 77 wypłynął na szersze wody prezentując spektakle na festiwalach studenckich i zdobywając liczne sukcesy nagrody. „Siódemki” szybko przestały być wyłącznie naszym łódzkim teatrem „zaściankowym”.

Dwa najlepsze spektakle z tego okresu „Pasia II” i „Retrospektwa” uzyskawszy nagrody na IX i X Łódzkich Spotkaniach Teatralnych, prezentowane były również na festiwalach za granicą, m.in. w Nancy i w Wenecji.

W roku 1976 teatr przeżywa dość poważne kłopoty, ale kończą się one dzięki pomocy ze strony miasta. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi obejmuje wspólnym patronatem „Siódemki”, otrzymują one też nowy, do dziś zajmowany, lokal przy ul. Zachodniej. Nadchodzi przełomowy rok 1979. Decyzją MKiS Teatr 77 uzyskał status profesjonalny i przeszedł pod administrację

to równać stworzeniu nowej, odrębnej placówki artystycznej, co jest oczywiście wykluczone ze względów finansowych. Zresztą rozwiązanie takie byłoby w rzeczywistości w naszych warunkach zbyt wielkim luksusem, gdyż sprawa dotyczyłaby bardzo niewielkiego zespołu. Byłoby to również niewygodne dla samego teatru, bo pociągałoby za sobą konieczność rozbudowania administracji i wiele jeszcze innych kłopotów, na długo odrywających zespół od najważniejszych działań natury artystycznej.

Wracając do Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych... Zastanawiające jest dlaczego tak chętnie i kategorycznie zrzekają się opieki nad Teatrem 77. W ostatnich latach podlegał on bezpośrednio Zakładowi Widowisk Estradowych w Warszawie i współpraca z nim układała się nadzwyczaj pomyślnie. Po kilku wizytach przedstawicieli ZWR w Łodzi, po rozmowach z zespołem, po zorientowaniu się w charakterze jego pracy zakład zapewnił teatrowi poparcie i uznanie i traktowany był a to pełnoprawny jego oddział. Rzecz jasna oddalenie od macierzystej instytucji nie zawsze było dla teatru wygodne, czysto „techniczne” względy sprawiły, że nie wszystkie problemy załatwiane były pozytywnie i na czas. Ale dobrej woli z obydwu stron było wiele. A zatem jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle...?

Teatr istnieje jeszcze, ale już w obliczu pustki i niepewności jutra. W tej sytuacji postanowiono dokonać czegoś w rodzaju analizy i oceny dotychczasowej działalności Teatru 77. Do-

Chęć uczestnictwa w nim zgłosiły międzynarodowe festiwale z Kopenhagi, Oslo, Sztokholmu, Helsinek i Hamburga, zainteresowanie okazał również Tallin. Zaplanowany był jako duża impreza. Zarówno przedsięwzięcie z 1983 r. jak i projekt bałtycki, obliczone na dużą skalę, wymagały poważnego wsparcia tak finansowego jak i organizacyjnego. W 1984 r. podczas obchodów 15-lecia Teatru 77 spotkały się w Łodzi wszystkie zespoły, które realizowały projekt w Kopenhadze i zgłaszały udział do projektu bałtyckiego. Odbyły się wstępne rozmowy i ustalenia. W 1985 r. w Berlinie Zach. z okazji Berlinerfestwochen przedstawiciele zespołów wspólnie z Trévorem Davisem, dyrektorem festiwalu kopenhaskiego, planowali wystąpić ze swoją propozycją na forum organizacji dyrektorów międzynarodowych festiwali teatralnych w Europie. Należało „zarazić” pomysłem jak największe grono wpływowych osób. Podobne spotkanie odbyło się w Edynburgu jesienią ub. roku i tam również miał być przedstawiony szkic projektu. Niestety już w tym czasie sytuacja Teatru 77 zaczęła się wkręcać. Uniemożliwiło to wyjazd tak do Berlina jak i do Edynburga. W rezultacie, łódzki teatr, projektodawca pomysłu, stracił nad nim kontrolę i inicjatywę przejęli Skandynawowie, redukując nieco podstawowe założenia planu.

Pierwotny bowiem zamiysł dotyczący finału projektu był następujący. Z Kopenhagi specjalnym statkiem wyruszyć miała mała grupa 4-5 zespołów inicjujących całą podróż przez Europę. Po drodze statek zabierał małe zespoły, które byłyby albo współorganizatorami międzynarodowych festiwali, albo mieszkali w mieście festiwalu, Statek zatrzymać miał się po kolei u wybrzeży RFN, Holandii, Wielkiej Brytanii, Francji, Portugalii, Hiszpanii, Włoch. W każdym z tych krajów wszystkie zespoły organizować miały wspólne akcje teatralne, odwiedzać miejsca, które upamiętniły się w historii Europy, szukać wątków zbliżających nas mieszkańców jednego kontynentu i takich które nas dezintegrują. Podróż miała mieć swój finał w Grecji, w Delfach, gdzie nastąpiła wielka manifestacja, której tematem byłoby pytanie o przyszłość Europy.

Teatr 77 był głównym inicjatorem projektu, mógł być jednym z głównych jego realizatorów. Oczywiście, jeżeli problemy teatru rozwiązały się pozytywnie, nie nie przeszkodził mu uczestniczyć w imprezie. Ale stanowisko lidera zostało zaprzepaszczone chyba bezpowrotnie.

Inna działalność teatru została również przerwana. Do niedawna „Siódemki” w ramach kontynuacji międzynarodowej współpracy prowadziły rodzaj sonaży, poszukiwania interesujących zagranicznych zespołów. Niedawno „odkryto” ciekawy zespół węgierski, który za zgodą i aprobatą MKiS został wstępnie zaproszony do Łodzi. I znów, jak poprzednio, niepewność jutra nie pozwalała Teatrowi 77 rozwinąć tej nowej znajomości, przedstawić węgierskiego zespołu polskiej widowni.

BYĆ ALBO NIE BYĆ

Od 1979 roku do dziś Teatr 77 miał dwóch patronów: Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe i Ministerstwo Kultury i Sztuki, które mu podlegały merytorycznie jak wszystkie inne zespoły. Był to dualizm z jednej strony korzystny, bo dawał dość dużą swobodę, ale jednocześnie krył w sobie pewne niebezpieczeństwo — w postaci braku konkretnego opiekuna, który brałby za teatr pełną odpowiedzialność i wspomagał w trudnych momentach. Taki właśnie moment teraz nastąpił. I dobrze by się stało, gdyby powiódł się plan powierzenia „Siódemki” jednej instytucji, gdyby teatr znalazł się w jasno i precyzyjnie określonym miejscu, gdyby uzyskał taki statut, który pozwoliłby mu kontynuować dotychczasową działalność zarówno w kraju jak i za granicą i zachować własne, oryginalne, przez lata wypracowane oblicze.

Natomiast szkoda byłoby zniknięcia Teatru 77 z teatralnej mapy Łodzi, tym bardziej teraz po 16 latach aktywnego działania w momencie uzyskania artystycznej dojrzałości. Nie można dopuścić do sytuacji, aby ta dojrzałość nie miała szansy procentować. A przecież swoją ostatnią premierą „Siódemki” dały wystarczający przekonujący dowód artystycznej mocy i atrakcyjności wybranej drogi.

EWA WESOŁOWSKA

tematyką Zakaukazia i słownictwem, zaskarbiając sobie miano „poetów kaukaskich”. W dziejach narodów zamieszkujących Kaukaz Polacy cieszyli się na ogół dobrą opinią. Prym wiodli w badaniach geologicznych, botanicznych i etnograficznych prowadzonych na terenie Kaukazu. Prowadzili eksploatację złóż ropy naftowej, budowali drogi przez niedostępne łańcuchy górskie, zakładali ogrody botaniczne. Z dalekiej o tysiące kilometrów Łodzi sprowadzali na Kaukaz cięższe są tam wielkim powodzeniem materiały włókiennicze. Byli też zapewne dobrymi mężami i ojcami, o czym świadczą liczne do dziś na Kaukazie nazwiska o czysto polskim brzmieniu, choć ich posiadacze dawno już zapomnieli o swoich przodkach — zesłańcach politycznych lub osiadłych w tym pięknym kraju żołnierzach Polaków. Opowiadał mi niedawno dyrektor Republikańskiej Biblioteki Narodowej w Tbilisi, że w mieście tym mieszka obecnie wielu obywateli gruzińskich szczytujących się znajomością języka polskiego.

Dobrze się stało, że Bohdan i Krzysztof Baranowscy zebrali rozproszoną w różnych źródłach sumę wiedzy o polsko-kaukaskich związkach kulturalnych, naukowych i turystycznych w jedną zwartą, nie pozbawioną sensacyjnych wątków całość właśnie dziś, gdy coraz częściej polscy turyści odwiedzają kaukaskie sanktatoria i kurorty. Może komuś uda się przy pomocy wspomnianej publikacji odnaleźć inne jeszcze ślady polskości w tej pięknej krainie.

ANDRZEJ KEMPA

Bohdan Baranowski, Krzysztof Baranowski: Polaków kaukaskie drogi. Łódź, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1985, str. 206, cena 160 zł.

Kronika kulturalna

DZIELNICOWA Biblioteka Publiczna

Łódź-Sródmieście obchodzi trzydziestopięcioletnie — jednocześnie czterdziestolecie obchodu Pierwsza Śródmiejska Biblioteka dla Dzieci i Młodzieży. Z tej okazji w czwartek, 17 kwietnia, odbędzie się sesja popularnonaukowa „40-lecie Dekretu o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi”.

Referaty wygłoszą: Dr Ziemowit Skibiński. — Wprowadzenie do życia i osobowości Andrzeja Struga: Prof. dr hab. Jadwiga Kołodziejska — Społeczne uwarunkowania rozwoju czytelnictwa; mgr Izabela Nagórka — Łódzkie biblioteki publiczne dla dzieci i młodzieży w 40-lecie.

Zebrani wezmą udział w uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej Andrzejowi Strugowi.

PAŃSTWOWY TEATR LALEK „Arlekin”

W Łodzi rozpoczął w piątek 11 kwietnia br. tournée po Jugosławii. Na podstawie umowy o współpracy kulturalnej teatr został zaproszony przez teatr lalek z Lubliany. Łódzcy artyści przedstawiają jugosłowiańskiej publiczności widowisko Henryka Jurkowskiego „Ludowa szopka polska” w reżyserii Stanisława Ochmańskiego, w scenografii Wacława Kondka, z muzyką Bogumila Pasternaka.

Łódzki teatr wystąpi w Lublianie, Bugojno, Zenicy, Sarajewie, Zuzle i Subotnicy. Teatr wraca do kraju 27 kwietnia.

BARDZO bogaty program będą miały tegoroczne XI Wiosenne Spotkania z Filmem Radzieckim. Ta z roku na rok ciekawsza impreza stanowi już nie tylko uzupełnienie tradycyjnych Dni Filmu Radzieckiego w listopadzie — staje się przeglądem równie ważnym i równie atrakcyjnym.

W 31 kinach województwa łódzkiego, 18 kinach piotrkowskiego, 14 — w województwie płockim i po 10 kin w województwach sieradzkim i skierniewickim odbędą się w dniach 17—30.IV. przeglądy wznowień popularnych filmów radzieckich oraz projekcje premierowe. Premierą będą miały następujące filmy: „Owacja”, „Fikcyjny ślub”, „Człowiek z akordeonem”, „Tajemnice rodzinne”, „Wiara, nadzieja, miłość” i „Słońce w kieszeni”. Wzniesienia ujęte są w cykl: II Wojna Światowa; Włodzimierz Lenin; Zaczarowany świat baśni; Na muzycznej pięciolinii; Radziecy filmowcy dzieciom; Na komediową nutę; Różne oblicza wojny; Sensacja na ekranie; Historia na ekranie; Nurt poetyczny w filmie radzieckim; W tonacji komedii; Przegląd na ekranie; Portret kobiety w filmie; Stylne adaptacje; Sensacja i przegrada.

Łódzka inauguracja Spotkań odbędzie się 17 kwietnia o godz. 17.00 w kinie „Polesie”. Odbędzie się projekcja filmu „Człowiek z akordeonem” Nikolaja Dostala. W uroczystości weźmie udział delegacja filmowców radzieckich ze znanym reżyserem Borysem Tokariem, autorem filmu „Nikolaj Dostale”, reżyserem Nikolajem Skubinem (autorem filmu „Z życia Polapowa”) — film również zostanie prezentowany w czasie przeglądu i reżyserem „Nikolajem Tyrczikiem. Artystom radzieckim będzie towarzyszył dyrektor ekspozycji Sowieckich filmów w Warszawie, Wiktor Giuszczenko.

W AKADEMII MUZYCZNEJ w Łodzi

odbędzie się w dniach 21—26 kwietnia br. przesłuchania Międzynarodowego Konkursu Muzyki Kameralnej. Zgłosiło się 38 zespołów (104 osoby). Tegoroczny Konkurs, dwudzięty z kolei, będzie poświęcony twórczości kompozytorów polskiej XX wieku. Przewodniczącym jury jest prof. Kiejstut Bacewicz.

W INSTYTUCIE POLSKIM w Paryżu trwa

wystawa pt.: „Dziecko w malarstwie” zorganizowana przez Biuro Wystaw Artystycznych w Zamoczu. Wystawiono 61 prac dwudziestu autorów współczesnych, wykonanych w różnych technikach i przez artystów reprezentujących różne pokolenia.

W MIEJSCOWOŚCI Ing. Pablo Noguea

w prowincji Buenos Aires zainaugurowane zostały Dni Kultury Polskiej. Przez dwa tygodnie mieszkańcy polskiej prowincji będą mogli obejrzeć polskie wystawy fotograficzne („Pomniki Krakowa” i „Polska w fotografii”), ekspozycje grafiki współczesnej, polskiej sztuki ludowej, plakatu i książki. Odbędzie się koncerty polskiej muzyki poważnej i ludowej. Patronat nad imprezą objął gubernator prowincji Buenos Aires.

ODBYŁ SIĘ środowiskowy Przegląd

Piosenki, siódmy z kolei, pn. „Bazar '86” oraz eliminacje do Festiwalu Piosenki Studenckiej „Kraków '86”. Jury wyróżniło następujących wykonawców: dwiema drugimi nagrodami „Grupę Małgorzaty” i „Blejtam”. Trzecią nagrodą — Henryka Chrostka. Zostali oni zakwalifikowani do udziału w festiwalu „Kraków '86”. W kategorii wykonawców rockowych wyróżniono grupę „Mathmos”.

KWIETNIOWY biuletyn „Pagartu” obiecuje koncert Bernarda Ringelssena w Filharmonii Łódzkiej. Artysta wykona Koncert fortepianowy na lewą rękę D-dur Maurycego Ravela. Z dziedziny muzyki rozrywkowej też są atrakcyjne obietnice: Zanna Biczewska, grupa „Saxon” i „Southern Pacific” — amerykańska grupa country-rockowa.

CIĄG DALSZY... CZY NASTĄPI?

cyjno-financeowa opiece Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych wraz z czterema innymi, dotychczas amatorskimi teatrami: Kalam-burem, Teatrem Stu i Akademii Ruchu.

Lecz wróćmy do roku 1977. kiedy to z inicjatywy Teatru 77 powstała Międzynarodowa Federacja Teatru Niezależnego (IFIT). Ważny to fakt, bo on właśnie wyznaczył główny kierunek w późniejszej działalności teatru, kierunek w Polsce mało znany, rzadko omawiany. „Konsekwencja założenia, że teatr winien być miejscem budowania wspólnoty z tymi, którzy do niego przychodzą — było nasze wyjście z proplecyjnego sojuszu do tych, którzy go tworzą” — pisał Zdzisław Hejduk.

Współpraca w ramach IFIT polegać miała, i polega, nie tylko na wymianie doświadczeń, ale i na realizacji wspólnych przedsięwzięć artystycznych. Pierwszym z nich było „Skrzyżowanie”, wypowiedź z r. 1978 zrealizowana wspólnie z Teatrem z Sztokholmu Następna — prezentowana podczas Międzynarodowych Spotkań Teatru i Sztuki Otwartej we Wrocławiu — parateatralna wypowiedź „Nadzieja”, później „Wiosna Ludów” — efekt współpracy z praskim Divadlem na Provazku. Wreszcie największe dotychczas przedsięwzięcie, projekt teatralny „Razem” oparty na utworze Jana Amosa Komenskigo, dotychczasową działalność zarówek zrealizowany został z udziałem zespołów z Wali i Danii, a final jego miał miejsce podczas Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego „FOOLS” w Kopenhadze w 1983 r.

Ten ważny i interesujący odcinek działalności Teatru 77 nie został oczywiście przerwany, ale do jego późniejszych losów jeszcze wrócimy.

W OBLCZU ZAGROŻENIA

Te wszystkie minione fakty potraktowałam dość pobieżnie, ale przecież nie o szkie historyczny tu chodzi, nie o rzetelne udokumentowanie i zinterpretowanie dotychczasowego żywota Teatru 77. Nie jest też moim zamiarem spisywanie panegiriku ku jego chwale. Były to wyłącznie wspomnienia, które uświadamiają każdemu, kto od lat śledzi losy „Siódemki”, ich miejsce w historii łódzkiego teatru, polskiego teatru, wreszcie w dziejach naszej kultury. A czas na to jest jak najbardziej odpowiedni. Teatr 77 zastajemy dziś w momencie poważnego niepokoju.

Z dn. 31 sierpnia br. Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe zrzekają się patronatu nad teatrem. Zostaje on pozbawiony administracyjno-financeowej opieki, bez którego istnieć nie może. Nie jest niestety możliwe całkowite usamodzielnienie się Teatru 77, musiałoby się

konają tego przedstawiciele MKiS, Wydziału Kultury Urzędu m. Łodzi i inne zainteresowane instytucje. Wymiana opinii między nimi ma nastąpić już w tym miesiącu. Opinia końcowa zdecydowanie o dalszych losach teatru. Obawa zespołu o wyniki tej weryfikacji jest uzasadniona z wielu względów. Po pierwsze — od początku swego istnienia miał zarówno zagorzałych wielbicieli jak i grono równie zagorzałych przeciwników. Ale oczywiście obiektywna ocena tych skrajności uwzględniać nie powinna. Stwierdzić zaś musi, z całą pewnością, fenomen tego teatru, który od 16 lat rozwija się konsekwentnie nie tylko w granicach swej siedziby przy Zachodniej, teatru, który zainspirował i współtworzył model międzynarodowej współpracy teatralnej, teatru, którego jednym z podstawowych zadań jest nie tyle „pokazywanie” polskiej kultury za granicą, co aktywne włączanie jej w krwioobieg całej kultury europejskiej. Może bardzo górnolotnie brzmią te słowa, ale są tylko uogólnieniem faktów przedstawionych wcześniej.

Druga sprawa, która tłumaczy pełen niepokoju nastrój zespołu, jest również jasna. Teatr 77 takiej weryfikacji poddaje się nie po raz pierwszy i zwykle przyczyny pozateatralne o podłożu takich kroków decydowały, to zrozumiałe. Ale sądzę, że wyróżniając teatr w roku 1979 nadaniem mu statusu teatru profesjonalnego, w 1983 potwierdzając zaufanie do niego i w wyniku szerokiej dyskusji społecznej doceniając duży wkład w życie miasta, tym samym uznano zasadność i potrzebę jego istnienia. Teraz, następne potwierdzenie tej akceptacji wydaje się zbędne. Jest jeszcze inna sprawa, bardziej niepokojąca. Ocena wypada, założyć, pozytywnie i co dalej? Kto, jaka instytucja (w grę wchodzi wyłącznie instytucja artystyczna) wyrazi chęć roztoczenia opieki nad „Siódemkami”? To jasne, że w warunkach normalnych, tzn. niekryzysowych, znalazłoby się paru takich chętnych. Ale teraz, kiedy każda placówka boryka się z własnymi poważnymi problemami, zwykle finansowymi, kto zechce wziąć na barki dodatkowy balast? To pytanie musi jeszcze trochę poczekać na odpowiedź...

NIESPEŁNIONE MARZENIA

Ponieważ sytuacja teatru od dłuższego już czasu pozostaje nie wyjaśniona, niemożliwe jest kontynuowanie międzynarodowych akcji teatralnych. Przygotowania do wielu z nich zostały z konieczności przerwane. A szkoda, bo właśnie Teatr 77 jest projektodawcą większości tych przedsięwzięć. Opowiem o najnowszym i największym z nich, o tzw. „projekcie bałtyckim”. Miał on być kontynuacją projektu „Razem”.

Książka o Polakach na Kaukazie

W „Myślach serdecznych” wydanych w Jersey w 1854 r. poeta-wygnaniec Karol Baliński, autor słynnego ongiś „Farysa-wieszca”, pisał:

Sponad Wisty w step Tobolska,
Znad Irtyszu w Pireneje,
Po lez fali, po krwi fali,
Los jak liściem tobą wieje
Przez rozpacz, przez nadzieję!
Hula! hula! duszo polska!
Dalej! dalej!

Hulała też udręczona dusza polska coraz dalej i dalej, aż dohulała się na Kaukaz, najczęściej w burym szyneli żołnierskim, upodłona i obolała. I właśnie tutaj, na ziemi starożytnej Kolchidy, trafili polscy uczestnicy powstań narodowych i spisków zbrojnych, by jak na uragowisko ciemnieć z cesarskiego polecenia bohaterów górali kaukaskich, walczących o niepodległość rodzinnego kraju. Kobiety były tam tak piękne, że wieść o ich urodzie dotarła jeszcze w 1746 r. do „Nowych Aten” osławionej „Akademii wszelkich ścieńcy pełnej” pióra ks. Benedykta Chmielowskiego: „Białogłowy tu bardzo urodziwe, w szarawarach i botach chodzące, z orężem polowanem się bawią, serca kawalerskiego”. Później, już w czasach Szamila, dzielnego przywódcy powstańców kaukaskich, walczący przy boku mężczyzn w obronie ojczystego kraju. Dziwnym zrzadzeniem losu przeciwko walczącym o niepodległość góralom kaukaskim stawali zesłani w „solidaty” Tadeusz Łada-Zabłocki i Władysław Strzeliński, a także werm samodzielnia wia rosyjski poeta Michał Lermontow. Wszy-

scy trzej zginęli w samym kwiecie wieku na ziemi Kaukazu.

Ukazała się niedawno książka Bohdana i Krzysztofa Baranowskich pod obiecującym tytułem „Polaków kaukaskie drogi”. Autorzy na podstawie bogatej literatury przedmiotu i własnych ustaleń badawczych przedstawili w sposób lapidarny a instruktywny zarazem związek Polaków z tym pięknym krajem, do dziś urzekającym turystę malowniczym krajobrazem, gościnnością mieszkańców i aromatem szlachetnych trunków.

Było coś wspólnego w dziejach Polski i w historii dawnego Azerbejdżanu, Dagestanu, Gruzji, Armenii i dziesiątków księstw kaukaskich, walczących zrazu o hegemonię na własnym terenie, a potem już tylko o zachowanie suwerenności wobec obcych potencji. Był w Gruzji, jak i u nas, okres „złotego wieku” kultury i literatury, tylko że znacznie wcześniej, bo w X—XII w. Odnazczył się świetnym dziełem Szoty Rustawego „Witeż w tygrysiej skórze” (przełożył go zmarły przed rokiem Igor Sikirycy) i mądrą polityką mądrej królowej Tamary. Kres monarchicznej Gruzji przypada na schyłek panowania carycy Katarzyny II. Jej następca Paweł I był świadkiem śmierci ostatnich królów Gruzji — Herakliusza II i Polski — Stanisława Augusta Poniatowskiego. Jerzy III, syn Herakliusza, poddał swój kraj pod wieczyste panowanie Rosji.

W książce o „Polaków kaukaskich drogach” autorzy wymieniają szereg nazwisk Polaków, którzy wzbogacili naszą literaturę egzotyczną

Szczurzyca

(Die Rättin)

(fragmenty)

Zamiast dwunastu jest pięć kobiet na pokładzie „Nowej Ilsebill”. Tyle zgłosiło się do prowadzenia badań na byłym statku towarowym; początkowo przesadziłem z tą liczbą, ale taką zapamiętałem.

Ponieważ w Luksemburgu odbył się pięciodniowy kongres a na wyspie Stromboli trzytygodniowe seminarium z możliwością zbiorowego dziesięciogodniego zjazdu, zmniejszając się zawiązała przeze mnie liczba, zameldowało się dziewięć, potem siedem, gdyż dwie kobiety robiące na drutach musiały pospieszyć się do Schwarzwaldu i w końcu dwie następne razem z wełną i drutami zostały wezwane do rejonu Dolnej Elby; bowiem wszędzie a nie tylko w mojej wyobraźni dopytywano o dzielne niewiasty, które w Luksemburgu zwalczały używanie preparatu Dioxin w mleku dla matek, na wyspie Stromboli protestowały przeciwko rabunkowemu połowom ryb w Morzu Śródziemnym, w Schwarzwaldzie rozważały problem zamierania lasów a na obu brzegach Dolnej Elby piętnowały zmasowane elektrowni atomowych. Wyprawne, elekwentne, nigdy nie przejmowały się złymi czy dobrymi opiniami o sobie, dyskutowały dysponując bogatą wiedzą, a nawet mężczyźni stawiali je za wzór. Nikt nie potrafił przeciwstawić się ich faktom. Miały zawsze ostatnie słowo. A jednak ich zwycięska walka na słowa okazała się daremną: lasy nie przestały umierać, nadal sączyła się trucizna, nikt nie wiedział co począć ze śmieciami a w Morzu Śródziemnym wskutek zbyt małych oczek w sieciach wylapano ostatnie ryby.

Tak to wyglądało jakoby robotki te kobiece miały jedynie sens. Wykonywano dzianiny o kształtach rombów lub przenikających się wzorów, a te eleganckie dziergano w splatające się warkoce lub ażury. Co więcej: początkowo wykpiwane i nazywane babiskim kaprysem, z czasem na kongresach lub w czasie akcji protestacyjnych robienie na drutach zostało uznane nie tylko przez męskich przeciwników, ale również przez kobiety, jako źródło krzepiącej siły. Nie w tym znaczeniu, żeby kobiety swoje argumenty wyciągały z podwójnie skróconej włóczki według ryżowego wzoru; po tę wiedzę wspierając się na rozporządzeniach urzędowych i danych statystycznych sięgały tak jak po motek wełny z podręcznego koszyczka. Był to proces, który zasadał się na niepowstrzymanym, surowym a jednak łagodnym porządku prowadzenia selegu, ponad głośno powtarzanym argumentem dziwiarki, była to nieubłagana konieczność robienia na drutach, wprawdzie nie przekonana ona przeciwników, ale wywarła na nich wrażenia i rozmięczyła ich, gdyby tylko dość było w zadaniu tak czasu jak wełny.

Wszakże te kobiety robiły na drutach wspólnie i dla siebie, nawet nie widząc przed sobą przeciwników, jakby nie chciały zaprzeczyć prowadzenia selegu; stąd też zapamiętałem pięć, pływały statkiem „Nowa Ilsebill” po zachodnim Bałtyku próbując określić zasoby meduz, miały też na pokładzie niezbędne do robotek przybory i wystarczającą ilość wełny: farbowanej, niefarbowanej, wybielonej.

Jedynie najstarsza spośród nich, byłaś waga lekka, której nie można było, tylko w chwilach zapadającej nagle ciemności — dać 57 lat, lat kłopotów i pracy, zaokrętowała się bez drutów i wełny. Stara była zdecydowanie przeciwna tej, jak mówiła, głupiej, pończoszniczej robotce. Nie umiała nawet szydełkować. A nawet gdyby już, to nie się jej nie udawało. Natomiast znacznie lepsza była, od kobiet zapatrzoną w swoje wzory, w praniu, pieczeniu, czyszczeniu i gotowaniu, toteż przejęła kambuz: „Słuchajcie no, kobity! Poprowadźcie kuchnię, ale dajcie mi spokój z drutami!”

Pozostałe cztery kobiety nie odkładały motków wełny i drutów nawet przy wysokiej bryzie. Skoro pani kapitan zastępuje sternika, aby przeciw szwałom, które nadchodzą z północnego zachodu ująć ster w obie ręce, pani sternik sięga po owczą wełnę i robi jednokolorowy, według własnego wzoru, pulower, jest tak szeroki, w sam raz na barczystego chłopca, o którym nigdy się wprost nie mówi a jedynie w niejasnej aluzji że trzeba jakoby nieborakowi przymierzyć kaftan bezpieczeństwa.

Gdy pani kapitan, od serca nazywam ją Damroka, przekazuje ster, który oburacz ujmują pani sternik, trzymając kurs przy słabym zachodnim wietrze, natychmiast zaczyna robić z resztek wełny barwny pled, rozmaicie wstawione łaski starannie rozmieszcza, by powiększyć kwadrat, nie spuszczaając przy tym oczu z kompasu i barometru. Albo przyszywa łatwe do wymiany łaski, których wzory układają się w spirale, w żeberka, zaznaczone rzędam i opuszczonych oczek i zluszczone jak pancernie.

Gdy maszynistka nie musi gnieździć się w wąskim pomieszczeniu maszynowni, można być pewnym, iż przez czas tankowania, zajmuje się również robotkami — rośnie jakieś monstrum o kolorze pęczu; przez całe życie pracowała, harowała jak zwierzę; zawsze dla innych, nigdy dla siebie.

To samo ze specjalistką. Jeśli w śródozłotym na długim stole nie waży albo mierzy meduz umieszczonych w szklanych waniach, to robi na drutach, z przyzywania pilna, szast prast: wiele dziecięcych drobiażdżków, między nimi ładniutkie spodenki o wzorach z szyszkami jodły lub ze słonecznymi zegarami. Szuszytymi palcami, które dopiero co delikatnie obchodziły się z płatami przetrzeczystych meduz, prowadzi różowy albo jasnoniebieski, cienko spleciony ścieg. W Travemünde zaopatrywano się nie tylko w prowiant i tankowano odpowiednią ilość paliwa, brano tyle wełny, że powinna wystarczyć aż do Stege, tak nazywa się stolica duńskiej wyspy Mon.

Ala daleko jeszcze do portu Stege. Hałaśliwie pofukując — to jest ten, powietrzem chłodzony Deutz-Diesel — „Nowa Ilsebill” wpływa do zatoki Neustadtkiej. Jeśli nawet nie będą wylatywały meduz, jakiś czas minie na robieniu na drutach.

Nie, szcurzyco! Ja poważnie traktuję wełnę i druty i nie śmieję się, gdy ścieg się zrywa, oczko spada albo coś musi być sprute, bo za luźno było dziane.

Od dawna miałem w uszach do klekotania. Od dzieciństwa poczynając aż do dzisiejszego puloweru kobiety dziergały z miłości i to rzeczy, zachowały ciepłość ich uczuć. W każdym czasie coś było dla mnie w robocie ze wzorem prostym lub skomplikowanym.

Jeśli mój szcur gwiazdkowy nie chce mi wierzyć, więc ty powinnaś. Nigdy nie będę drwił z kobiet robiących na drutach, gdziekolwiek by były, wszędzie na kuli ziemskiej, z potrzeby czy z upodobania, także ze złości i z żalu. Słyszę je, jak klekoczą przeciw umykającemu czasowi, przeciw gromzącemu Nic, przeciw każdemu przeznaczeniu z uporu albo z gorzko pojętej beznadziei. Błada, jeśli ten odgłos zagłuszony raptownie nastąpi cisza. Z głupiego tylko męskiego dystansu podziwiam, jak pozostały pochylone nad tymi przybarami.

Teraz, szcurzyco, kiedy w lasach i rzekach, na płaskim, górzystym terenie, w manifestach i w modlitwach, na transparentach i nawet w ogłoszeniach, w naszych jałowo spekulacyjnych głowach zakodowano, iż nasz ścieg mógł zostać przerwany, od kiedy koniec jedynie 7 dnia na dzień będzie przesunięty, robienie na drutach kobiety są ostatnią przeciwsiłą, podczas gdy mężczyźni strzegą jedynie języki, wszystko rozpapia i niczego nie dokonają, by ogrzać marzących ludzi — i prochem są tylko.

Przekład: STANISŁAW KASZYŃSKI

W lipcu 1981 roku do Muzeum Sztuki w Łodzi dokonano włamania, podczas którego skradziono 11 płócien. Niemal wszystkie udało się odnaleźć i zwrócić naszym zbiorom. W dalszym ciągu jednak brak najcenniejszego z nich — „Ostatniej godziny Rabiego” Jankiela Adlera, obrazu powstałego w 1919 roku, jednego z najstarszych zachowanych dzieł artysty. Wszystko wskazuje na to, że dla tego właśnie obrazu zorganizowano całą kradzież, zaś pozostałe płótna złodzieje zabrali niejako „przy okazji”.

Byliby może włamywacze jednymi z nielicznych w naszym kraju, którzy docenili malarstwo Adlera — jego nazwisko bowiem znane było u nas dotąd zaledwie wąskim kręgiem specjalistów i koneserów, gdyby nie otwarta 28 lutego w Muzeum Sztuki retrospektywna wystawa dzieł wielkiego malarza. Wydobyła ona wreszcie z wieloletniego zapomnienia, w jakie popadło w Polsce, jedno z najciekawszych zjawisk sztuki europejskiej. To zapomnienie, niezrozumienie już ze względu na wartość dorobku artysty, stawiająca go wśród największych malarzy naszego stulecia, zdumiewa tym bardziej, że korzenie twórczości Adlera, urodzonego w 1895 roku w Tuszynie, wychowanego w Łodzi, nierozdzielnie związane są ze środowiskiem jego młodości, z kulturą łódzkich Żydów — chasydów, której charakter odciśnięty trwał ślad na jego malarstwie.

Chasydyzm to przede wszystkim mistyka.

Rzecz w tym (...), że jest wiele, wiele prób i wiele stopni do osiągnięcia doskonałości ducha. Do opanowania melodii ducha. (...) Prawdziwa melodia to ta, która sama przez się śpiewa bez głosu... Dobrywa się ze środka, z serca, z wnętrza... (..) W pewnej mierze jest to już część owej melodii, z której Bóg stworzył świat. Jest to część duszy, którą Bóg tętnił w świat...

Tak pisał w opowiadaniu „Kabaliści” Ichoch Lejbusz Perer, pisarz przełomu XIX i XX wieku, jeden z pierwszych, którzy odkryli dla literatury ową, tak specyficzną żydowską kulturę chasydzką. Tę samą kulturę, w której mistycznym klimacie, z Talmudu i Kabały, z szabasowych świec, z charakterystycznych symboli i znaków narodziło się niepowtarzalne malarstwo Jankiela Adlera. Jak silny był wpływ chasydyzmu na młodego twórcę, świadczą także jego poezja. W zamieszczonym w 1919 roku na łamach łódzkiego „Ing Idisz” wierszu „Śpiewam moją modlitwę...” mówi:

Twoja pieśń pulsująca
poczętem w szpiku moich
Kości —
O — proszę Cię! Otul mnie
czystością Twojej
Łaski i pozwól mi błękitem
modlitwy śpiewać
tylko
Tobie pieśni najdoskonalsze:
od misterium
kobalitu
W głąb ultramarynu...

„Ing Idisz” było pismem grupy artystyczno-literackiej o tej samej nazwie, zawiązanej w Łodzi po I wojnie światowej, która dążyła do odnowy kultury żydowskiej i otwarcia jej na nowoczesne prądy w sztuce. W owym czasie, podczas swego dwuletniego pobytu w Polsce przed kolejnym wyjazdem do Niemiec, młody Adler był jedną z czołowych postaci „Ing Idisz”, nie tylko jako wybijający się malarz i grafik, ale także poeta i teoretyk sztuki. Wówczas właśnie powstała „Ostatnia godzina Rabiego”, ów obraz skradziony pięć lat temu z łódzkiego muzeum. Na obrazie, pełnym ekspresji jakby w stylu El Greco, wydłużone postacie wibrują niespokojnymi liniami, pulsują płaszczyzny czerwieni i błękitu, zieleni, oranżu... Ta ostatnia godzina rabiego dopełnia się w nastroju mistycznej ekstazy, w powietrzu zdaje się słyszeć jakby ta sama melodia, o której pisał Perer...

W późniejszych latach Adler z dystansem wypowiada się o swym malarstwie z czasu „Ing Idisz”. „Było to po wojnie, jej echo ciągle jeszcze pobrzmiewało w powietrzu. Ludzie byli przewrażliwieni. Nosiliśmy wówczas duszę na dłoni i pokazywaliśmy ją wszystkim. Dziś nie czujemy się inaczej niż wówczas, ale nie demonstrujemy już duszy wszystkim. Wrazem naszych obecnych cza-

sów jest rzeczowość, rzeczywistość. Jesteśmy antypatetyczni. Codziennność ma w sobie wiele piękna. Wówczas szukaliśmy nastroju, teraz poszukujemy napięcia”.

Rzeczywiście. Po ponownym wyjeździe do Niemiec w 1920 roku Adler odchodzi powoli od ekstatycznego, mistycznego ekspresjonizmu okresu „Ing Idisz”. Odtąd organizacja jego płócien staje się bardziej dyscyplinowana, w sposobie widzenia zaznacza się wpływ kubizmu. Przełomowym zdaje się tu być pochodzący z 1921 roku, namalowany na drewnie obraz „Moi rodzice”.

Doświadczenia kubizmu traktuje jednak artysta indywidualnie. To, co go wyróżnia, to zintegrowanie poszczególnych elementów kompozycji. Gesty postaci, ich wzajemne relacje wyznaczające kierunki linii, na których oparta jest konstrukcja obrazu, tworzą całość

koblety”, postacie nie patrzą na siebie. Jest jednak w gęstej atmosferze obrazu, w jego nieodpowiedzeniu, jakieś szczególne napięcie, wynikające z krzyżowania się linii kompozycji, będących odbiciem niejasnych powiązań między bohaterami.

Pełen tajemniczości i nostalgicznej zadumy nastrój malarstwa Adlera tworzy również inny, tak charakterystyczny dla jego twórczości element, związany z jego narodową odrębnością — symbolika pewnych gestów, hebrajskich słów wkomponowanych w obraz, motywów zwierzęcych wziętych z literatury kabalistycznej. Elementy collage’u — w przeciwieństwie do kubizmu, w którym urealniali dzieło sztuki nadając mu swoistą autonomię — nabierają u Adlera znaczenia mistycznego. Nieczytelne często dla widza spoza kręgu kultury żydowskiej, polegają tajemniczo, melancholijny klimat obrazów.

Granic malarstwa przedstawiającego prawie nigdy nie przekracza Adler całkowicie. Zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraża się artysta ulegający nadmiernie pustej dekoracyjności sztuki czysto abstrakcyjnej.

W 1933 roku Adler w dramatycznych okolicznościach opuścił Niemcy, kraj, w którym przez wiele lat mieszkał i tworzył i w którym cieszył się sławą wybitnego malarza. Zamieszkał we Francji. W 1935 roku przyjechał do Polski. W Warszawie i Łodzi odbyła się wówczas po raz pierwszy od wielu lat i aż do obecnej ekspozycji w Muzeum Sztuki ostatni, retrospektywna wystawa jego prac. Większość z nich władze polskie zdołały wydostać z Niemiec, gdzie jako dzieła „sztuki zdegenerowanej” przeznaczono były do likwidacji. Udało się to przeprowadzić między innymi dzięki temu, że Adler nie zrezygnował nigdy z polskiego obywatelstwa.

Wyjazd z Niemiec, gdzie pozostała żona i córka, oznaczał dla artysty początek tułaczki po Europie, ale także wciąż nowe kontakty z współczesnymi prądami w sztuce. Wybuch wojny zastał go we Francji, gdzie Adler zgłosił się ochotniczo do Polskich Sił Zbrojnych. Po kapitulacji znalazł się ze swym oddziałem w Glasgow. Z powodu choroby serca został zdemobilizowany. Poświęcił się odtąd intensywniej pracy artystycznej — najpierw w Glasgow, potem w Londynie. Angielski okres w jego twórczości krytycy uznają za najbardziej dojrzały. W obrazach powstałych w tym czasie widać, że artysta po latach poszukiwań formalnych odnalazł swą ostateczną drogę. Okazała się nią synteza figuralności z abstrakcyjno-symbolicznym sposobem widzenia świata. Nowy malarski język Adlera, stworzony z jego dotychczasowych doświadczeń, nacechowany jest teraz szczególnym dramatyzmem, wypowiada się nim bowiem twórca wstrząśnięty tragedią wojny i tragedią swego narodu. Bezlitosna wymowa „Inwalidów”, wizja zagłady w „Treblince”, potrąskane abstrakcyjne formy z unoszącą się nad nimi krwawą plamą księżycową w „Zniszczeniu”, cierpienie na twarzach „Dwóch rabinów”, wszystko to jakże sugestywnie oddaje grozę tamtych czasów. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że ów leżący w gruzach świat z obrazów Adlera nie jest skazany na zagładę, że istnieje jeszcze wartości, które ocalały z wojennej pożogi. Dwa rabin trzymają na wpół rozwinięty zwój papieru z napisem „Misericordia...”

Jankiel Adler, po trosze ekspresjonista, kubista, abstrakcjonista, a wylczyć by tu można kilka jeszcze kierunków, z których czerpał inspirację dla swojej twórczości, przez historyków sztuki umieszczany był najczęściej między Picassem a Paulem Klee („To dobre miejsce do bycia” — jak sam twierdził). Jego malarstwo nie można jednak przypisać do żadnego ze współczesnych mu prądów. Synteza dwóch źródeł — żydowskiej kultury chasydzkiej i modernistycznej sztuki zachodnioeuropejskiej — stworzyła artystę na wskroś indywidualnego, artystę, który wszystko, z czym się zetknął, przekładał na swój własny język. Na tym polega jego wielkość. Nie zapominajmy znów o Adlerze, gdy wystawa jego obrazów opuści Łódź...

DANUTA ŚMIERZCHAŁSKA

Jankiel Adler

— wielki

przypomniany

harmoniijną, pełną wewnętrznego „spokoju”. Statycznie ujęte, masywne brylowate, zdradzające wyraźny wpływ Picasa z ówczesnego okresu postacie, stanowią kompozycje nie pozbawione pewnych elementów narracji. Pochodzący z 1926 roku olej przedstawia trzy kobiety. Umieszczone diagonalnie na pionowym, podłużnym płótnie, siedzą przed zamkniętym szlabanem — jedna z nich na trzcinowym, plecionym fotelu, druga na krześle. Trzecia przysiadła z tyłu na opuszczonej barierze szlabanu. W milczeniu, zapatrzone przed siebie, ręce trzymają złożone na kolanach w geście oczekiwania. Z kolei na wcześniejszym o rok obrazie „Rodzina” w pokoju za stołem z lampą naftową, chlebem i rybą na talerzu siedzą mężczyzna i kobieta. On — w kapeluszu z mandoliną w ręku ona — z na wpół odkrytą piersią. W otwartych drzwiach, z kotem u stóp, stoi druga kobieta. Jej rysy ma czwarta postać — naga, wylaniająca się z płóców mężczyzny, jakby odbicie jego ukrytych myśli. Tak jak i na płótnie. „Trzy

Obecny jest on nawet w tak „obojętnej” treściowo formie, jaką jest martwa natura. Klimat ów tworzy najczęściej jakiś jeden element — zaskakujący, dziwny, nadający całej kompozycji swoiste piękno.

Adler przykładal wielką wagę do rzemiosła. Sztuka to nie pokaz iluzjonistyczny ani wygrana na loterii. Jest to stopniowo i powoli wykonywany wyrob, ustawiczne udoskonalanie fachu — powiedział w pewnym wywiadzie. Adler poświęcał wiele czasu na przygotowanie płótna, na eksperymenty z fakturą, oryginalność której uzyskiwał między innymi dzięki mieszanin różnorodnych składników. Farb olejną mieszał z piaskiem, gipsem, klejem, a nawet solą. Różnicowana faktura obrazu również stawała się elementem kompozycji.

Na początku lat trzydziestych Adler zaczyna tworzyć obrazy bliskie abstrakcji. Jego charakterystyczny czarny kontur, obiegający barwne płaszczyzny, przestaje określać formę przedmiotu. „Wenus z Majorki” z 1933



Jankiel Adler, Skrzypek (1928 r.)

Polemiki • Listy • Opinie

REDAKCJA — CZYTELNICY

Zwracaliśmy już uwagę Czytelnikom, kierując do nich prośbę, aby listy pisane do redakcji posiadały imię, nazwisko i adres nadawcy. Autor listu ma pełne prawo do zachowania tajemnicy swego nazwiska i adresu, ale musi podać go do wiadomości redakcji, która zobowiązana jest „Prawem prasowym” do zachowania tej tajemnicy. Anonimy nas nie interesują i anonimami nie zajmujemy się.

W niektórych listach niekompletnie podpisanych zawarte są ciekawe propozycje, które mogą kogoś zainteresować i wtedy — tylko za pośrednictwem redakcji i na wyrażoną wobec redakcji zgodę — możemy skontaktować obie zainteresowane strony, ale jak to zrobić, jeśli list nie zawiera adresu. Oto dwa przykłady:

W. MICHAŁSKI z Łodzi prosi o opublikowanie listu w sprawie kupionego na własność mieszkania. List ma charakter interwencyjny. Jak go opublikować, jeśli nie będziemy w stanie wyjaśnić odpowiedniemu urzędowi dzielnicowemu o kogo chodzi i gdzie autor listu mieszka, a więc jaki urząd dzielnicowy byłby kompetentny wyjaśnić tę sprawę? W przyszłości bardzo prosimy o podawanie adresu. W tej formie, w jakiej autor nadesłał list do redakcji nie może być publikowany.

TADEUSZ PIOTROWSKI z Łodzi nadesłał szereg interesujących propozycji w sprawie budownictwa. Powinny one zainteresować władze miasta, jak i przedsiębiorstwa budowlane, które być może chętnieby skontaktować się z autorem. Jak to będziemy mogli zrobić skoro nie wiemy, o jakiego Tadeusza Piotrowskiego chodzi. Również list w tej formie nie może ukazać się na łamach.

Dostaliśmy list z Afryki z prośbą o umożliwienie nawiązania kontaktu z młodymi ludźmi w Łodzi. Cóż z tego, gdy autor nie podał swego adresu.

Prosimy więc serdecznie naszych korespondentów: nie zapomniacie o podaniu imienia, nazwiska, adresu. Każdy autor listu do redakcji ma prawo zastrzec sobie anonimowość, ale redakcja musi wiedzieć, kto o to prawo prosi i wobec kogo w druku spełniamy jego prośbę.

REDAKTOR DZIURNY

NIE TYLKO NIEPOROZUMIENIE...

Szanowny Panie Redaktorze, dopiero dzisiaj znalazłem w nr 10 „Odgłosów” z 8 marca br. stwierdzenie o następującym brzmieniu:

„Łódzkie środowisko literackie, trzecie w kraju pod względem liczebności, nie jest w Zarządzie Głównym ZLP reprezentowane, jeśli nie liczyć eks-lodzianina Jana Koprowskiego”.

Domyślam się, iż informację o tym w Kronice Kulturalnej swoich czytelników wyrażał Pan zarazem współzucie ulubionemu przez siebie środowisku, które tak chętnie prezentuje Pan na łamach kierowanego przez siebie Pisma (szkoda, że mniej chętnie niż eks-lodzian, ale przecież można to Panu wybaczyć). Jako przedstawiciel tego środowiska (bynajmniej nie jako członek Zarządu Łódzkiego Oddziału ZLP), śpieszę z podziękowaniem za okazane współzucie — oczywiście we własnym imieniu. Pragnę jednak nadmienić, że łódzkie środowisko literackie jest reprezentowane w ZG ZLP przez osobę swojego Prezesa i Kolegów biorących udział w pracach Komisji powołanych przez Zjazd, a poza tym należy pamiętać, że gdyby nawet nikt z nas nie miał prawa uczestniczyć w pracach Zarządu Głównego, to i tak nie zmienia to faktu, że Zarząd Główny jest naszym Zarządem Głównym, a nie jakimś obcym i wrogim nam ciałem. Nie zmienia to także faktu, że nadal pozostajemy łódzkim środowiskiem literackim, które w tymże mieście posiada swój znaczny dorobek kulturalny i pragnie ten dorobek powiększyć, w czym liczy także na pomoc z Pańskiej strony. Sądząc, iż nie ma Pan mi za złe, że śpieszę z podziękowaniem za okazane nam tymczasem współzucie, co bez wątpienia bardzo ładnie o Panu świadczy. Łódź, 1986-03-20.

Z poważaniem
ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

Zupełnie nie rozumiem, o co chodzi Andrzejowi Wiktorowi Mikołajewskiemu. Wprawdzie numer 10 „Odgłosów” nosi datę 18 marca 1986 roku, ale ukazał się w kioskach RUCH już 5 marca. List A. W. Mikołajewskiego nosi natomiast datę 20 marca 1986 roku. Miał więc Andrzej W. Mikołajewski czas na to, aby przeczytać również nr 11 „Odgłosów” i znaleźć tam artykuł Karola J. Stryjskiego o obradach zjazdu ZLP, jak i przemówienie wygłoszone na tym zjeździe przez Tadeusza Chrościelewskiego. Jeśli więc ktoś zabiera głos publicznie zgłaszając szereg nieuzasadnionych pretensji, to trzeba jednak lepiej poznać fakty, gdyż inaczej można się tylko ośmieszyć.

W notatce „Kroniki kulturalnej” poświęconej zakończeniu zjazdu ZLP nie ma ani słowa o współzuciu. Jest to wymysł Andrzeja Wiktora Mikołajewskiego, który pewnie nie potrafiłby tego udowodnić, gdyby zaszła taka potrzeba. Podobnie jak i insynuacji na temat mojego rzekomego stosunku do środowiska literackiego. Szerzenie publicznie tego rodzaju insynuacji i pomówień może w przyszłości narazić ich autora na przykre konsekwencje. Mimo to drzwi do redakcji „Odgłosów”, jak i łamy pisma dla Andrzeja Wiktora Mikołajewskiego nie są zamknięte. Jeśli zechce z nich skorzystać.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

GDZIE SIĘ RODZĄ WIESZCZE?

Tekstu opublikowanego w numerze 11/86 r. „Odgłosów” przemówienia Tadeusza Chrościelewskiego, wygłoszonego na II Zjeździe Związku Literatów Polskich, nie sposób czytać bez sprzeciwu. Wprawdzie Autor przewrotnie jawi się jako zwolennik znieślenia „miedzydzielnicowych rogatk” i jako przeciwnik zaniżania poziomu regionalnych czasopism i ich treściowego egalitaryzmu — z czym oczywiście należy się zgodzić — ale równocześnie (co wyraża wyniki z treści) uważa, że „rogatki” te powinny być otwarte z kierunku ośrodka „senioralnego” ku Polsce „zaściankowej”. Wyłatek czyni Autor jedynie dla takich pism, jak „Kamena”, „Przemiany”, czy „Warmia i Mazury”.

Aczkolwiek można dyskutować czy dobrze się stało, że w wyniku reformy podziału administracyjnego kraju stworzono aż 49 województw. Ale stało się i jest to — przynajmniej na razie — nieodwracalne. Nie widzę wszakże zła w tym, że owe „miniwojewództwa”, owa „Polska zaściankowa”, jak ją określa Autor, „osnuta” została siecią własnych, wojewódzkich, czasopism. Z pewnością ich poziom (choć jest to pojęcie wysoce nieścisłe) jest różny. Nie oznacza to wszakże, że pisma centralne („senioralne”) odznaczają się zawsze najwyższym poziomem, a publikowane w nich teksty pochodzą wyłącznie spod pióra luminary dziennikarstwa. Nie widzę też zła w tym, że terenowy, regionalny tygodnik zamieszcza materiał o sukcesie wykonującej przed terminem plan, miejscowej olejarni. W skali województwa bowiem może to być zdarzeniem równie ważnym, a być może ważniejszym, bo Czytelnikowi bliższym, niż postępy w budowie np. metra, w ośrodku

„senioralnym”. A być może owa pogardzana olejarnia, jest miejscowym mecenasem życia kulturalnego? Może utrzymuje miejscowy dom kultury czy finansuje działalność zespołu regionalnego?

Uczestnictwo w życiu kulturalnym, i to nie tylko bierne, ale również czynne, przestało bowiem być przywilejem wyłącznie mieszkańców ośrodków „senioralnych”. Pojęcie Polski „zaściankowej” — czego Tadeusz Chrościelewski nie chce zauważyć — zdążyło się już zdezaktualizować. Owa „zaściankowa” Polska nie tylko konsumuje produkty kultury wytwarzane w „senioralnym” ośrodku, ale także wytwarza je sama. Nie zawsze na swoje wyłączenie potrzeby (choć i to godne jest wysokiego uznania), ale czasem również na eksport — także do senioralnego ośrodka. I nie lekceważyłbym „ludzi z edukacją” — tych ozorkowsko-koluszkowskich, w równej mierze co warszawsko-krakowskich. Nie wiem, czy edukacja tych „ozorkowsko-koluszkowskich”, czy też sami ludzie mieliby być „w gorszym gatunku”. Sądząc, że rola tych właśnie „ludzi z edukacją” zarówno w ośrodkach „provincialnych”, jak i „centralnych” jest ogromna: w życiu gospodarczym, społecznym, kulturalnym. Ogromnym uproszczeniem i nieprawdą jest mniemanie, że ich kulturalne potrzeby w sferze publicystyki, zaspokajają informacje o „sukcesach miejscowej olejarni”. Owszem, sięgają i po periodyki centralne, gdzie znajdują materiały „ważkie, ogólnopolskie i niewtórne”. W swoim zaś „zaściankowym” czasopiśmie znajdują natomiast to, czego nie da im tygodnik centralny: informacje o regionie, terenie, czy mieście, w którym żyją i dla którego pracują i działają. O miejscowych wydarzeniach, sukcesach czy porażkach. „Zaściankowa” bowiem Polska nie żyje jedynie odbitym blaskiem życia senioralnego ośrodka. Ma własne, wcale niekoniecznie zaściankowe, życie.

Sądząc, że prasa regionalna, terenowa, spełnia ogromną rolę kulturotwórczą. Nawet wówczas, gdy publikowane w niej materiały mają charakter „wrotny”. Rozbudza ona potrzeby czytelnice wśród tych grup ludzkich, które po czasopiśmie „centralne” nie sięgnęłyby, ale które z pewnością przeczytają „swoją” tygodnik. Jeśli lektura czasopisma terenowego pozostawia niedosyt informacji w zagadnieniach ogólnopolskich czy ogólnospołecznych, to daje asumpt do sięgania także po inne, o zasięgu ogólnokrajowym, periodyki. I to jest ogromne osiągnięcie tych prowincjonalnych „zaściankowych” pism.

Nie ograniczać, nie likwidować na rzecz pism „senioralnych”, ale wspomagać i pomagać w rozwoju pisma terenowe, to chlubna rola RSW „Prasa”. Nie sami wieszczę redagują tygodniki, tak w Warszawie, Poznaniu czy Łodzi, jak i w Koninie, Siedlcach czy Sieradzu.

Ale też nigdy nie wiadomo, czy „wieszczę” nie objawi się — zamiast w Warszawie — na przykład w Uniejowie, Podębicach, czy w Mińsku Mazowieckim. Ośrodek „senioralny” nigdzie nie ma monopolu na wieszczę.

Myszę też, że odwoływanie się w porównaniach do przedwojennych „dobrych” pism — wileńskich „Słowa”, lwowskich „Sygnaliów”, poznańskich „Tęczy”, jako przeciwności współczesnych „złych” pism regionalnych jest anachronizmem. Po pierwsze — nie te czasy, a po drugie, tytuły te, współczesnemu Czytelnikowi, który nie przekroczył wieku sześćdziesięciu lat, nie dziś absolutnie nie mówią.

PIOTR SIKORSKI

I ZŁOT ABSOLWENTÓW W „NADWARCIAŃSKIM GRODZIE”

W dniach 2-4.05.1986 r. odbędzie się w Centralnej Szkole Instruktorów Harcerskich „Nadwarciański Gród” w Zaleczu Wielkim I Złot Absolwentów.

W programie Złota m.in.:
— wymiana doświadczeń z pracy harcerskiej, refleksje na temat wpływu szkolenia w CSIH na podniesienie poziomu tej pracy, wnioski i propozycje do przyszłych kursów,
— instruktorskie rozmowy — przy ogniskach — CSIH wczoraj, dziś i jutro,

— spotkania w grupach kursowych — wspomnienia kursowe,
— gra terenowa,
— festiwal piosenek harcerskiej,
— sprawnościowy tor przeszkód,
— spartakiada sportowa,
— ognisko — „Skądkolwiek jesteś przybywasz z uśmiechem”,
— spotkanie z piosenką — nauka piosenek harcerskich prowadzona przez ich autorów,
— praca na rzecz CSIH i środowiska tej działalności.

W Złocie może wziąć udział każdy absolwent CSIH, który:
— Jest czynnie związany z ZHP. Przyśle do CSIH raport (informację) ze swojej harcerskiej służby od zakończenia kursu do chwili obecnej.
— Przyśle kartkę do Kroniki Szkoły, na której przedstawi swoje wspomnienia z kursu (forma dowolna).
— Przyjedzie w mundurze.

Z WOLBORZA NA WOJNĘ

Wojnę polsko-krzyżacką, nazywaną później w tradycji historycznej „wielką”, rozpoczął zakon najazdem na ziemię dobrzyńską w roku 1409. Działania wojenne zostały jednak przerwane rozejmem. Nastąpił okres przygotowań do nowych starć zbrojnych. Do udziału w tych przygotowaniach i udziału w przyszłej wojnie przyłączyli się książęta mazowieccy (dość późno Siemowit IV). Nie zabrakło również w szeregach polskich części rycerstwa śląskiego, które stało pod chorągwią Ziemi Wieluńskiej.

Rozpoczęto gromadzenie żywności na wyprawę krzyżacką. Władysław Jagiełło zarządził wielkie łowy na grubego zwierzę we wszystkich puszczech leżących w dorzeczu środkowej Wisły (m. in. w okolicach Jaktorowa). Mięso upolowanej zwierzyny solono w beczkach i wysyłano drogą wodną do Płocka, gdzie założono bazę zaopatrzeniową dla całej armii. W kwietniu 1410 roku król w Polsce, a wielki książę Witold na Litwie ogłosili mobilizację.

Zgodnie z planem wojska małopolskie miały się zebrać 24 czerwca 1410 roku w Wolborzu — mieście odgrywającym coraz to większą rolę polityczną, gospodarczą i komunikacyjną. Był on bowiem położony na skrzyżowaniu ważnych i starych dróg o znaczeniu ponadkrajowym, które łączyły Mazowsze z południową częścią Sieradzkiego, Wieluńskiego i Śląskiego, Ruś z Wielkopolską i Pomorzem Zachodnim oraz Pomorzem Gdańskie z Małopolską i Węgrami. W Wolborzu odbywały się synody i zjazdy państwowe. Toteż nie przypadkiem Jagiełło kilkakrotnie wyznaczał Wolborz jako punkt zborny sił zbrojnych, wyruszających przeciw Krzyżakom. Poza wspomnianą koncentracją w roku 1410, zbierały się tu także wojska w latach: 1409, 1414, 1419 i 1422.

24 czerwca 1410 roku zjawia się w Wolborzu król Władysław Jagiełło, by stanąć na czele zebranego tutaj rycerstwa małopolskiego i zaciężnych oddziałów czeskich. Na zwołanej naradzie dostojników omawiano sposoby walki z nieprzyjacielem. Rano 26 czerwca do obozu polskiego w Wolborzu przybyło poselstwo z Węgier. Pośrednicy węgierscy zaproponowali naszemu monarsze przedłużenie rozejmu z Krzyżakami (który wygasł 24 czerwca „po zachodzie słońca”) do 4 lipca wieczorem, na co Jagiełło wyraził zgodę, gdyż ułatwiło to mu dokonanie w spokoju koncentracji oddziałów pod Czerwińskiem.

Po południu 26 czerwca wojska przybyły z Wolborza na pola wsi Lubochnia, zatrzymując się tu na nocleg. Król, nakazawszy

rozbić obóz, dokonał przeglądu hufców. Nazajutrz wojsko wyruszyło na północ, zatrzymując się na noc z 27 na 28 czerwca w Wysokienicach, a z 28 na 29 czerwca w Samicach (zwanych wówczas Sejmicami) nad rzeką Rawką. 29 czerwca oddziały Jagiełły dotarły do Kozłowa nad Bzurą, gdzie przybył goniec od Wielkiego Księcia Witolda z wiadomością, że armia litewsko-ruska stoi przy ujściu Narwi do Bugu i z prośbą o przysłanie kilku chorągwi polskich dla ostony przeprawy przez rzekę. Król spełnia prośbę i w tymże dniu wysłał Witoldowi 12 chorągwi.

Wojsko, ciągnąc przez Sochaczew i Brochów, dociera 30 czerwca do Śladowa, położonego po lewej (południowej) stronie Wisły, w pobliżu Czerwińska. Tu, w miejscu największego zwięzienia koryta rzeki, po przerzuconym moście pontonowym, osiąga prawy (południowy) brzeg Wisły. Części mostu wykonane zostały w największej tajemnicy w okolicy Kozienic, a następnie spiawione rzeką do Czerwińska. Było to poważne osiągnięcie, świadczące o wysokim poziomie polskiej techniki wojennej. Most, mający około 500 m długości, zbudowano bardzo solidnie. Nasz wielki historyk — Jan Długosz z podradomszczańskich Brzeźnicy rodem — pisze, że „wszystko wojsko królewskie suchą nogą przeszło Wisłę i najcięższe działa po nim przeprowadzono, a most ani drgnął pod ich ciężarem”.

Wojsku, podążającemu pod Czerwińsk przez tereny obecnych województw piotrkowskiego, skierniewickiego i skrawek warszawskiego, towarzyszyła bardzo długa kolumna taboru. Oddziały ryckie wraz z tym taborem przeprawiły się przez most na Wisłę w ciągu niespełna trzech dni — od 30 czerwca do 2 lipca. Spód Czerwińska wojsko małopolskie — po połączeniu się z chorągiewami książąt mazowieckich, hufcami zaciężnymi, rycerzami z Wielkopolski i innych ziem polskich oraz z armią litewsko-ruska wspomaganą przez oddział Tatarów — ruszyło 3 lipca w kierunku Grunwaldu.

HENRYK SZUBERT

GRA O PRZYSZŁOŚĆ

Jestem z pokolenia ZMP-owskiego i do dziś uważam przynależność do ZMP za zaszczyt w mojej przeszłości, to jednak z perspektywy prawie 30 lat od daty rozwiązania tej organizacji uważam, że wyrażona została krzywdą polityczno-ideologiczną całemu ruchowi młodzieżowemu i wychowaniu w duchu socjalistycznym młodego pokolenia. Wiem, że wówczas potrzeba chwili politycznych rozwiązań wymagała złożenia ZMP jako ofiary na ołtarzu błędów i wypaczeń, ale twierdząc, że była to decyzja zbyt pochopna i nie do końca przemyślana z punktu widzenia wychowania przyszłych pokoleń.

Zawsze w historii ruchu młodzieżowego powołujemy się na wzorce i ideały polityczno-ideologiczne naszych poprzedników i słusznie — ale dlaczego tak mało pisze się i mówi dziś na temat dokonanej tej organizacji, a przecież był to okres najbardziej dynamicznych przeobrażeń w życiu gospodarczym i społecznym naszego kraju, w którym ZMP, działający wówczas we wszystkich środowiskach młodzieżowych przeprowadził szereg dokonanych społeczno-politycznych, oświatowych oraz produkcyjnych. Wystarczy przytoczyć choćby szeroki udział we współzawodnictwie pracy, inspirowanie działania „Służby Polsce”, udział w likwidacji analfabetyzmu, upowszechnianiu oświaty i odbudowy Warszawy, udział w budowie tzw. „wielkich budow socjalistycznych” z Nową Hutą na czele. Działania to organizacja licząca ponad 2 miliony członków.

Prawda jest, że czas nieubłagany upływa szybko i dlatego z żalem spoglądam w swoją przeszłość zdając sobie sprawę, że od dawna istnieje problem wychowania przyszłego pokolenia w duchu socjalistycznego patriotyzmu, dlatego pozwalam sobie przytoczyć fragment mojego tekstu opublikowanego 7 grudnia 1980 roku w nr 49 „ODGŁOSÓW” — cytuję:

„Pierwszą sprawą, która mnie nurtuje jest problem właściwego wychowania młodego pokolenia w duchu demokracji socjalistycznej z zachowaniem prawidłowych norm moralnych. W tej dziedzinie widzę szczególne zaniedbanie. Organizacje młodzieżowe wychowują konsumentów, a nie społeczników, działaczy, aktywistów czy organizatorów. Uważam, że należałoby wrócić nieco do historii ruchu młodzieżowego lat pięćdziesiątych. Spory dorobek miał Związek Młodzieży Polskiej, który stawiał na pierwszym miejscu godność, morale i świadomość społeczną młodego obywatela. Istniała wówczas sprzyjająca atmosfera dla wspólnego organizacyjnego działania dla dobra ogólnego. Dziś ta sprawa wygląda zupełnie inaczej przynajmniej w odczuciu większości ludzi z mojego pokolenia.

Mamy bardzo fajną i z gruntu dobrą, inteligentną i dorodną młodzież, która powinna stać się partnerem całego narodu we wszystkich zamierzeniach i dokonywających się zmianach w odnowie życia społeczno-gospodarczego. Powinna — ale czy jest na tyle przygotowana ideologicznie i socjologicznie? Nie, na pewno nie. Bywam czasem na spotkaniach z młodzieżą robotniczą ZSMP i stwierdzam, że w jej zachowaniu nie widzę żadnego zaangażowania politycznego i społecznego. Nie widzę twórczego działania dla wyprzedzenia społeczeństwa z marazmu i odwręcenia”.

Oczywiście trzeba brać pod uwagę uwarunkowania bardzo różne w różnych okresach — przedwojenny — wojenny i dziś, ale jednocześnie musimy sobie zdawać sprawę, że my wszyscy z pokolenia ZMP-owców jesteśmy za ten obecny stan bezdeowości naszej młodzieży, naszych przyszłych pokoleń w jakimś stopniu odpowiedzialni. Dlatego póki jeszcze czas, póki jeszcze jesteśmy w jakimś stopniu czynni społecznie i życiowo przydatni — możemy wypracować właściwe kierunki kształtowania świadomości socjalistycznej i wychowania obywatelsko-patriotycznego — unikając błędów i nieprawidłowości naszego pokolenia — dzisiejszej młodzieży, aby nam tego naszego obowiązku powoli nie wydzierali przypadkowi i nieprzypadkowi wichryce polityczni z kraju i z zagranicy w cywilu, mundurach i sutannach.

W latach naszej ZMP-owskiej działalności nie przypominam sobie żeby były powoływane komisje, komitety czy ministrowie ds. młodzieży, a jednak żeśmy zdobywali pewne wzory wychowania obywatelskiego w duchu socjalistycznym i staraliśmy się zachować w sobie wiele cennych norm etycznych-moralnych i patriotycznych. Zresztą problem nie polega na załatwianiu różnych spraw za młodzieżą i dla młodzieży. Podłoże ideologiczne wychowania młodzieży musimy już dziś — my wypracować i określać na przyszłość z pełnym jej udziałem.

Dlatego powinniśmy starać się na wszystkich możliwych platformach i szczeblach swojej działalności robić wszystko, aby w niedalekiej przyszłości nie oceniono nas bardziej negatywnie niż na to zasługujemy.

BARTOSIŃSKA NIE BARTOSIEWICZ

JAN PRUSKI

Do recenzji mojej z przedstawienia sztuki „Dom Bernardy Albas” wkraśli się nieprzyjemny błąd. Rolę Augustias w tym przedstawieniu kreuje Ilona Bartosińska, a nie Bartosiewicz, jak ukazało się w druku. Aktorkę i Czytelników przepraszam.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

**NA DĄSINGU
W RESTAURACJI
„SŁONECZNA”
W NOWEJ RUDZIE...**

„JAKA RÓŻA, TAKI
CIERNŃ”

lat w szkole. Po jej ukończeniu mówiono mi, że owzsem przyzwolię śpiewać, ale mój gust i repertuar są „staroświeckie”. Ponieważ nie chciałam się zgodzić na proponowane mi zmiany, zarówno aranżę, że wnętrznego jak i repertuarowego, zaczęłam myśleć, gdzie mogłabym pokazać to, co mnie naprawdę interesuje. W ten sposób zdecydowałam się na udział w Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Dalsze propozycje festiwalowe były pochodną tej pierwszej decyzji. Proszę mi wierzyć, że tego co robię, nie traktuję w kategoriach „sukcesu” czy „kariery”. Staram się, aby śpiewanie i występowanie na estradzie sprawiło mi po prostu przyjemność, więc żeby tak się działo, muszę śpiewać to, co lubię, tak jak lubię i tam gdzie lubię. Nagrody na festiwalach są ważne ze względów handlowych i reklamowych, jednak atmosfera towarzysząca takim imprezom nie zawsze pozwala cieszyć się w pełni wynikami. Wracając do Wrocławia, pierwsza nagroda stanowiła dla mnie wielkie zaskoczenie. Nie uważam wykonai swoich piosenek za aktorskie. Wole okre-

BOHDAN GADOMSKI

„Jaka róža, taki cierń”



"Jaka róża, taki ciern" zaśpiewała po Wrocławiu na FPP w Opolu i zyskała nowe komplementy: "narezcicie prawdziwy talent", "dawno już nie było takiego odkrycia".

Po Opolu zaczęła się naprawdę liczyć na krajowym rynku piosenkarskim. Wszyscy na nią stawiali i liczyli na powtórzenie sukcesu w Sopocie. Też też zależało na udziale w sopotnickim festiwalu. Ale organizatorzy zdecydowali, że jeszcze jest za wcześnie i zaprosili nikąją, słabiotką, choć ładniutką Annę Jurkiszewicz, którą spalili nerwy i brak umiejętności. W czasie festiwalu Edyta Geppert wystąpiła z recitalem w Teatrze Letnim jako tzw. impreza towarzysząca. W tym roku zaśpiewa w Operze Leśnej w Sopocie, jako reprezentantka Polski.

**GWIAZDA Z DNIA
NA DZIEŃ**

— Komponowałam program, aby nie stał się monotony. Piosenki charakterystyczne, żartobliwe mają w założeniu wprowadzić odprężenie na widowni

Moja czarna sukienka, czarny żakiet i czarne spodnie? Bardzo dłoń się przed tym, żeby ktoś mnie „stwarzał” w sensie wizualnym. Problem polega na tym, że potrzebuję pomocy w zrealizowaniu tego, o czym myślę i co zamierzam, natomiast nie chcę, żeby mówiono, że Geppert ubiera się u pami X czy Z, nie, chcę być reklamą wyrobów określonej projektantki. Poza tym nigdzie na świecie nie wymyślono czegoś, co by bardziej podkreślało u estradzie twarz i dłoń niż kolor czarny.

EDYTA GEPPERT
W ŁODZI...

Zadna z naszych liczących się piosenkarek nie ma obecnie tego wspaniałego, po prostu

Czekając na kolejną „nową falę”

W porównaniu z początkiem lat osiemdziesiątych, kiedy to światowe estrady zalała fala utalentowanych młodych wykonawców próbujących stworzyć — przy wydatnym współudziale najnowszych zdobyczy elektroniki — oryginalne brzmienie, ostatnio w muzyce pop niewiele się dzieje. Jest oczywiście spora grupa debiutantów, Richard Page z zespołu Mr. Mister — jednego z tych, którym udało się niedawno dołączyć do światowej czołówki — twierdzi, że w samym Los Angeles, gdzie grupa powstała, działa ponad tysiąc podobnych formacji próbujących — zazwyczaj bez powodzenia — zwrócić na siebie uwagę. Naprawdę interesujących wykonawców jest jednak niewiele. Niektórym udaje się — głównie dzięki dużym nakładom finansowym i sprawnie prowadzonej promocji — zabiśnąć na krótko na muzycznym firmamencie, aby potem odejść w zapomnienie. Za to coraz częściej przypominają się słuchaczom weterani światowych estrad, prezentując udane nowe kompozycje lub własne wersje słynnych standardów. I okazuje się, że wygrywają w konkurencji z blizzczykami tu i ówdzie nowymi gwiazdkami.

Sytuację we współczesnej muzyce rozrywkowej obrazuje podział prestiżowych nagród Grammy za 1985 rok. Wśród laureatów niemal wyłącznie starzy znajomi. Za wykonanie utworów w różnych kategoriach nagrody otrzymali m.in. Don Henley („Boys of Summer”), grupa Dire Straits („Money for Nothing”), Tina Turner („One of the Living”) i Aretha Franklin („Freeway of Love”). W opinii przedstawicieli amerykańskiego przemysłu muzycznego najlepszym nagraniem ubiegłego roku była piosenka „We Are the World”, a Grammy za lonsplay otrzymał Phil Collins („No Jacket Required”). Nagrodzono też Stevie Wondera (wykonanie utworów zarejestrowanych na płycie „In Square Circle”). Nawet Sade Adu, której przyznano Grammy w kategorii „najlepszy nowy artysta”, nie jest przecież debiutantką. Jej znakomity album „Diamond Life” z przebojami „Smooth Operator” i „Your Love Is King” ukazał się na rynku blisko dwa lata temu. Dziś na listach bestsellerów płytowych spotkać można nagrania z drugiego, równie udanego albumu „Promise”, skąd pochodzi m.in. utwór „The Sweetest Taboo”.

Prawdziwą debiutantką jest w tym gronie Whitney Houston nagroda za wykonanie piosenki („Saving All My Love for You”). Nie zapominajmy jednak, że jest ona córką piosenkarki w stylu gospel Cissy Houston i przyszła na świat niemal w studiu nagrań — latem 1963 roku, gdy jej matka pracowała nad płytą. Można by rzec, że Whitney Houston jest urodzoną śpiewaczką, ale prezydent „Artist Records”, który spotkał ją trzy lata temu, gdy śpiewała ze swoją matką w małym klubie na Manhattanie i postanowił pokierować jej karierą, nie od razu wypuścił ją na głęboką wodę. Praca nad albumem „Whitney Houston” trwała dwa lata i pochłonęła 250.000 dolarów. Clive Davis jednak dobrze wiedział co robi. Dziś głos młodziutkiej piosenkarki, śpiewającej głównie o miłości, znany jest melomanom w wielu krajach. Jej debiutancki longplay osiągnął nakład blisko 3 mln egzemplarzy, a nagranie „How Will I Know” jest trzecim, który staje się przebojem.

Popatrzmy teraz co dzieje się na listach przebojów. I tu od razu bomba. Radio Luxemburg w swoim zestawieniu umieszcza nagranie Franka Sinatry. Tak, tak... Muszę przyznać, że z przyjemnością wysłuchałem jak sławny Blue Eyes śpiewa piosenkę „New York, New York”, chociaż podobna mi się ona bardziej w wykonaniu Lizzy Minnelli. Obok Sinatry — David Bowie, od wielu lat zachwycający, zarówno jako twórca i wykonawca przebojów jak też — zwłaszcza ostatnio — jako aktor. Najnowszy jego singiel zawiera utwór tytułowy z filmu „Absolute Beginners”. Jest to podobno historia o życiu młodzi w Londynie późnych lat pięćdziesiątych, a w roli piosenkarki w nocnym lokalu wystąpiła Sade Adu.

Pod koniec marca na pierwszym miejscu najlepiej sprzedanych singli w Wielkiej Brytanii znalazła się płyta „Chain Reaction” Diany Ross, która walczy ostatnio o prymat wśród ciemnoskórych wokalistek z Tiną Turner. Przypomnę, że obie panie stawiały pierwsze kroki na estradzie w latach sześćdziesiątych, Diana Ross śpiewała w żeńskim zespole Supremes, a Tina Turner występowała z grupą muzyczną kierowaną przez swojego męża. Dziś natomiast odnosi sukcesy jako solistka.

Na pewno niespodzianką jest powrót na listy przebojów grupy Electric Light Orchestra, która przypomina się swoim wielbielcom piosenką „Calling America”. Z kolei wiecznie młodzi The Rolling Stones prezentują nową wersję kompozycji „The Harlem Shuffle”. A jeśli komuś wydaje się, że utwór „Silent Running” wykonywany jest przez debiutanta, to śpieszcie donieść, że się myli. Pod tajemniczą nazwą Mike and the Mechanics kryje się Mike Rutherford, jeden z członków zespołu Genesis.

Oczywiście w gronie autorów bestsellerów płytowych są też nowi wykonawcy, jak chociażby wspomniany zespół Mr. Mister, którego nagranie „Broken Wings”, pochodzące z longplaya „Welcome to the Real World”, gościło niedawno na czele list przebojów. „Broken Wings” nie różni się jednak od utworów renowanych grup starszego pokolenia. Dlatego więc akurat to nagranie odniosło sukces? Pracownik firmy RCA wyjaśnia lakonicznie: „Czasami po prostu nie innego nie ma pod ręką.”

W 1975 roku Richard Page, obecny wokalista zespołu Mr. Mister i Steve George, grający na instrumentach klawiszowych, przyjaciele ze szkoły w Phoenix (stan Arizona), przenieśli się do Los Angeles i rozpoczęli pracę na estradzie, towarzysząc takim gwiazdom jak Andy Gibb, Al Jarreau, Donna Summer i Rick Springfield. W 1982 roku postanowili założyć własną grupę, wraz z Patem Mastelotto (perkusja) i Stevem Farissem (gitary). Sukces zawiązującej głównie właściewemu debiutowi. Pożyczili profesjonalne oświetlenie i sprzęt nagłaśniający od zespołu Supertramp, wynajęli nowoczesne studio nagrań, do którego zaprosili ludzi liczących się w branży muzycznej.

Gdy album „Welcome to the Real World” ukazał się w sprzedaży grupa Mr. Mister grała w pierwszej części koncertów gwiazdowanych przez Adama Anta, a następnie wzięła udział w gigantycznym tournée Tiny Turner. Ostatnio zespół zaczyna występować samodzielnie, a kolejny singiel z piosenką „Kyrie” jest wysoko notowany w zestawieniach najlepiej sprzedawanych płyt.

Grupie Mr. Mister powiedzio się. O sukcesie może mówić również Whitney Houston. Jednak o utalentowanych, a zwłaszcza oryginalnych, nowych wykonawców ostatnio coraz trudniej. Nawet na targach Midem, gdzie młodzi mają szanse zaprezentowania się z jak najlepszej strony; w tym roku – największym wydarzeniem był koncert Pete'a Townshenda, niegdyś lidera legendarnej grupy The Who. Weteran brytyjskiego rocka, chociaż dwadzieścia lat starszy niż wtedy, gdy jego zespół debiutował, udowodnił, że jest nadal w znakomitej formie, a wykonywana przez niego piosenka „We Won't Get Fooled Again” przypomniła melomansom najlepsze lata rocka.

GRZEGORZ WALENDA

I całe szczęście, bo jakiegokolwiek bliższe informacje mogłyby nadwerzeżyć własne miasteczko, wyzuć go z wygodnych bamboszy, skusić do ryzykownej wędrówki, jak mrówkę z wiersza Federico Garcíi Lorki, która raz zobaczyła gwiazdy, nie mogła ich już zapomnieć i w końcu, posadzona o złośliwe uchylanie się od codziennego kieratu, została zabita przez swoich współplemieńców. Czyż nie lepszy jest los ostrożnego ślimaka albo żab biorących swą beznadziejność za mądrość?

Zapewne, zapewne... Ale korzystając z przywileju turysty zostawmy w spokoju żaby i ślimaki i, podczas gdy zegar na Torre Panamericana nieubłagannie odmierzając czas, zajmijmy się krąjącymi w dole, pozornie bez celu, mrówkami. Jedną już mamy: dziewczynkę z ulicy Londres. Kto następny? Na przykład

JORGE

Wstaje wprowadzić dopiero koło południa i na tej podstawie można by od razu uznać go za lenia i walekonia, ale już najbliższe godziny rozproszą kompletnie to pochopne posądzenie. Swoją pracę na Unidad Lomas de Plateiros Jorge zaczyna od ulepiania z kawałków mięsa czegoś w rodzaju ogromnego baka, który nasadza na pionowy, obracający się ruszt podgrzewany przez buchający z tyłu gazowy płomień. Teraz, zanim zewnętrzna warstwa mięsa się zarumieni, jest trochę czasu na pokrojenie zieleńnicy i chile, no i na przygotowanie tortilli.

Pierwsi klienci zjawiają się po kilkunastu minutach. Wtedy Jorge nasadza na górny szpikulec rusztu kawałek ananasa, i... zaczyna się bolero.

Najpierw lewą ręką podsmaża błyskawicznie na znajdującej się obok różnej blasze tortille, potem bierze je po kolei, prawą ręką uzbrojoną w wielki nóż odkrawa w każdą kilka plasterków mięsa, doprawia zieleńnicą i chile, podnosi nóż do góry, odcina na ślepo kawałek ananasa, łapie go na pamięć i... pierwsze taco al pastor gotowe.

Cały ten kulinarny cyrk trwa do późnej nocy. Od, mniej więcej, ósmej wieczorem Jorge, stojący na swoim stołeczku, nie ma już nawet minuty przerwy; ludzie z pobliskich domów ustawiają się w kolejce zamawiając po 50 i 100 tacos — na kolację, dla niespodziewanych gości...

Tempo nie spada ani na chwilę, chyba tylko, aby zatknąć na różnej nowy kawałek ananasa. Jorge robi miny, dmucha na gorące tortille, pyta klientów o wspólne znajomych... Interes zamyka około 3 nad ranem, kiedy z olbrzymiego baka zostaje już tylko cienka rurka, na którą czekają okoliczne psy. Jutro będzie to samo, i pojutrze, i w sobotę, i w niedzielę...

Gdyby któregoś dnia Jorge nie pojawił się na posterunku, mogłoby to mieć konsekwencje znacznie głębsze niż trzęsienie ziemi. Całe szczęście, że i on zdaje sobie z tego sprawę.

Przez wiele dni wychodząc z domu o 1 w nocy na kilka tacos zastanawialiśmy się nad egzystencją Jorge; czy to przypadkiem nie straszne tak stać codziennie w jednym miejscu i machać nożem? czy to nie beznadziejne, a może nawet poniżające godność człowieka?

Dyskusję ucięło dopiero zdanie mądrego brata de Baskerville z „Imienia róży” Umberto Eco: „piękno kosmosu nie polega tylko na jedności w różności, ale także na różności w jedności”.

Raul jest zupełnym przeciwieństwem Jorge; wysoki, biały, wykształcony i ciągle w ruchu. Z zawodu reżyser filmowy.

KINO MEKSYKAŃSKIE

nie znajduje się obecnie w stadium rozkwitu, szczególnie to wartościowsze, subwencjonowane w dużej części przez rząd. Z tej puli powstaje rocznie zaledwie kilka filmów; kolejka reżyserów mających ochotę na realizację i zdolnych do niej wydłużyć się beznadziejnie. Czekając na swoją szansę wykładają na uniwersytetach, zajmują stanowiska administracyjne...

Wielu opuściło już ostatecznie ręce, nie bowiem nie zapowiada szybkiego końca kryzysu. Wielu innych przeszło do tzw. kina komercyjnego, co jest eufemistycznym określeniem półpornograficznej, półsensacyjnej tandety. Półpornograficznej, bo „pełna” pornografia jest tu zabroniona: kobietę wolno pokazywać nago w zasadzie wyłącznie od tyłu, mężczyzna zaś musi mieć na sobie co najmniej krótkie spodnie. Można sobie łatwo wyobrazić, że realizowane z respektowaniem tych zasad sceny erotyczne robią wrażenie głównie na małolatach, którzy zresztą niemal w całości zapełniają sale, u nielicznych pozostałych widzów, nie mówiąc o turystach z USA czy Europy, wzbudzają tylko śmiech. Ale ich producenci prosperują całkiem nieźle, konsekwentnie trzymając się zasady: „mały, ale pewny zysk”.



Xochimilco

Żaby, ślimaki i mrówki

(Korespondencja z Meksyku)

Kiedy spytałem Raula o sytuację w kinematografii meksykańskiej odpowiedział, że jest to „gówno” (nauczył się jak widać, trochę polskiego), a po chwili namysłu poprawił się: „nie, gówno to za piękne polskie słowo na określenie tego, co się tu dzieje”.

Ale ani myśli się poddać: prowadzi teatr uniwersytecki, z którym zrealizował kilka interesujących spektakli, w tym przynajmniej jeden wybitny — „Ślub”, według B. Brechta, pisze scenariusze, uparcie walczy o realizację filmu, nie przyjął zaproszenia jednego z uniwersytetów amerykańskich, bo wyjazd tam miałby na celu wyłącznie zarobienie „3 dolarów”, a na to, choć ma żonę i troje dzieci, szkoda mu było czasu...

Ostatnim wartościowym filmem zrealizowanym w Meksyku są „Los motivos de la luz” w reżyserii Felipe Cázala, opowiadające głosną tu historię kobiety, która doprowadzona do ostateczności zamordowała swoje dzieci. Wcześniej na ten sam temat film dokumentalny zrealizowała Dana Rottenberg, jako dyplom w Centro de Capacitación Cinematográfica — najbardziej liczącej się w Meksyku szkole filmowej.

Manuel jest jednym z mariachis, muzyków do wynajęcia. Jego strojem służbowym są czarne spodnie i kamizelka obficie szamerowane sznureczkami i cekinami plus, oczywiście, sombrero, a biurem Plaza Garibaldi, niedaleko samego centrum miasta: parku Alameda i Pałacu Sztuk Pięknych, gdzie miało się odbyć losowanie Mundialu'88, ale na skutek protestu intelektualistów, którzy uznali to za profanację sztuki, zostało w rezultacie przeniesione do jednego z prywatnych studiów telewizyjnych na San Angel.



Łódź w Xochimilco

dają się czasem namówić na małe kłamstwo i powagą swojego autorytetu potwierdzają, że dwie lub trzy dziewczynki przysły na świat tego samego dnia — zamiast trzech fiest jest wtedy wprowadzić tylko jedną, ale długą można spłacić już przez dwa lata, a to, że kilka czternasto- lub trzynastoletek trochę wcześniej zostanie wprowadzonych w świat dorosłych i tak potwierdza tylko powszechną praktykę.

Clou programu „quince años” jest występ solenizantki. W przypadku córki Manuela był to taniec klasyczny z „Jeziora łabędziego” Piotra Czajkowskiego. Pokaz odbył się w regularnym stroju baletowym, niemal prosto z Teatru Wielkiego w Moskwie. Od razu trzeba powiedzieć, że poziom odbiegał znacznie od tego, do czego przyzwyczaiły nas tancerki rosyjskie, głównie z powodu korpulentności, skądinąd sympatycznej, wykonawczyni, ale następujący zaraz potem rock-and-roll szybko wyrównał nastrój. A rano Manuel zaprosił wszystkich na przejażdżkę łodzią do Xochimilco.

(Wynajęcie przeciętnego zespołu mariachis na wieczór kosztuje około 15000 pesos, a ukwieconej łodzi w Xochimilco od 1000 pesos za godzinę. Xochimilco leży na południu miasta, można tam dojechać bez kłopotów autobusem lub „pesero”).

Chiapis ma 18 lat. Z samego rana jedzie do pierwszej pracy, potem wpada na chwilę do „Burger Boya” albo „Vipsa” coś zjeść i pędzi do szkoły, dalej „comida corrida” w jakiejś jadłodajni i druga praca, wreszcie zakupy i już koło 8 wieczorem można wrócić do mieszkania, w którym ojciec naradza się właśnie ze znajomymi.

(3)

JAK SZYBKO ZOSTAĆ MILIONEREM

Sposób wydaje się prosty, tym bardziej, że w towarzystwie jest inżynier mechanik. Ojciec Chiapis, który pracuje w jednej z fabryk włókienniczych, zauważył, że bardzo często łamią się tam igły, które Meksyk sprowadza z zagranicy, głównie ze Szwajcarii, „o, coś takiego” — tu demonstruje jeden z egzemplarzy. Wystarczy opanować technologię wyrobu, „najlepiej zważyć od Szwajcarów, tylko inaczej nazwać, na przykład... — patrzy na mnie — „Ricardo”, wyznaczyć trochę niższą cenę i już: każdy trząsk będzie oznaczać, powiedzmy, niech nawet 10 pesos. A ile jest fabryk włókienniczych w Meksyku, ile igieł trząska w nich codziennie... W rok jesteśmy milionari!

Tymczasem Chiapis gra na amerykańskich organach (takich, co to zastępują całą orkiestrę) „Marsz turecki” i zwierza się na boku, że jej największym pragnieniem jest nauczyć się francuskiego. To o niej pisał Leonard Cohen, że jest „half crazy”, ale „you want to travel with her”, tyle tylko, że pomylił imiona.

Janek jest Polakiem i poetą; polaczenie już z samej swej istoty niebezpieczne. Zafascynowany Meksykiem przyjechał tu 20 lat temu i został.

SPACERUJEMY PO COYOACAN

(najpiękniejszej dzielnicy Meksyku: koło placu Hidalgo są tu tacos przynajmniej tak dobre jak u Jorge). Pałac „Delicados” błądzimy po terenach miasteczka uniwersyteckiego, gdzie około otoczonego betonem pola lawy, w pobliżu wspaniałej sali koncertowej Nezahualcóyotl, nie zważając na upały, leżą na trawie zakochane pary; mogą tak godzinami i zupełnie nieruchomo.

Zaglądamy do księgarni „Gandhi”, gdzie można kupić prawie wszystkie książki i płyty, łącznie z albumami Charlie Parkera i „koncertem kolońskim” Keatha Jarreta...

Żoną cały dzień pracuje i Janek głównie opiekuje się dwiema córeczkami. Jest to zajęcie absolutnie ważne i zajmuje tak wiele czasu, że na pisanie wierszy prawie wcale go już nie zostaje. Janek jednak tylko raz na tydzień traci spokój i kiedy któraś z dziewczynek zbyt długo marudzi przy śniadaniu krzyczy na nią po polsku; niecenzuralnie, ale dziewczynki nie znają polskiego, a Janek nie podnosi głosu i cały czas się uśmiecha. A poza tym ma niezwykły talent do znajdowania w ziemi kawałków obsydianu.

Jorge, Raul, Manuel, Chiapis, Janek... pięć mrówek, do których warto było zejść z Torre Panamericana. A jeszcze Isabel, jedna z nielicznych kobiet prowadzących metro; Ramón, który wie wszystko o programach komputerowych i jazzie; i Kasia, Kasia, która nie oglądając się za siebie chodzi ulicami w bańkowych, czerwonych rękawiczkach.

No i dziewczynka z Londres, która ma na imię Guadalupe i jej brat Jesús. (Lupita i Chuchó), to najczęściej spotykane imiona w Meksyku. Prawie sami święci...

RYSZARD NAKONIECZNY

1

Nagle
zastępstwoWallenrod
w Nowym
Jorku

Byli obywatel PRL, byli ambasador naszego państwa w Stanach Zjednoczonych, dziś banita, skazany zaocznie na karę śmierci, Romuald Spasowski nie dożywa spokojnie swoich dni na laskawym amerykańskim chlebie. Ostatnio zaktywizował się politycznie, wydał w USA książkę pt. „Prawdziwa wolność” oraz udzielił rozgłosu „Głosowi Ameryki” dużego wywiadu, transmitowanego w odcinkach przez trzy wieczory.

Nie zajmowałbym się — nieciekawą w gruncie rzeczy — postacią Romualda Spasowskiego, nie mam zwyczaju na tych łamach komentować spraw z dziedziny polityki zagranicznej ani z kręgu tzw. dywersji ideologicznej. Zajmuję się natomiast chętnie problematyką obywatelską i moralną, i z tej właśnie strony chcę spojrzeć na wynurzenia pana Spasowskiego, które przedstawił reporterowi „Głosu Ameryki”.

Zacznijmy od tego, co mogłoby być w wyznaniach pana Spasowskiego naprawdę ciekawe, ale niestety, nie jest. Myślę o plotkach i plotkach z kręgu elity władzy. Spasowski zawodzi tu zupełnie. Zwykle mówi o „ludziach z pierwszych stron gazet” tylko z nienawiścią, tylko posługując się inwektywami, w efekcie — nie mówi nic ciekawego.

Dużo, bardzo dużo i bardzo chętnie mówi natomiast o sobie. Otóż pan Spasowski jest — według jego własnych oświadczeń — człowiekiem niesłychanie prawnym, nieskazitelnym i wspaniałym. Jest wzorem patrioty, który wypruwał z siebie żyły, żeby choć trochę lepiej było w tej biednej Polsce, rządzonej przez okrutną klikę komunistyczną. W latach pięćdziesiątych już miał duże wątpliwości, a z początkiem lat sześćdziesiątych wiedział z całą pewnością, że socjalizm jest dla naszego kraju klęską, nieszcześciem, katastrofą. Co więc robił pan Spasowski, długoletni wiceminister spraw zagranicznych, długoletni ambasador PRL? Czy pisał ważne memoriały? Czy składał patetyczne protesty, czy wrzeszczał — podał się do dysmisji?

W końcu, jeśli już stanął na pozycjach zupełnie wrogich, skoro w swym sumieniu zadeklarował się jako antykomunista, to nawet podjęcie współpracy z obcą agendą byłoby — jeśli nie moralnie usprawiedliwione — to przynajmniej logiczne i konsekwentne. Tymczasem Romuald Spasowski nie zrobił nawet tego. Nadal sprawował bardzo wysokie funkcje w aparacie MSZ, nadal — co tu ukrywać — brał nieźle, jak na polskie stosunki, ministerialne apanaże i dyplomatyczne diety w sympatycznych, twardych walutach. Ale cierpiał przy tym! Biedaczek...

Wejdźmy w położenie tego współczesnego Wallenroda: pracował — jak twierdzi — bardzo intensywnie — dla zleniawidzonego reżymu, dusza mu krwawiła, serce skowitało! Każdy kęs pulardy, każde ziarenko kawiorki, każdy lyk szampału stawał mu w gardle! Miał przecież świadomość, że kupuje tę prostą strawę za srebrniki, za zleniawidzone ruble, którymi Kreml opłaca takich jak on slugusów!

Czy mógł inaczej? Nie mógł, przecież najmniejszy sprzeciw — o czym wie w Polsce każdy — musiał się zakończyć tragicznie. Pognano by go w kajdanach, boso, pognano by Romualda Spasowskiego kozacką nahajką na daleką Syberię!

Długo trwały ambasadorskie meki. Aż do dnia, kiedy przyszła do Waszyngtonu depesza, odwołująca go do kraju. Tego nie żniósł skołotane serce tego bojownika o prawdę, wolność i sprawiedliwość. Emeryturka w Polsce? Nigdy! — zakrzyknął nasz bohater i zerwał z ra-

mion płaszcz Konrada (Wallenroda), tę płonącą koszulę Dejaniry, i ukazał światu swą prawdziwą twarz. Twarz nieustannego bojownika, twarz męczennika, ponad wszelką miarę ukrzywdzonego przez nienawistny reżym...

Romuald Spasowski, kiedykolwiek mówi o swej pracy, akcentuje, że wypełniał tylko, bardzo skrupulatnie, polecenia, że nieczego się nie dorobił. Stawia się po stronie „narodu”, „ludu” a nie „władzy”. I to jest jedna z ciekawszych rzeczy, które wyartykułował (były) ambasador. Otóż od dawna w Polsce mówi się o władzy „oni”. „Oni” wprowadzili podwyżki... Ale także „oni” napisali w gazecie! Spasowski też mówi „oni”. Któż to zatem ci „oni”? skoro nawet wiceminister spraw zagranicznych to też „my” a nie „oni”?

Tak więc to nie żaden prominent, to szary człowiek, zwykły Polak, jeden z nas, mieszka za oceanem i odważnie głosi prawdę! Kiedyś reprezentował Państwo Polskie, teraz reprezentuje naród!

Zaiste, skleroza poczyniła potężne postępy w mózgu pana Spasowskiego: polityczny trup, zero moralne, zamiast siedzieć cicho i cieszyć się uciulanymi dolarami, pisze książkę, udziela wywiadów. Uważa się za kogoś godnego uwagi, kogoś, kto ma jeszcze coś do powiedzenia, kto zwraca na siebie uwagę świata.

Tymczasem zwrócił na siebie uwagę skromnego felietonisty, nawiąknęło do wyszukiwania ciekawostek obyczajowych...

ANDRZEJ
KAROL

2

Tylko
kilka pytań

Wiosna nas zaskoczyła. Wiedziałem jak pewien kierowca zatrzymał samochód, wysiadł i rozebrał się do kosa, wszedł i pojechał dalej oddychając z ulgą. Jakaś pani szła ulicą zrzucając z siebie szalik i kurtkę. Młodzi i starzy chodzili nosząc na ręku ciepłą odzież. Wprawdzie w telewizji zapowiadali, że idzie fala ciepła, ale ludzie nie bardzo widać wierzą w te zapowiedzi. I robią źle. W telewizji znów zapowiadali, że idzie zimno i właśnie, gdy piszę te słowa za oknem biało a termometr wskazuje minus jeden stopień. Teraz znów zima nas zaskoczyła wiosną. Lepiej niech śnieg pada teraz niż miałby padać znów na i maja, jak to było rok temu.

Tylko ta zima, która zaskoczyła nas wiosną nikogo z niczego nie może rozgrzeszyć. A kierowcy różnych przedsiębiorstw i dziedzin życia nauczyli się już, że na przykład zima może ich rozgrzeszać z nieudolności i złej organizacji pracy. — Była ostra zima — powiadają — i start do nowego roku mieliśmy trudny. — A kto miał łatwy?

Jak doniosł „Głos Robotniczy” budowlani mieli fałstart. Właściwie — jak wynika z treści sondy przeprowadzonej w łódzkich przedsiębiorstwach — był to start późniony. Fałstart — to wystartowanie szybsze, przed sygnałem do startu, a budowlani spóźnili się ze startem. Mieli w pierwszym kwartale wybudować 17 domów, a wybudowali... 14. Ten „poślizg” będzie rzutował na tempo prac w następnych kwartałach. Jeśli będą pracowali zgodnie z założeniami na

drugi kwartał, to w połowie roku wykonają 34,4 procent rocznego planu. I wtedy — choć dla laika brzmi to nielogicznie — nie będą musieli pracować zrywami w drugim półroczu a szczególnie pod koniec 1986 roku. Co znaczy nadgania nie planu — to najlepiej wiedzą lokatorzy nowych domów, którzy dostają mieszkania właśnie po takim nadganiu! I włos im się jeży na głowie na widok jakości ich nowych mieszkań.

A teraz będzie pytanie. Ustawiłem je na jednym z zebrań. Mówca tak je sformułował: — W budownictwie średnia płaca jest wyższa niż w niektórych innych działach gospodarki. Za co budowlani otrzymują więcej pieniędzy, jeśli wszyscy wiemy, że spóźniają się z planem, budują źle. Czy to jest płaca za pracę, czy tylko za to, że się bywa na budowie? Może kogoś to pytanie zainteresuje. Może ktoś na nie odpowie. Ja nie umiem.

Człowiek ma tak skonstruowaną naturę, że stara się ułatwić sobie życie zamiast go utrudniać. Są wprawdzie masochiści, którzy życie sobie utrudniają, ale są to ludzie mający odchylenie od normy. Norma jest życie sobie ułatwiać. Początek naszej kochanej zaradczą dość dawno temu, że opłaty za radio i telewizor należy płacić za cały kwartał naprzód, za półrocze a najlepiej za cały rok. I ludzie płacą, bo zamiast chodzić 12 razy na pocztę chodzą 4, 2 lub tylko raz. Każdy ma prawo płacić te należności bodajże do 10 każdego miesiąca, ale niektórzy są tacy pilni i płacą pod koniec ubiegającego kwartału. Nie chcą się chwalić, ale należą do tych pilnych. A robię to z tej prostej przyczyny, że pod koniec miesiąca mniej jest ludzi w kolejce przed okienkiem niż na początku następnego. I pocztą naszą kochaną postanowiła tych pilnych nagrodzić.

Od 1 stycznia 1986 roku podniesiono opłaty za radio i telewizję. Zamiast 300 złotych za kwartał, jak poprzednio, należało płacić 450 złotych. Tak też uczyniliśmy w grudniu 1985 roku. Zapłaciłem już według stawek za styczeń 1986 roku, choć one w grudniu jeszcze nie obowiązowały. „Głos Robotniczy” — chwalił mnie za to — zainteresował się tą sprawą i otrzymał wyjaśnienie z Ministerstwa Łączności. Kto płacił w 1985 roku według stawek obowiązujących w 1985 roku ale już na poczet 1986 roku ten postąpił słusznie i nie można od niego żądać dopłaty. Kto natomiast w 1985 roku zapłacił za 1986 rok według stawek, które miały dopiero obowiązywać, ten postąpił nadgorliwie i pocztą powinna nadpłacić zaliczyć na poczet drugiego kwartału. Tak więc płacąc za drugi kwartał 1986 roku powinienem zapłacić nie 450 złotych, ale 300 złotych, bo 150 — jako nadpłata wniesiona w grudniu 1985 roku — przechodzi automatycznie na drugi kwartał.

Panią w okienku popatrzyła na mnie jak na wariata i powiedziała, że o niczym nie wie. Interwencja u naczelnika poczty dała rezultat pozytywny. — Istotnie — powiedział — należy mi się przesunięcie nadpłaty. — Alłsiż znów miałem kłopoty przed okienkiem. Rozwiązane w końcu pozytywnie.

I teraz będzie pytanie. Jeśli Ministerstwo Łączności wydaje jakieś zarządzenie, podejmując decyzję, to czy ona obowiązuje jedynie naczelników urzędów pocztowych, czy też wszystkich pracowników poczty? W moim przekonaniu urzędnicy poczty pobierając opłatę za drugi kwartał powinni sami sprawdzić, kiedy była wniesiona opłata i przesunąć nadpłatę. Pewnie zbyt dużo wymagam?

Pytanie ostatnie. Czy łódzkie tramwaje muszą być takie brudne?

ZENON
POROWATY

3

Czego Jaś
się nie
nauczy
za młodu...

Czego mały Jaś się nie nauczył, tego duży Jan nie będzie umiał. To przyszłość prawdziwego niegdyś tracił powoli swój sens, gdyż i Jaś i Jan powinni się uczyć nieustannie. Jaś w szkole, Jan na studiach, kursach i szkoleniach. Ale jakoś ani Jaś, ani Jan nie przejawiają nadzwyczajnej skłonności do nauki.

Otóż wyczytałem w gazecie, że idea — o którą tak zaciekle walczyli — zerowych semestrów dla dzieci robotników i chłopów całkowicie zawiodła. Nie wypaliła. Po prostu nie ma kandydatów. Na przykład w Uniwersytecie Łódzkim zgłosiło się 6 osób, w Politechnice Śląskiej — 11, a w Wyższej Szkole Gospodarczej Wilejskiej w Warszawie — 19. I to jest rekord krajowy. Zgroza mnie ogarnęła.

Staramy się narysować wizję przyszłej Polski. Powiadamy, że „przed nami XXI wiek”. że „to co dziś należy jeszcze do strefy wyobraźni i marzeń — jutro musi stać się bezpośrednim celem działania, przyoblec się w rzeczywistość”. Te marzenia będą jednak realizowali ludzie, którym dziś nie chce się uczyć. Czy nieuki będą w stanie spełniać zadania, jakie postawi przed nimi rewolucja naukowo-techniczna? Czy w ogóle będą w stanie pojąć o co w niej chodzi? Mam co do tego poważne wątpliwości.

Rewolucji naukowo-technicznej nie można zadekretować. Tego problemu nie rozwiąże żadna ustawa czy uchwała. To musi wynikać z obiektywnych potrzeb i praw rozwoju społecznego. Naszym obowiązkiem dziś jest przygotować umysły młodych ludzi do rozwiązania zadań, jakie postawi przed nimi jutro. „Trudności i przeszkody nie mogą kępować myśli o przyszłości” — jakże to słuszne stwierdzenie. Przecież ta rewolucja już się dziś zaczyna. Młodzi stają się coraz bardziej zafascynowani komputerami. Niech na początek ćwiczą sobie na nich gry komputerowe, ale niech komputer staje się dla nich czymś normalnym. Ale oni chcą też programować i bardzo dobrze. W przyszłości komputer nie będzie dla nich nieprzekraczalną barierą.

Inny przykład. Niby nic. Niby zabawa. Magnetowid i video-kasety. Oficjalnie ciągle trudno sobie z tym poradzić. Przeszkody prawne, niedowład organizacyjny, barierę nie do pokonania. Faktycznie jest już cały ruch. Nikt dokładnie nie wie, ile jest tych magnetowidów w kraju. Szacunki są bardzo różne. Ich liczba nieustannie rośnie. Jest cała sprawną sieć wypożyczalni kaset. To staje się już elementem świadomości młodego człowieka, tylko szkoła nie potrafi sobie z tym poradzić, bo magnetowidy są cholernie drogie, a oświata cholernie uboga.

Sięgam znów po dokument, który stanowi teraz przedmiot ogólnopolskiej dyskusji i czytamy: „nie wolno tracić czasu w jałowych sporach”. Słusznie. Jestem za. Ale zaraz biorę do ręki „Życie Warszawy”, gdzie Janina Paradowska rozmawia z prof. Januszem Tymowskim o studiach przemysłowych. Cała właściwa sprawa została wyrażona w tytule: „Historia krótka i koniec żalony”.

Co to są studia przemienne? — „Jest to dość specyficzna forma studiowania, w trakcie którego — mówi prof. J. Tymowski — przepłatają się okresy nauki z okresami pracy. (...) Układ klasyczny to taki, w którym po semestrze nauki następuje semestr pracy. (...) Zaznaczam, że musi to być jednak praca rzeczywista, a nie tak zwana u nas praktyka, która polega głównie na przyglądaniu się”.

Czas trwania studiów taki sam, jak w innych przypadkach. Ich organizacja jest inna. Takie studia wymyślił w 1908 roku Anglik. Początkowo w taki sposób kształcono techników, ale okazało się, że humanistów też można. Przejeli je Amerykanie. Od 1960 roku wprowadzono je w ZSRR. Nie jest to powszechna forma studiowania, ale bardzo pożyteczna i — wydawałoby się — atrakcyjna. Ileż to wymyślano różnych sposobów, aby uczyć studentów pracy. A tu — proste bardzo — rzecz się rozwiązuje jakby automatycznie.

W Polsce wprowadzono je w 1972 roku. Politechnika Warszawska podjęła współpracę z FSO i Ursusem. W 1976 roku pierwsi absolwenci otrzymali dyplomy inżynierów. FSO już nie jest zainteresowane tą formą studiów. Ursus podobnie. Jeszcze tylko akademie rolnicze utrzymują tę formę studiowania. Profesor Janusz Tymowski ma nadzieję, że coś się zmieni, że ludzie zrozumieją korzyści, jakie ta forma studiowania niesie.

„Po pierwsze, dobrze wykształceni absolwenci, po drugie, przeżył doświadczeń młody uczeń i przemysł, po trzecie, zbliżenie części środowiska akademickiego, zwłaszcza zaś nauczycieli akademickich do zakładów przemysłowych. W tych krajach, gdzie patrzy się w przyszłość stawia się dziś coraz bardziej właśnie na studia przemienne jako dobrą formę integracji nauki i praktyki”.

A my przecież usiłujemy patrzeć w przyszłość. Może się nam tylko tak wydaje, w rzeczywistości nie potrafimy zobaczyć dalej niż czubek własnego nosa?

Smutno mi, bo wiem, że bez ludzi wykształconych nie wygramy wyścigu o nowoczesność z innymi krajami. Czyż mamy już przegrywać przed startem.

WITOLD
BOROWY

4

Jak
poprowadzić
dwie proste
równoległe?

W szkole najbardziej nie lubię rozwiązywać zadań z matematyki o dwóch podciągach, które wyruszają z dwu miast A i B, jadą naprzeciw siebie i tak dalej. Bardzo lubię natomiast stary dowcip o budowie autostrady. Otóż z miejscowości A i B dwie ekipy rozpoczęły budowę drogi. Teraz wszystko zależy od tego, co stanie się w punkcie C. W tym punkcie obie budowane drogi mają się spotkać. Jeśli się spotkają, to powstanie szosa. Jeśli nie spotkają się, to obie ekipy będą nadal budowały i wtedy powstanie autostrada składająca się z dwu jezdni równoległych obok siebie biegnących od A do B.

Dowcip ten przypomniał mi się, gdy w „Kurierze Polskim” przeczytałem rozmowę Jolanty Barekowskiej z włoskim archeologiem profesorem Giuseppem Oreficim. Tytuł tej rozmowy — króciutkiej zresztą — „Hipotezy Daenikena to baśnie”. Nie mam zamiaru bronić hipotezy popularnego Szwajcara, niektóre są rzeczywiście nadto fantastyczne. Również i ta o słynnych już rysunkach na płaskowyżu Nazca.

Przypomnę, że Erich von Daeniken urzyna, że rysunki zwierząt wykonane przez jakichś dawnych budowniczych służyć miały kosmitom, którzy kiedyś tam wylądowali, odle-

cieli, a lud zamieszkujący okolice płaskowyżu Nazca robił te rysunki usiłując znów przywołać kosmitów, których uważał za bogów. Minęły wieki a rysunki tajemniczych geometrów przetrwały. Stało się to możliwe dzięki suchemu klimatowi panującemu w tej okolicy Ameryki Południowej.

Nie mam zamiaru dokonywać krytycznej oceny tej hipotezy. Mogę tylko powiedzieć, że praktycznie nie ma żadnych możliwości jej udowodnienia. Niekiedy — na podstawie zalezionej w pobliżu ceramiki — uważają, że rysunki te powstały w czasie między 100 rokiem przed naszą erą a 100 rokiem naszej ery. Ale jest to też watywa dowód, gdyż z niczego nie wynika, że istnieje jakikolwiek związek między zalezionymi przedmiotami wykonanymi w tym czasie a rysunkami. A profesor Giuseppe Orefici swoją hipotezę znów wiąże ze znaną w pobliżu ceramiką.

„Jestem przekonany — powiedział on reporterce „Kurieru Polskiego” — że rysunki te wytyczały drogi religijnych procesji. Mam na to dowody. Rysunki nakreślone są bowiem jedną ciągłą linią (m. in. w wizerunku małpy czy ptaka), przy końcu której znajduje się znak wskazujący kierunek wejścia na nią. Najlepszym potwierdzeniem tej tezy jest ceramika, odnaleziona przez moją ekipę, w pobliżu rysunków. Wyraźnie widoczne są na niej procesje. Liczne fragmenty przedstawiają osoby niosące strązy, maczugi oraz bębni i flety”.

Rysunki na płaskowyżu Nazca odkryto już w 1920 roku przypadkowo z... samolotu. Upřednio wiadano, że istnieją w tym miejscu jakieś płytkie rowki, ale uznano je za resztki dawnego systemu nawadniającego. Nie wzbudziły wówczas większego zainteresowania. Ponownie niejako odkrył je w 1942 roku amerykański archeolog Paul Kosok, który również przelatywał samolotem nad płaskowyżem Nazca. Gdy już stwierdzono, że tajemnicze rowki na płaskowyżu Nazca przedstawiają figury zwierząt oraz figury geometryczne, wtedy zaczęto szukać wyjaśnienia tego dziwnego fenomenu. Ale wyjaśnienia ciągle szuka się stojąc na ziemi. Maria Reiche uważa na przykład, że jest to swoisty kalendarz rolniczo-astronomiczny, gdyż pewnego poranka stojąc na pobliskim wzgórzu zobaczyła jak promienie wschodzącego słońca odbijają się w rowkach. Okazało się, że niektóre figury są zorientowane na Słońce, Księżyc, i gwiazdy. Ale Gerald Hawkins utrzymuje, że ta orientacja jest zupełnie przypadkowa.

„Ale żeby było już zupełnie śmiesznie profesor Giuseppe Orefici uważa, że jeszcze nie wszystkie rysunki zostały odkryte i na ich poszukiwanie wyrusza w towarzystwie pilota peruwiańskiego Eduarda Heranema. Czym oni wyruszają. Oczywiście... samolotem. A zatem jakby dla zaprzeczenia swojej teorii profesor Giuseppe Orefici musi oderwać się od ziemi, aby zobaczyć owe rysunki. Otóż wszyscy badacze tajemnicy rysunków na płaskowyżu Nazca powinni oderwać się od ziemi, wzniesić się w powietrze i z tej wysokości szukać odpowiedzi na pytanie, po co ludzie rysowali na ziemi te znaki, które są widoczne tylko i wyłącznie z góry. I jak oni byli w stanie to zrobić skoro dziś — przy tak znacznym rozwoju techniki i pomiarów — zdarza się, że zamiast szosy trzeba budować autostradę jak w przypomniałym na początku dowcipie.

Maria Reiche odkryła, że rysunki wykonane w ziemi miały swoje zminiaturyzowane szkice. „Ale w jaki sposób — napisała — mogli dać każdemu szczegółowi właściwe miejsce i dokładną formę na tak wielkiej przestrzeni, pozostaje zagadką. Trzeba będzie wieków, by ją rozwiązać”.

A może popełniamy podstawowy błąd w wyniku naszej megalomanii, uważając że postęp dokonuje się tylko i wyłącznie wraz z mijanym czasem, że dawniej ludzie musieli niejaką z konieczności dziejowej posługiwać się prymitywnymi metodami i narzędziami, które daleko ustępowały temu, czym dysponujemy dziś. Może po prostu nie potrafimy czytać tego, co nam pozostało z przeszłości? Warto się czasem nad tym zadumać.

LUCJAN BOGUSZ

Gdzie się podziała owa wymarzona miłość, wielka i prawdziwa? Czy była tylko kłamstwem, prawdą zaś pozostawały wykrzywkami pożądaniami, które kobiety, ich roztoczone udu i wypełnione słuszymi pochwy? Ileż to razy podobnie jak teraz Yvette musiał w dawnych latach wiązać sznurami Bernadettę, kiedy wpadała w narkotyczny szal. I też robił jej zastrzyk ketaminy, czekając aż uspokoi się i zaśnie. Ile razy wołał go do swojego pokoju, leżąc naga na łóżku i czekając na niego z rozchylonymi udami. Bernadetta była chuda i stara, a Yvette młoda i ładna. A jednak tamta zaspokajała, tamta budziła w nim miłość. Czy tylko dlatego, że był wtedy młody? Bernadetta nigdy nie uczyniła mu nic złego, przeciwnie — zawsze mogł o czekać od niej przyjaźni i dobroci. Człł do niej litość i nigdy nie darował Yvette, że razem ze swoim mężem spowodowali jej śmierć. Tak, był mężczyzną dla tamtej — chudej, brzydkiej i starej — a nie umiał być dla tej białej glisty, która mogła się wydawać ładną. Z tamtą coś go wiązało, przynajmniej odrobina zaufania, tej — nie ufał, musiał się jej nieustannie obawiać. Najważniejsze jednak, że on, Bullow, przestał być maszynką do zniegiccia, potrzebował jakiegoś duchowej więzi z kobietą. To nie mogła być więc polegająca na zadawaniu jej bólu. Dlatego nie wziął Weroniki, gdy sama do niego przyszła owej nocy.

Podszedł do szafy w ścianie, wyciągnął z niej starą walizkę, swój płaszcz i kapelusz. Wrzucił do walizki trochę rzeczy — skarpetki, koszulkę, pidżamę, podkoszulki, żeby walizka miała swoją wagę. Narzucił płaszcz, wcisnął na głowę kapelusz. Wziął ze stolika strzykawkę i igłą ukłł Yvette w udo. Nie zareagowała. Nakrył ją koidrą, żeby nie zmarzła i poszedł do sypialni Bernadetty. Chłopał też spał bardzo mocno.

Drzwi do mieszkania pozostawił otwarte, za to starannie swoim kluczem zamknął bramę domu. Taksówkę złapał szybko i poleciał się zawięzić na lotnisko. Po drodze, przy kanale kazał się taksówkarzowi zatrzymać, mówiąc, że musi koniecznie oddać moc. Do wody wrzucił pistolet Webera i nóż sprężynowy. Podarł paszport, na którym był bez brody i wąsów; strzępki paszportu też znalazły się w cuchnącej wodzie kanału. Gdy wracał do taksówki doznał zadziwiającego uczucia — miał wrażenie, że towarzyszy mu jakiś osobnik trochę do niego podobny. Jego obecność odczuwał od pewnego czasu, jednak dopiero teraz mógł go niemal dotknąć. Wiedział jak tamten wygląda, kim jest i za czym tęskni. W drodze do Dębowej Altany tamten drugi jechał obok niego, ich myśli mieszały się z sobą, tworząc jakąś wewnętrzną psychiczną dysharmonię. W Dębowej Altanie a także potem na Dapperstraat tamten nagle gdzieś przepadł i znowu istniał tylko Kristopher Bullow, który dyktował sobie każdy postępek, każdy krok, każdy gest. To Kristopher Bullow otwierał skrytkę w łazience, usłyszał trzask iglicy, zaniósł nieprzytomnego chłopaka na łapczan Bernadetty i potem tak swobodnie rozmawiał z Yvette, dopóki nie zaśnęła. Ten sam Bullow pomyślał natychmiast, że Yvette będzie wspaniałym prezentem dla firmy, ponieważ dla Bullowa zawsze liczyła się firma. Wyobraził sobie, że za kilka miesięcy lub za pół roku powtórzy się scena, w której kiedyś on był głównym bohaterem. Jakiś młody mężczyzna znajdzie się na Dapperstraat i z budki telefonicznej zapyta Yvette: „Czy to pan Feldman?” A potem zacznie podróżować jak podróżował Bullow, może nawet każe się rozliczyć Weberowi z zysków, jakie przynosił motel Dębowa Altana. A potem kiedyś i gdzieś spotka człowieka podobnego do Ivo Bundera i być może zostanie zdradziony, jak wielu przed nim i wielu po nim. Potężna i skomplikowana machina firmy żywiła się informacjami, istniała tylko poprzez informacje i setki oczu, wypatrujących twarzy innych ludzi, śledzących ich postęпки, wychwytyujących wypowiedzane słowa. Machina firmy nie była bezduszna, potrafiła troszczyć się o swoich ludzi, martwiła się ich kłopotami, dbała o bezpieczeństwo. Oczywiście, musiała się zdarzać wypadki przy pracy podobne do tego, jaki przydarzył się Bullowowi. Firma była trochę jak ojciec, a ludzie pokroju Bullowa jak dzieci tego ojca, który nie zawsze bywa w dobrym humorze, potrafi skarcić, upomnieć, ale przecież żywi i chroni, a przede wszystkim kształtuje ich osobowości zgodnie ze swoim życzeniem i ze swoimi potrzebami. Aż dziwne jak bardzo głęboko ich firma potrafiła zakodować w psychice ludzi pewien sposób myślenia i odczuwania. Kiedy Yvette zażądała, aby Bullow ją rzucił, Bullow doznał nawet wzrodo członka, bo przecież co jak co, lecz w tych sprawach był kiedyś mistrzem, robił to z przyjemnością lub bez przyjemności z różnymi kobietami, nawet z Bernadettą, a także z Yvette. Lecz wtedy poczuł w sobie tego drugiego, który ubzdural sobie, że istnieje miłość wielka i prawdziwa. Tamten narzucił mu odrzód do ciała Yvette, do jej krwawych podbiegnięć na plecach, do jej zboczonych zmysłowości i ostudził pożądanie. Tak jest, na pewno istniało ich dwóch, Bullow i ten drugi. I obydwaj musieli wymknąć się z tego przekletego miejsca.

Na lotnisku udało mu się kupić bilet na poranny rejs, o świcie. Kilka godzin przesiadł na miękkiej kanapie w poczekalni, udając, że bardzo pilnuje swojej walizki. Chciał zasnąć, lecz nie potrafił. I to wcale nie dlatego, że się bał, aby go ktoś nie rozpoznał mimo starego paszportu, sztucznej brody, wąsów i peruki na głowie. Człł się zupełnie inaczej niż wówczas, gdy z Eryką uciekali przed zdradą Bundera. Nie bał się niczego i nikogo, strach w ogóle nie wchodził w grę. Nosił w sobie pewność, że wszystko musi potoczyć się dobrze, Harry i Yvette obudzą się dopiero w południe, gdy on już będzie bardzo daleko. Nie pozwalało mu zasnąć nurtujące go pragnienie, aby znowu spotkać tego drugiego tkwiącego w nim osobnika i szczerze sobie z nim pogadać — bez słów. Niestety, tamten był sprytny i krył swoje tajemnice, jak gdyby nie ufał lub bał się Bullowa. Po północy poszedł do jednego z barów, aby coś zjeść. Posiłek się, wypił kawę i choć nie lubił alkoholu, poprosił o kieliszek wódki. Bezmieślnie gapił się w senną twarz barmana, chyba młokauńczyka. W zasiegu jego ręki znalazł się jeden z wielu reklamowych długopisów, którymi posługiwał się barman, podsumowując rachunki gości. Bezwiednie sięgnął po ten długopis, wziął papierową serwetkę do ust i narysował na niej osobnika z długimi włosami, z brodą, wąsami, w kapeluszu i prochowcu, z walizką w ręku. To było niezdarne przedstawienie Kristophera Bullowa, trochę takiego jakim był kiedyś, a trochę jakim był teraz, na wysokim stołku barowym, oczekującego na poranny rejs samolotu. A potem sięgnął po jeszcze jedną serwetkę i najpierw niezdarne przedstawił na nim konia. Wysoko uniesiony łeb, rozwiana grzywa. Ten koń przypominał osła lub muła, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że na grzbiecie konia znalazło się siodło, a na tym siodle zaznaczona kilkoma kreskami postać ludzka. Dorysował jeszcze tło — kilkanaście prostych kresków, które miały przedstawiać leśne drzewa.

Wypił kieliszek wódki i poczucie rozdwojenia zniknęło zupełnie. Był tylko jeden osobnik na stołku barowym. On pragnął znaleźć się w stajni obok izabelowatej klaczy, wciągnąć w płuca zapach jej potu, narzucić na nią siodło i wylechać w las, zatonąć w jego ogromie jak w spokojnym jeziorze. To nieprawda, że las był zły i zabierał ludziom dusze. Ludzie sami niszczyli własne dusze, pokrywając je brudem, którego nie potrafili zmyć nawet w okragłych wannach, używając najdroższych szamponów. Las był piękny i czysty do tego stopnia, że potrafił oczyścić z brudu człowieka takiego jak Bullow. To dlatego ktoś taki jak Bullow wskrzeszał jakiegoś tam starego Horsta Sobotę bronił go przed złem, jak pies pilnował jego domu z kolorowym gankiem. To przecież tam, w wielkim lesie Bullow pojął, że istnieje na świecie miłość wielka i prawdziwa, dla której nie ma znaczenia w jaki sposób mężczyzna różni się od kobiety, czy robi to długo czy krótko, od przodu czy od tyłu, na niej lub pod nią, na stole czy na podłodze. Jakże pociągająca i podniecająca wydawała mu się tajemnica Weroniki, z pozoru tak banalna, jak tylko banalna być może historia zgwałconej i pełnej urazów dziewczyny. Zarazem była ona jednak zupełnie niezwykła i niepowtarzalna, ponieważ nie na świecie, co się tyczy człowieka, nie wyglądała tak samo i nie jest tym samym.

Podarł na strzępy serwetki z rysunkami i wrzucił je do kosza. Zdawał sobie sprawę, że to gest magiczny, lecz przecież magia była tak stara jak ludzkość. Zaraz też poczuł w sobie ulgę; przestał być Bullowem i także tym drugim. Zrodził się ktoś trzeci i to on miał odciecić porannym rejsiem.

W barze stała szafa grająca, od czasu do czasu puszczała w ruch przez jakiegoś podróżnego. Chciał znowu usłyszeć piosenkę

Wielki las

41

ZBIGNIEW NIENACKI

Petera, słowa z pytaniem o to, ile śmierci trzeba przeżyć aby zrozumieć, że zbyt wielu ludzi umarło. Nie znalazł płyty z tym nagraniem. Zapomniana została ta piosenka i piosenkarz, który ją wyłansował. Bullowowi wydało się to symboliczne. Znacząco chyba, że świat Bullowa już umarł, należało stanąć przed lustrem i zdjąć kapelusz powiedzieć do siebie: „Cześć, panie Bullow”. Oczywiście tylko w wyobraźni, bez żadnych teatralnych scen urządzanych nawet dla samego siebie. Żadne gesty nie są potrzebne, wykrywacz kłamstw, testy psychologów w firmie doskonale natychmiast wykazały, że Bullow już się rozspisał, a raczej zamieszkał w nim ktoś inny.

Odcieciał o świecie i później odbyło się wszystko zgodnie z obowiązującymi w firmie zwyczajami. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem wyładował w kawalerce nawet częściowo umeblowanej, ale tak pozbawionej drobiazgów, że nawet trudno było stwierdzić, czy dotąd zamieszkiwała ją kobieta czy też mężczyzna. Dopiero w tydzień po wprowadzeniu się jeden z sąsiadów zapytał go poufnie, ile też zapłacił odstępnego temu panu, który dawniej zajmował kawalerkę. Zając mu nie brakowało i nie mógł narzekać na nudę. Dwa razy w tygodniu miał wykłady dla pracowników firmy, mówił zresztą do kamery telewizyjnej, słuchacze obserwowali go jedynie na monitorach, ponieważ ani on nie mógł ich znać, ani oni siebie wzajemnie. W styczniu i lutym zaczął go odwiedzać w jego mieszkaniu młody mężczyzna. Był niski, miał ciemne długie lekko falujące włosy. Mówił dobrze po niemiecku i francusku, z wielu drobnych szczegółów Bullow wywnioskował, że tamten przebywał przynajmniej kilka lat za granicą, najpewniej w Wiedniu. Godzinami opowiadał temu człowiekowi o Bunderze, o zwerbowanych przez siebie pracowników firmy, o Dębowej Altanie, o Yvette i sklepie przy Pchlim Targu. Rozmawiając z nim wiedział, że znowu pracuje dla firmy i ta jego praca dawała mu przyjemność, gdyż wraz z tym młodym człowiekiem jeszcze raz w wyobraźni chodził znanymi sobie ulicami, spotykał znanych mu kiedyś ludzi. Każdy szczegół mógł być ważny, dlatego tak długie wędrowki odbywał; opisał dokładnie nawet miejsce, w którym kiedyś cumował statek, stanowiący mieszkanie Yvette i jej męża. Później na jakiś czas urwały się te spotkania, a kiedy powrócił do nich, dowiedział się, że jego mieszkanie przy Square Saverin jest opuszczane. Ktoś z jego sąsiadów rozpoznał na zdjęciu w gazecie człowieka, który je zajmował. Policji nie udało się trafić na dalszy ślad Bullowa, dlatego Dębowa Altana prosperowała bez kłopotów tak jak dawniej. Podobnie Yvette i Harry spokojnie prowadzili sklep z rowerami; młody mężczyzna kupił u nich dziecięcy rower, który w godzinę później odsprzedał na Pchlim Targu. Bullow instruował młodzieńca dość dokładnie: „Na pierwsze spotkanie z Yvette oczywiście się nie zjawisz, tylko będziesz obserwował z kim przyjdzie i jak się zachowa. To szalona dziewczyna i może zrobić jakieś głupstwo. Dopiero trzecie spotkanie w wymyślonym przez ciebie miejscu może być właściwe. Nie angażuj się przyjacielu osobście w żadną ze spraw, Yvette kocha pieniądze i wie o Dębowej Altanie. Każesz jej pojechać do Hansa Webera i napomknąć mu, że policja może się dowiedzieć o zatopionym w rzecze skradzionym samochodzie. Niech Yvette zażąda zysków jakie miał Bullow i niech te zyski otrzymuje w zamian za usługi jakie ci będzie świadczyć. To ona powinna przejąć obok Webera kontrolę nad motelem. Być może Weber na początku zechce ją jakoś brutalnie załatwić, dlatego nieco wcześniej zamieszkać w tym motelu i mieć na nią baczenie. Pamiętaj, że podskut jest w pokojach od numeru pierwszego do dziesiątego. Jeśli Weber załatwi Yvette, wtedy ty będziesz miał go podwójnie w ręku i zrobisz z niego miękkielasto. Pamiętaj, nigdy nie występuj osobście. W twoim imieniu niech wszystko załatwia Yvette, bo ona kocha pieniądze. Zyski z Dębowej Altany oraz strach przed tobą będą ją mocno wiązały z naszą firmą. Ona nie może wiedzieć o jaką tu chodzi firmę, ale odtąd to dzieć kochanek Harry ma prowadzić sklep, ona zaś zacznie jeździć i załatwiać różne sprawy dla ciebie. Od czasu do czasu rzinij ją, wzięwszy do ręki porządną bat, ona to lubi i to ją do ciebie przywiąże tak samo mocno jak pieniądze”. „A Bullow?” — zapytał młody człowiek. — „Jaki ma być koniec Bullowa?”

„Zaden” — odparł. — „Często powołuj się na niego i jego polecenia. Zasłaniaj się nim, ile razy zechcesz. Strasz nim i jego pojawieniem się. Kiedy ci przestanie być wygodny, daj nekrolog w gazecie, że zginął w wypadku samochodowym albo coś w tym rodzaju”.

— Ta Yvette jest ładna? — upewniał się młody człowiek. — Tak i pociągna — zgodził się Bullow. Te rozmowy były nagrywane i Bullow oddał taśmę firmie.

Młody mężczyzna zniknął mu z oczu pod koniec lutego i odtąd Bullowowi było trochę nudno, gdyż wraz z nim na zawsze odeszło jego dawne życie. O los młodego człowieka, o Yvette i Webera oraz innych — nie pytał w firmie, bo i tak nie otrzymałby odpowiedzi. To mu pozwoliło uswiadomić sobie o wiele lepiej niż co innego, że znalazł się poza nawiasem spraw, które potrafił dawniej robić. Nawet te wykłady dawały mu chyba trochę z łaski. Jego dawny szef napomknął mu, czy nie zechciałby pracować jako kadrowiec w zakładzie budującym cukrownię za granicą. Odmówił. Odtąd już nigdy nie zobaczył swojego szefa.

Czy nigdy nie myślał o wielkim lesie, o starym Horście, o Weronice, a nawet o izabelowatej klaczy? Oczywiście, często powracał w wyobraźni do tamtego skrawka swojego życia, ale w warunkach pracy dla firmy nawet kontakt z Eryką uznany zostałaby za naganny. To były zamknięte rozdziały książki, tylko głupiec mógłby sobie pozwolić, aby je odczytywać na nowo lub dopisywać ciąg dalszy.

Nie tęsknił też za obecnością w swoim życiu jakiejś kobiety. Dwa razy wyprawił się do nocnego lokalu, spotykał tam jednak tylko dziwki, do których czuł obrzydzenie. Owszem, kilkakrotnie w tramwaju i autobusie bez trudu nawiązał jakieś znajomości z kobietami, przelotne i krótkotrwałe, ponieważ przekonał się, że stało się z nim znowu to, co kiedyś: wrócił lek, że nie okazał się mężczyzną. Nie musiał pytać lekarza, aby wiedzieć, że to mu z czasem przejdzie, lecz na razie było jak było, podniecało go tylko wyobrażenie Weroniki broniącej się przed gwałtem, obnażonej w walce z mężem i trzymającymi ją mężczyznami. I podobnie jak podczas pierwszych nocy spędzonych w leśniczówce Kuleszy powracała myśl o miłości wielkiej i prawdziwej, bez której poruszenie się w kobiecie było czynnością monotonna i irytująca jak skrzywienie łózka nad głową.

W połowie marca wezwano go do kadr. Kierownik wydziału trzymał w ręku jakiś dowód osobisty, nie pokazał mu go jednak.

— Sprawa tak się przedstawia, że niejaki Horst Sobota zmarł i pozostawił niejakiemu Józefowi Marynowi dość spory majątek, zdaje się dom i duży sad oraz sporo grosza. Ten Maryn nie musi się po to zgłaszać, majątek przejdzie skarb państwa. Ale tam jest jakaś młoda i energiczna kobieta, która szuka owego Maryna i to dość uparcie. Zgłosiła zaginięcie na milicji i rozpoczęła oficjalne poszukiwania. Bardzo uparta kobieta, nie da się jej spławić byle czym. Wyobraź sobie, że dotarła aż do nas.

— Czy to mało ludzi ginie na drogach, topi się w jeziorach? — powiedział Bullow, choć serce mu mocno zabiło.

— Tak, oczywiście. Ale trzeba by zaraz zrobić grób, dokumenty, protokoły śmierci. Inaczej nie można. W naszym kraju człowiek nie powinien zniknąć jak kamień w wodzie. Szczególnie teraz, kiedy każde zniknięcie może wywołać rozmaite komentarze. I tak nie macie już tutaj nic specjalnego do roboty, więc możecie najlepiej będzie, jeśli pojedziecie objąć ten mająteczek, uspokoić tę kobietę. Oczywiście pozostaniemy w kontakcie... Wasza pensja będzie dalej wypłacana, choć nie bezpośrednio na wasze ręce.

Podsunał mu dowód osobisty z nazwiskiem Józef Maryn. Ten sam, który nosił przy sobie jako strażnik łowiecki.

— Czy to pożegnanie z firmą?

— Z firmą nie można się pożegnać — usłyszał. — To po prostu bezterminowy urlop. Nie wykłuczono, że bardzo długi. Ale to, że ta kobieta robi w tej sprawie tyle wrzawy, nie świadczy o was dobre.

A więc nagana. Potyłu latach pracy lekka nagana. I zupełny brak radości z powodu faktu, że czeka go specjalny rodzaj swobody, będzie mógł pojechać do domku z gankiem i kolorowymi szybami. Ow dom bez starego Horsta Soboty wydawał mu się niewiele warty, nawet gdy uswiadomił sobie, że stał się jego właścicielem. Bo co z nim zrobi? Przecież nie będzie tam mieszkał, zajmował się sadem i Weroniką. Najlepiej, jeśli przekaze tą własność Weronice. Cóż z tego, że kiedyś zlamiała przykazanie Horsta i wyszła za zmaż za leśnika, skoro później to wszystko starała się naprawić. On, Józef Maryn, zwrócił tej kobiecie to, co jej było należne.

Tak, Weronika. Właśnie Weronika. Najbardziej bał się spotkania z tą młodą kobietą. Poznał już jej niechęć do siebie, a nawet swoisty rodzaj wrogości. To nie, że to ona szukała go gorliwie, aby wypełnić testament Horsta Soboty. Robiła to prawdopodobnie tylko po to, aby dom i sad nie przeszedł na skarb państwa i nie pochłoniął go wielki las. Zresztą, chyba słusznie nie lubiła Maryna, ponieważ niespodziewanie wtargnął w życie Soboty, a potem zabrał wszystko, co się jej należało.

Czy w ogóle musiał tam jechać? Nie wystarczyło napisać listu do Weroniki i reagenta, umówić się na określony dzień i godzinę, dokonać aktu przekazania własności na rzecz Weroniki. Nie był przecież już, ani Bullowem, ani też Marynem, który przemierzał las na izabelowatej klaczy i pomagał Horstowi w walce z lasem. Stał się kimś trzecim, osobowością jakiejś jeszcze sam nie zdolał zgłębić. Po Marynie pozostało w nim przeczuć, że istnieje miłość wielka i prawdziwa oraz podniecająca wyobraźnię scena, gdy obnażona Weronika broniła się przed mężem i nowym gwałtem. Znowu miał patrzeć w jej oczy, zastanawiając się, dlaczego wówczas po prostu odszedł i nawet nie usiłował jej bronić. A jednak — gdy myślał o swoim obecnym życiu — to właśnie Weronika, dom z gankiem, sad i wielki las, okazywały się jedyną nicią, która łączyła go z rzeczywistością, jakąś krętą ścieżką prowadzącą do poznania swej nowej osobowości.

Po namyśle napisał do Weroniki krótki list, że wkrótce przyjedzie do Mordegów.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Głanc